

De. II. 1.  
TOM CCLXXXVI.

ROK 72.

ZESZYT 856.

# BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

K W I E C I E Ń.

1912.

TOM II.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—  
1912.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
1. HUGO KOŁŁATAJ,—przez <i>d-ra Żeliszawa Grotowskiego</i> . . . . .	1
2. MÓJ POBYT W NIEWOLI ROSYJSKIEJ w r. 1812 . . . . .	23
3. ANGLIA I ROSYA W PRZEDEDNIU WOJNY 1812 r.—przez <i>d-ra Eugeniusza Wawrzkowicza</i> . . . . .	59
4. SATYRA NA ŁAMACH „MONITORA“ BOHOMOLCOWEGO,—przez <i>Wacława Orłowskiego</i> . . . . .	78
5. MALARSTWO HISTORYCZNE,—przez <i>T. Jaroszyńskiego</i> . . . . .	115
6. RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i> . . . . .	130
7. ROZMAITOŚCI:	
„Akces szkół Księstwa Warszawskiego do Konfederacyi Generalnej Polskiej w r. 1812,“—przez <i>Władysława Skup'a</i> . . . . .	158
„Kilka słów o plagiacie w literaturze polskiej XVII w,“—przez <i>Alfreda Brodnickiego</i> . . . . .	162
8. PIŚMIENNICTWO:	
STANISŁAW PIGOŃ: „O Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego A. Mickiewicza,“—przez <i>M. Kridla</i> . . . . .	166
DR. KONSTANTY WOJCIECHOWSKI: „O Zygmuncie Krasińskim,“—przez <i>M. K.</i> . . . . .	172
RADZISZEWSKI HENRYK: „Bank Polski,“ — przez <i>d-ra Ż. G.</i> . . . .	175
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Na marginesie skandalicznego procesu.—Przyczyny i skutki.—Zawiedzione nadzieje.—Z powodu dwóch jubileuszów.—Człowiek czynu i człowiek refleksyi.—Kronika spraw polskich w Izbie.—Uchwalenie samorządu.—Okolo wyodrębnienia. — Położenie Kościoła w Królestwie; memoriał hr. Wielopolskiego . . . . .	181
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	194

Opis biblioteczny Tomy 2001



BIBLIOTEKA  
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE.

**BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.**

Rok 1912. Tom II.

WARSZAWA.

Wydawca: J. G. Górecki, Prezydent m. st. Warszawy.

1912


## TRZECI ZESZYTU.

1. BUDOWA KRAJOWA... (faint text)
2. ZOBACZENIE WYKONANIA... (faint text)
3. LAMOWA I ZOBACZENIE... (faint text)
4. WYKONANIE... (faint text)
5. KALIBRY... (faint text)
6. WYKONANIE... (faint text)
7. WYKONANIE... (faint text)
8. WYKONANIE... (faint text)

## BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

1. WYKONANIE... (faint text)
2. WYKONANIE... (faint text)
3. WYKONANIE... (faint text)
4. WYKONANIE... (faint text)
5. WYKONANIE... (faint text)
6. WYKONANIE... (faint text)
7. WYKONANIE... (faint text)
8. WYKONANIE... (faint text)
9. WYKONANIE... (faint text)
10. WYKONANIE... (faint text)


Ogólnego zbioru Tom 286.



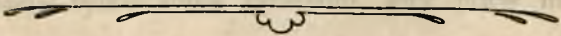
# BIBLIOTEKA HUGO KOLLETAJ WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1912.—Tom II.



WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście № 5.

1912.

Wydanie pierwsze Tom 288

# WARSAWSKA BIBLIOTEKA



De. II 1

Rok 1912 — Tom II

WARSAWA

Adres Redakcji: ul. Krakowska Przedmieście 47.

Warszawa. Druk A. Ginsa. Nowozielna 47.

# HUGO KOŁŁATAJ

(w setną rocznicę zgonu).

Wpływ sąsiadów w nasze interesa wewnętrzne, pogrążywszy nas w anarchię, przywiódł nareszcie o zgubę imienia naszego; przeto wyrzekając się na zawsze najmniejszego stronictwa z temi sąsiedzkimi mocarstwami, powinniśmy zatykać uszy na wszelkie nypochlebniejsze ich poszepty i nie dać się złudzić żadanymi nowemi dobrodziejstwami i obiecywanemi łaskami.

(*Koźłataj*: „Uwagi nad Xięstwem Warszawskiem.“

... I z boleścią zwraca się Skarga do sejmujących stanów: „Słabieję dostojność i władza królewska, wolnością przebrana a zbytnią, z której idzie nieposłuszeństwo poddanych. A ta miła matka, ojczyzna, podała wam złotą wolność, iż tyranom nie służycie, jedno bogobojnym panom i królom, które sami sobie obiecacie. Samiście tylko sobie tyranami, gdy praw nie wykonywacie.“<sup>1)</sup>

Dończy głos patryoty brzmiał daleko, dochodząc do odległych kątów Rzeczypospolitej. Nie mógł zdziałać wiele. Nie miały wpływu myśli obywateli, widzących osłabienie Rzplitej w końcu XVI wieku. Na ziemiach bowiem polskich, pomimo lepszych poglądów i światłych wskazań, dzięki egoistycznej polityce szlacheckiej, źle się działo. Rzplita w początkach XVIII wieku przedstawia dziwną poniekąd fizyognomię. Wszystkie słabe strony

<sup>1)</sup> Piotra Skargi X. S. J. Kazania Sejmowe. Warszawa, 1904, str. 23.

naszego ustroju politycznego wyszły na jaw: elekcyjność tronu, wzrost możnowładztwa, pacta conventa, a nadewszystko osłabienie podstaw ekonomicznych władzy królewskiej doprowadziło państwo do upadku. Otoczony radą senatorów, rezydentów—monarcha, przedstawiciel władzy wykonawczej, nie posiadał zupełnie środków urzeczywistnienia swych pomysłów. Rząd był nadzwyczajnie rozczłonkowany. Władze samorządne były w istocie swej olbrzymie, ciała - sejniki, składające się z tylu przedstawicieli szlachty, już przez to samo uniemożliwiały prędkie działanie. Na całym ustroju szlachta wyciska swe piętno, o czem tak ironicznie mówi Jezierski: „Jest jawna pewność, że w narodzie polskim, kto nie jest szlachcicem, nie może być człowiekiem.“<sup>1)</sup> „Rolnik w dobrach szlachcica — czytamy w listach Anonima<sup>2)</sup> — stał się rzeczą dziedzica, a niezrozumianem ludzkości zgwałceniem, przestał być istotą przeciw oczywistemu natury głosowi. Oddany na dyskretyę pana, zostawiony pod legalną, jeżeli tak mówić można, niewolą, doznawał takiego losu, na jaki uprzedzenia i pasye dziedzica wystawiać go mogły.“ Bezmyślne zaś tłumy służyły temu, kto więcej dawał i większymi łudził obietnicami. Interesy stanowe brały przewagę nad interesami całej Rzplitej.

Życie gospodarczo-społeczne Polski pierwszej połowy XVIII wieku znajdowało się w opłakanym stanie. Miasta chyliły się ku upadkowi: starostowie gnietli mieszczaństwo — „to pośredniejsze jestestwo między człowiekiem—szlachcicem i nie człowiekiem—chłopem, substantia incompleta“—które i tak, dzięki wewnętrznym stosunkom, nie było w możności rozwijać się należycie. „Wolność mieszczań swawolą przytłumiona, skarb dymem obcych kruszców zczerniony, miasta bez obywateli, miasta bez handlu, handel bez korzyści, w miastach miast szukać należy, co ulica to pole, co rynek to pustka.“ „Zniknął świętny stan miast w Polsce i ich mieszkańców—pisze Surowiecki<sup>3)</sup>—a smutne tyle ślady i słabe pamiątki jeszcze go nam przypominają. Tam, gdzie przedtem monarcha z licznym swym dworem, tam, gdzie naród zgromadzony znajdował pomieszczenie u obywateli—tam kilka przejezdnych osób

<sup>1)</sup> Katechizm o tajemnicach rządu polskiego, jaki był około r. 1735 napisany przez J. P. Sterne w języku angielskim, potem przełożony na francuski a teraz nakoniec na polski. Sambor 1793.

<sup>2)</sup> Do Stanisława Małachowskiego, Refer. koronnego, Marszałka sejmowego i Konf. generalnej, Anonima listów kilka. 1788.

<sup>3)</sup> Surowiecki Wawrzyniec, O upadku przemysłu i miast w Polsce.



nie znajdzie przytułku.“ I doszło do tego, że, podług świadectw z owej epoki, Polak wstydził się zagranicą swej narodowości, a obcy dziwili się, jak stan taki lata trwać może w Rzplitej, „będącej królestwem—bezkrólewem i Rzplitą, a stanowej przez przywileje i nierząd.“

Niebezpieczeństwo było groźne—potrzeba naprawy i reform dawała się mocno odczuwać. Społeczeństwo, rujnowane przez wewnętrzne i zewnętrzne rozterki, zrozumiało, że wzmocnienie fundamentów jest konieczne dla zapewnienia spokoju i bezpieczeństwa. Porównywano Rzplitą z karczmą zajezdną i uznawano potrzebę odmiany istniejącego porządku politycznego. I przyszła ta chwila ocknienia. Z ukrytych głębin duszy narodu popłynęły siły żywotne. Zaczyna się budzić woła do czynu. Zrazu słabe tleją ogniki onego nowego życia. Później dopiero weszliśmy na drogę działalności świadomej swych celów, wytwarzając w sobie energię czynu.

Należy odnaleźć przyczyny tego zjawiska.

Przedewszystkiem Polska zaczyna wsłuchiwać się w odgłosy idące do nas z zagranicy. Ruch umysłowy, ogarniający całą Europę, dotarł i do ziem Rzplitej. Przybywali do nas przedstawiciele europejskiej nauki i byli chętnie widziani na naszym gruncie. Równocześnie Polacy odbywają podróże na Zachód dla celów porównawczych. W Lotaryngii król Leszczyński miał dwór dla Polaków otwarty, łożąc na wychowanie pewnej garści młodzieży. *Le philosophe bienfaisant* w „Głosie wolnym“, wydanym w Nancy, występuje jako rozumny reformator. Z nowemi zapatrywaniami i poglądami ci ludzie powracali do kraju. Pojawiają się komentarze do obcych dzieł, w ślad zatem idą prace samodzielne, oryginalne w swych sądach i zastosowane do naszych przedewszystkiem warunków.

Rzplita po dwóchsetnej blisko niemocy wstępuje na drogę odrodzenia i wewnętrznego wyzwolenia. Plan reform społecznych i ekonomicznych zakreślono na szeroką skalę i w owe lat kilkadziesiąt, pomimo przeszkód wewnętrznych i zewnętrznych, pomimo małych i bezdusznych wystąpień, pomimo zbrodniczych prawie intryg, bojących się słonecznych promieni, zdziałano dużo. Instytucye, założone w końcu XVIII wieku, zdołały przetrwać do naszych czasów.

W owej epoce odrodzenia narodowego występują myśliciele, którzy wskazują nowe drogi społeczeństwu. Czyn fizyczny poprzedzony zostaje przez czyn myślowy. Wśród politycznych pisarzy, którzy przez swoje wystąpienia zdołali w dziwny sposób

oddziałać na epokę, wysuwają się na czoło narodu: ks. Stanisław Staszyc i ks. Hugo Kołłątaj. Obywatele-patryoci, mający na widoku jedynie dobro narodu, dopełniają się nawzajem. Ks. Staszyc—filozof-teoretyk w pracach politycznych, w końcu XVIII wieku z powodu swego mieszczańskiego pochodzenia mały mógł brać udział i jedynie za pomocą swych pism chce naród wydzwignąć ze złego położenia. „Ojczyzna bowiem jest mi droższą nad wszystko, bo jest rodzinną ziemią moją, bo była nieszczęśliwą, bo miłość ku niej i tkliwe na krzywdy jej uczucia wysłałem z piersi rodziców.“ Dopiero w epoce porozbiorowej występuje na arenę czynnej działalności.

Ks. Hugo Kołłątaj zdołał zespolic w swej osobie działalność praktyczną i teoretyczną. W okresie reform zajmuje się czynnie polityką praktyczną, którą oparł na gruntownej wiedzy teoretycznej. Był to człowiek bystrego i rozległego umysłu, wielkiej nauki i żelaznej energii, okazał niepospolite zdolności pisarskie i agitatorskie. Żywot Kołłątajowski stanowi dziwną mozaikę, złożoną z kamieni o blaskach najcudniejszych. Zawieść i niechęć ludzka starała się zaćmić te barwy. Koniec życia Kołłątaja — zmaganie się z oszczerstwami, olbrzymie wysiłki w celu rehabilitacji przed społeczeństwem. Obiektywny rzut oka we wszystkie okoliczności może wyrobić dokładny sąd o sprawach. Słabości ludzkie są zresztą cechą najwybitniejszych jednostek. I sąd potomnych musi inaczej zupełnie wypaść, niż opinia pokolenia ówczesnego. Wiemy zresztą, że zwykle opinią powoduje się powierzchownymi spostrzeżeniami, a plotki i insynuacje rosna i powiększają się, jako te kule śniegowe... Trzeba bardzo ostrożnie przyjmować podobne wyroki i tem surowsze, gdy chodzi o jednostki wybitniejsze, umiejące się wybić ponad tłum. A jest pewna żywiołowa nienawiść do tych wszystkich, którzy ośmielili się ponad tłum wznieść, dzięki swym zdolnościom lub czynom. Kołłątaj nie miał tego stygmatu na sobie, który przeszkodził Staszycowi zająć czynne stanowisko w Rzplitej, był bowiem pochodzenia szlacheckiego. Biografowie zaliczają nawet ród Kołłątajów do znakomitej, aczkolwiek uboższej szlachty. Urodzony dnia 1 kwietnia 1750 r., Kołłątaj miał otoczenie intelektualne. Dzięki temu, otrzymuje wychowanie dość staranne, które pozwala mu w Akademii Krakowskiej zaliczać się do lepszych uczniów. Już w Akademii zajmuje się czynnie historią i prawem oraz sztukami pięknymi. W Rzymie, dokąd udaje się po skończeniu Akademii, studjuje teologię, nie zaniedbując umiłowanych przez siebie nauk humanistycznych. Sprawa otrzymania kanonii krakowskiej,

na co udzielono mu prawa z Watykanu, uzbraja przeciw Kołłatajowi niezliczonych kandydatów na wpływowe stanowisko. A Kołłataj miał dwa bardzo ciężkie grzechy na sumieniu: młodość i zdolności. Prędkie powodzenie wielu zniechęciło.

W swej działalności Kołłataj przedewszystkiem zaczyna zajmować się reformami szkolnemi. W towarzystwie do ksiąg elementarnych pracuje nad przygotowaniem podręczników do szkół początkowych. Była to epoka bardzo żywego czynu. Dokonywało się zupełne przeobrażenie ideowe naszego społeczeństwa. Zniesiony zakon jezuitów zostawił ogromne majątki, które po likwidacji miały przejść na cele oświaty narodowej. Za sprawą Kołłataja gospodarka weszła na normalniejsze poniekąd tory. Główne zasługi położył przy reorganizacji Akademii Krakowskiej.

W r. 1782 zostaje obrany rektorem, mając 32 lata życia. Niechętni zaczęli zasypywać insynuacjami Kołłataja, zarzucając mu, że zbyt arbitralnie postępuje, że nie liczy się z głosami starszych a doświadczeńszych dostojników państwowych. I doszło nawet do otwartych zatargów. Wytoczono mu na tle jego planów, co do urządzenia lepszego dóbr kapituły krakowskiej, proces, który przyczynił mu wiele zgrzyoty. Za jego pracę i oddanie się sprawie posądzono Kołłataja o złą wolę. A główna wina Kołłataja polegała na jego arbitralności i chęci imponowania wszystkim, że sam wszystko robić umie. Bezwątpienia stanowił ten fakt poczęści okoliczność obciążającą, brał bowiem Kołłataj na swoje barki odpowiedzialność za wszystkie swe czyny, a zdarzały się i błędy. Po tych zatargach Kołłataj w r. 1786 mianowany został referendarzem Wielkiego Księstwa Litewskiego i wypływa na szersze pole czynów publicznych.

W tym czasie zajmuje się publicystyką, pisze swe znakomite Listy Anonima.<sup>1)</sup> Wskazuje tutaj najważniejsze reformy, które należało przeprowadzić, ażeby Rzeczpospolita nie była krajem niewolników i mogła skutecznie się bronić przeciw obcym zabiorcom.

I przedewszystkiem dla osiągnięcia tego celu należy wynaleźć środki materialne do sformowania silnej armii. Wyliczone są w sposób obszerny wszystkie koszty, oraz wskazane źródła podatkowe. W tej mierze Kołłataj jest suchym statystą, wskazującym li tylko metody postępowania.

<sup>1)</sup> Listy Anonima, p. wyżej.

W II części przechodzi autor do rozpatrzenia istoty konstytucyi, stawiając odrazu kwestyę na gruncie wskazań praktycznych. I pod tym właśnie względem różni się od Staszica, który zatrzymuje się przed roztrząsaniem zasadniczych podstaw zagadnień politycznych.

Reformę należy rozpoczynać od sejmu, który jest instytucją funkcjonującą źle i nieprawidłowo. Główna bowiem wada ustroju politycznego polega na małym zrozumieniu praw naturalnych, działających w społeczeństwach. Jest tutaj Kołłataj wyznawcą poglądów, panujących w ówczesnej Europie. Myśliciele XVIII w., odnajdując owe prawa naturalne, starali się na tem tle wyjaśnić cały bieg wypadków w społeczeństwie. Jest tutaj mowa o prawach, które dotyczą cały rodzaj ludzki i które działają niezależnie zupełnie od epoki i miejsca (*lois évidemment les plus avantageuses aux hommes réunis en société*). I prawa te przedewszystkiem są kategorii moralnej. Od woli ludzkiej zależy iść za temi prawami. W społeczeństwie chodzić powinno o takie postawienie kwestyi, aby owe prawa mogły okazać rzeczywistą korzyść dla rozwoju wszystkich warstw narodu. Należy jednym słowem zaprowadzić zgodę między postępowaniem ludzi a działaniem praw, nie zależnych od naszej woli.

A tymczasem w Rzeczypospolitej wypadki układały się inaczej. Nie mieliśmy silnego, odpowiedzialnego rządu, który powinien sprawować władzę na zasadzie zrozumienia tych praw odwiecznych. Obecnie — powiada autor — sejm trwały będzie u nas monarchią, będzie prawa stanowił, będzie wszystkiim magistraturom i obywatelom rozkazywał, będzie sam swych rozkazów doglądał.

Oprócz tego trwałego sejmu, wybieranego przynajmniej na 6 lat, Rzeczpospolita winna pomyśleć o zorganizowaniu po województwach silnego, odpowiedniego rządu. Występuje tutaj przeciw centralistycznej władzy, dzięki której upadło państwo rzymskie. „Wszystkie rzeczypospolitej podległe kraje spoglądały na jedno miasto, jako na swego legalnego despotę, w którego rękę nietylko prawodawcza władza, nietylko rząd ogólny, ale nadto najdrobniejsza szczególność wszystkich innych miast i prowincyi tysiąca złożoną była.“ Rzeczpospolita zatem ma stanowić niejako federacyę samodzielnych województw. Każde województwo wybiera sobie rząd i urzędników, posiada własną organizacyę zbrojną i własny skarb, załatwia wszelkie sprawy na sejmikach i posyła pełnomocników na wspólny sejm. Posłowie powinni posiadać mandat imperatif, aby rzeczywiście wykazać wolę swych wybor-

ców: „instrukcyje województwa powinny mieć świętą powagę, co do prawodawstwa i ogólnego rządu, powinny być silnem prawidłem władzy posłów tak dalece, żeby decyzya każdego posła przeciw instrukcyi lub nad instrukcyą użytą, nie tem samem nie wartała i województwa nie obligowała.“

W tym względzie odzwierciadlają się znowu tradycye dawnego ustroju politycznego Polski. Uzbrojeni w instrukcyje szli posłowie z sejmików do sejmu. Rousseau w swych politycznych wywodach nie podkreśla podobnego żądania — mówi o „volonté générale,“ która jest zawarta w wystąpieniach posłów do parlamentu, przestrzegając, że woła powinna być stała, czysta i niezniszczalna. Zdanie posła ma zawsze zawierać poglądy wyborców, nie idzie jednak zatem, ażeby deputowany we wszystkich swych działaniach na arenie parlamentarnej był związany przez jakąś obowiązującą całkowicie instrukcyę.

Władza wykonawcza — podług planu Kołłataja — ma spoczywać w ręku komisji i króla. Komisji będzie pięć: skarbowa, sądownicza, wojskowa, interesów cudzoziemskich i policyi i edukacyjna. Autor przemawia zatem, aby komisye były jedne i wspólne tak dla Korony, jak dla Litwy.

Ministrowie mają być odpowiedzialni przed sejmem: „Wiążmy ręce ministrom, niech nie mają głosu w Rządzie najwyższej władzy tylko w ten czas, kiedy sprawiać ich muszą przed stanami, albo gdy jakiej informacyi też stany od nich żądać będą.“

Dla utrzymania równowagi w rządzie i dla przeprowadzenia rzetelnej reformy państwowej należy zniszczyć prawa feudalne, które zaszczyliły niewolę pospólstwa we wszystkich dobrach obywatelskich. Podobny stan rzeczy nie może trwać dłużej: „Oddajmy włościąństwu to, cośmy mu świętokradzko wydarli, w czemśmy prawo boskie i ludzkości zgwałcili, to jest oddajmy mu wolność i jego osoby i jego rąk, a lud ten pracowity, lud żywiący nas i dający żywność włościom naszym, podwoi ochotę i szczerze przywiązawszy się do ziemi, ubogaci nierównie całą powszechność, powiększy nasze dostatki, kochać będzie ojczyznę i znać ją prawdziwie za swoją, względem której niczem się dzisiaj od bydła nie różni.“

I tutaj Kołłataj kreśli zasadniczy plan przeprowadzenia kardynalnych reform społecznych.

Przedewszystkiem należy dać zupełną wolność chłopom. „Osoba każdego człowieka, będąc dziełem Stwórcy, nie może od nikogo więcej zależeć, tylko od wiecznych Praw tego, tylko od takich społeczności związków, które prawom Opatrznej ręki nie są prze-

ciwne.“ Znów tutaj jest powołanie na prawa naturalne, przy których ma kierować się rozwój społeczny.

Prawodawstwo powinno zatem najistotniej obwarować wolność osoby rolnika i własność gruntową dziedzica. „Jeżeli jeden człowiek nie może być Piotra i Pawła poddanym — mówi Kołłataj — nie może tembardziej być razem poddanym i Rzeczypospolitej i prywatnego obywatela.“

Autor przeprowadza zatem myśl, aby podnieść chłopca do stanu obywatelskiego, t. j. aby poddać prawom Rzeczypospolitej. Pamiętne mu były słowa Zygmunta I, który na skargi chłopów odpowiedział: „Nie naszą jest rzeczą wtrącać się między poddanych naszych a chłopów.“ Kołłataj jasno zdaje sobie sprawę — osłabienie Rzeczypospolitej z tego źródła płynęło.

W reformach swych statysta polski, jak zaznaczyliśmy, nie idzie za daleko — nie żąda w imieniu ludu polskiego ani „pisanego gminowładztwa,“ ani „bezwzględnej własności gruntowej,“ żąda li tylko sprawiedliwości cywilnej — zaprowadzenia równości prawnej. Chodzi o urzeczywistnienie tych postulatów, które już wystawił Modrzewski w swem dziele o naprawie Rzeczypospolitej. Co się zaś tyczy stosunku gospodarczego między chłopem a dziedzicem, Kołłataj przemawia za ustanowieniem kontraktów, które określa, czy chłop ma spełniać robotę, czy też ma płacić pewien czynsz.

„Dziedzic nada kontrakt i jak go tylko raz opisze, powinien go wiernie co do słowa zachować i gdyby go w czemkolwiek nad dobrowolny opis chciał obciążyć, wtenczas niech będzie zwierzchność krajowa obowiązana sądzić między nim a dziedzicem i pokrzywdzonemu uczynić sprawiedliwość.“

W listach Anonima niema jeszcze mowy o zniesieniu zupełnem poddaństwa, lecz jedynie o uregulowaniu nienormalnych stosunków, ułagodzeniu antagonizmów i podniesieniu włościactwa przez ułatwienie im dojścia do własności. Kołłataj antycypuje poniekąd poglądy edyktu Napoleońskiego z r. 1807.

Rolnicy, posiadacze gruntowi i chłopcy pracownicy nie wyczerpują jednakże całego narodu. Są jeszcze inne warstwy społeczne, które oddają wielkie usługi, nie będąc jednakże zupełnie produkcyjne. Mowa tutaj jest o ludziach, trudniących się „kupiectwem i rzemiosłem.“ „Opatrzność, udarowawszy każdą część ziemi obfitością niektórych płodów, chciała przez potrzebę wszystkich ludzi jednym na świecie uczynić narodem.“

Odzywa się echo wywodów fizyokratycznych pisarzy, którzy marzyli o owej sielance międzynarodowej, gdy panować będzie

międzynarodowa zamiana produktów. Te same poglądy wyraża Kołłataj: „Nie masz kraju, któryby we wszystkie płody życia ludzkiemu potrzebne był opatrzony, lecz nawzajem, nie masz kraju, które-muby wielorakich reprodukcji gatunków na potrzebę nie zbywało.“ I występuje kupiec, mający szczęśliwą równość i zamieniający jedne produkty na te, których w ojczyźnie swej nie znajduje. I występuje rzemieślnik, przerabiający płody naturalne na przedmioty codziennego użytku. Mówiąc o tych dwóch „stanach Rzeczypospolitej,“ Kołłataj dotyka miast i sprawy miejskiej.

Autor zwraca uwagę na ździerstwo i ucisk, jakie miasta cierpią od wojsk i starostów. Ażeby zapobiedz temu, należy zasięgnąć rady u samych mieszczan przez powołanie reprezentantów miejskich do sejmu.

Kołłataj zupełnie słusznie podkreśla, że dzisiejsza gospodarka miejska jest nieodpowiednia: dzisiejsze miasta niczem prawie od wsi się nie różnią, a mieszczenie głównie rolnictwem się trudnią. Miasta tylko tyle powinny mieć ziemi, ile jej potrzeba na zamieszkanie dla rzemieślnika i kupca, ci bowiem innemi pożytecznemi sprawami mają się zajmować, aby przez to nie osłabły podstawy dobrobytu narodowego.

Nie idzie zatem, że Kołłataj pragnie upośledzić pod jakimkolwiek względem klasę mieszczańską. Myśliciel nasz wyraża jedynie zdanie, że podział pracy społecznej jest dźwignią postępu społecznego. Konstatujemy idee Smithowskie, wyrażone jednakże w sposób odrębny i oryginalny. Niema śladów, aby Kołłataj, pisząc swe Listy Anonyma, znał dzieło Smitha.

Nakoniec dotyka autor mimochodem kwestyi żydowskiej. „Sposób życia, choroby, przyczyniają się wiele do ubóstwa, ale przyczynia się prócz tego wiele i przemoc panów, którzy podatkowaniem obdzierają ich do ostatka. Już dlatego, że są słabsi fizycznie i mniej wygod mają od chrześcijan, trudno zajmować się im rolnictwem, które wymaga ciągłej pracy i ciągłego natężenia sił. Przytem czyż mogą garnąć się do niego, widząc ucieszenie rolnictwa.“

Dla naprawienia położenia Żydów trzeba dać im oświatę, w miastach mają podlegać tej samej policyi, co i wszyscy, wyłącznych podatków nie powinni opłacać. „Żydzi są obywatelami, mogą być żołnierzami.“ Kołłataj stoi na wskroś obywatelskim punkcie widzenia, nie chcąc stracić dla sprawy narodowej ani jednej warstwy społecznej.

„Na nic się nie przyda myśleć o Rzeczypospolitej, jeżeli którykolwiek stan w despotycznym zostanie jarzmie.“

I listy owe, z których część III, wydana w r. 1790, zawierała już ujęte w paragrafy wnioski, miały duże praktyczne znaczenie. Zupełnie słusznie podkreśla Grabski, że tutaj odtworzony jest porządek, w jakim prace sejmu mają następować. Należy zapewnić trwałość obrad—ukonstytuować silne wojsko, a potem dopiero należy przystąpić do reform. I główny kamień węgielny, polega na nadaniu włościanom wolności i umożliwianiu korzystania z własności.

Zaznaczyliśmy, że Kołłątaj nie przeprowadził jasno idei uwłaszczenia włościan; mówi jedynie w sposób dobitny o wolności. Z listów wynika, że autor pragnął również, aby włościanin miał dla siebie kawałek gruntu. „Milionowy niewolnik dotąd ogląda na sprawy Rzeczypospolitej z obojętnością, tak właśnie, jak wprawiony do jarzyna wół rozwozić musi nieszczęśliwych, a podobnych sobie ofiar, jak ptak siedzący na drzewie spokojnie patrzy, gdy chciwy połowu myśliwiec ugania się w kniei za niedźwiedziem i wilkiem.“

Reformy Rzeczypospolitej, przeprowadzone na drodze prawodawczej, muszą zmienić istniejący stan rzeczy. I wtedy dopiero o odrodzeniu narodowym mówić będziemy w możności.

Rzucone myśli, dzięki swej zadziwiającej wymowie, trafności sądu i rzadkiego poczucia obywatelskiego, znalazły odgłos w społeczeństwie. Pomimo zgrzytów, wychodzących z obozu przeciwnego, projekty Kołłątaja częściowo wcielono w czyn.

W r. 1791 Kołłątaj zostaje mianowany podkanclerzem koronnym, przez co może bezpośrednio wpływać na obrady sejmowe. Zabiera głos we wszystkich kwestjach żywotnych: układa projekt urządzenia sądów asesorskich, przeprowadza prawo o miastach królewskich, propaguje czynnie reformę włościańską. Umie przykuwać uwagę nawet niechętnych sobie, umie dawać genialne pomysły, mając dostateczną energię do przeprowadzenia.

I raz jeszcze w r. 1790 odzywa się w broszurze „Ostatnia przestroga dla Polski“<sup>1)</sup>, gdzie zwraca się z upomnieniem do społecznej opinii, aby pilnowała przeprowadzenia reform, aby Polska wejść mogła na drogę odrodzenia wewnętrznego i zewnętrznego. „I zajaśnieje Gloria Polski i wróćą czasy, gdy imię Polski sławiono w Europie całej. I dokona tego twórczy czyn—poprawy bytu moralnego i materyalnego.“

<sup>1)</sup> Ostatnia przestroga dla Polski. Warszawa, 1790.



Nadeszła radosna dla niego chwila uchwalenia tych podstaw konstytucyjnych, o których z taką energią pisał. Napełniły się w dzień 3 maja loże sali sejmowej. Gromadzą się piękne damy, wśród których piękna jak Dyana podstolina Kossowska i pani Julia, żona uczonego Jana Potockiego, rej wodzą... A na galeriach kontusze, czarne sutanny duchownych, suknie francuskie mieszają się z sobą, stanowiąc dziwny, mieniący się obraz...

Napełnia się sala sejmowa. Wchodzą na salę posłowie. Wśród nich ks. Kołłątaj średniego wzrostu, twarzy pełnej energii, czoła wysokiego, znamionującego myśliciela, o oczach czarnych a spojrzenia przenikliwego, stanowi jedną z głównych postaci dzisiejszego posiedzenia. I może nawet przybrany w mundur korpusu kadetów, z orderem orła białego na piersi, król jegomości nie wzbudzał tego zainteresowania. Oczy patriotów szukają Kołłątaja i Potockiego.

I naród witał okrzykami powracającego z obrad króla, który złożył przysięgę na konstytucyę. I tłumy z uniesieniem wznosiły wiwaty na cześć tych, którzy przyczynili się do przeprowadzenia reformy. Ten ciepły dzień majowy, gdy naród cieszył się ze swego odrodzenia, a w rodzinach świętowano, marząc o lepszej przyszłości społecznej, był może ostatnim dniem radości dla Kołłątaja. W blaskach zachodzącego majowego słońca ginęła wymarzona przyszłość. Przyszły chwile pełne smutku i dla narodu i dla Kołłątaja.

Pisze Kołłątaj swe dzieło o ustanowieniu i upadku konstytucyi <sup>1)</sup>. Opowiada o chwilach twórczego czynu i o pogrzebaniu marzeń. Dzieło to miało na celu obronę pracy Sejmu czteroletniego i zrehabilitowania przywódców większości w sprawie odpowiedzialności za niepowodzenia r. 1792.

Nadchodzi r. 1794. Kołłątaj wyjeżdża z Warszawy nazajutrz po tej radzie ministeryalnej, na której sprzecznymi głosami zdecydowano podaną przez króla kwestyę akcesu do Targowicy. Początkowo—podług Korzona—niema zamiaru emigrować: „Można się usunąć na czas niejaki—pisze do Baresa—od zemsty i zawziętości ludzkiej; trzeba nawet, aby poczciwy człowiek nie wystawiał się na niebezpieczeństwo skażenia swego charakteru; lecz cóż mu ojczyzna winna, aby ją na zawsze opuszczał. Kilku złych mogło ją przyprawić o nieszczęście, ale miliony ofiar, ratunku

<sup>1)</sup> O ustanowieniu i upadku konstytucyi polskiej 3 maja 1791 roku. Metz, 1793.

potrzebujących, ale ta ziemia krwią i potem cnotliwych skropiona, te groby ojców, które nam być powinny dla cnot obywatelskich, mająż być bez czucia żalu opuszczone.“

Tymczasem po zakończeniu wielkiego dramatu dziejowego Kołłataj, szukając bezpiecznego schronienia w Austrii, znalazł tam więzienie. Od r. 1795 do 1802 był zatrzymany w więzieniu, gdzie, nie tracąc energii, pomimo złych zewnętrznych warunków, zabrał się do poważnej pracy naukowej. Owocem tych wysiłków było dzieło: „Porządek fizyczno-moralny czyli nauka o należytościach człowieka“ <sup>1)</sup>. Kołłataj stara się tutaj przedstawić swój system zapatrywań społecznych, łącząc w pewien określony stosunek podstawy teoretyczne z wymaganiami praktyki. Podobnie, jak w Listach Anonima, autor wychodzi z założenia, że światem rządzą pewne prawidła, stałe, nieodmienne:

„Te prawidła zawsze trwają i nigdy się nie odmieniają, przeto uważamy je za stateczne i nigdy nie odmienne, owszem za konieczne dla każdego jestestwa w szczególności i dla wszystkich w ogólności, bo wszystkie jestestwa podlegają im koniecznie i nie mogą być inaczej, tylko tak jak są z takimi własnościami i odmianami, które im służą i naznaczają między nimi istotną różnicę.“

I owe prawidła stanowią przyczynę wszechrzeczy, co można określić, jako przyrodzenie. Ponieważ zaś życie człowieka jest podwójne, fizyczne i moralne, więc oczywisty płynie stąd wniosek, że obok praw fizycznych, istnieją prawa moralne, regulujące moralne życie ludzi, co wogóle nazywamy prawami moralnymi. Autor przeprowadza analizę owych praw, które określają, w jaki sposób życie moralne jednostki i społeczeństwa powinno się układać. Prawa są to postulaty celowe duchowego naszego życia. Każdy człowiek, żyjący w społeczeństwie, podlega tym prawom i powinnościom. I dzielą się powinności na trzy zasadnicze kategorie: osoba człowieka jemu samemu tylko należy, t. j. jednostka powinna w całości zachować swoją osobę. Druga kategoria potrzeb i powinności wynika ze stanowiska człowieka do rzeczy, jako środków zaspokojenia jego potrzeb: „Przymuszony jest człowiek przyrodzenia prawem nabywać siłami własnymi rzeczy zgodnych do zaspokojenia swych potrzeb.“ Trzecia kategoria należytości człowieka względem drugich ludzi: „Każdy człowiek

<sup>1)</sup> Porządek fizyczno-moralny czyli nauka o należytościach i powinnościach człowieka, wydobytych z prawd wiecznych, nieodmiennych i koniecznych z przyrodzenia. Kraków, 1810.

na zupełną należytość swej osoby i jest obdarzony władzą samodzielnego działania, nie powinien zaś przeszkadzać drugiemu w użyciu jego sił, oraz powinien nabytą własność szanować i onej nie wydawać, ani sobie mocą przywłaszczać.“

I to jest właśnie porządek moralny, wydobyty z porządku fizycznego. Autor nazywa go wogóle porządkiem fizyczno-moralnym, gdyż przez prawa fizyczne przechodzimy do odkrycia praw moralnych, z których wypływają nasze powinności i należytości. Prawa moralne, rozciągające się na życie duchowe jednostki, mają znaczenie i w życiu ekonomicznem. Odzywa się tutaj wpływ Quisnaya'a, który chce podporządkować byt ekonomiczny owym prawom naturalnym. Nie jest jednakże Kołłątaj wyznawcą w ścisłym słowa znaczeniu doktryny fizyokratycznej.

W listach Anonyma niejednokrotnie wspomina o zasługach Colberta, Neckera i Turgota, oddając tym wszystkim działaczom należytą sprawiedliwość. Nie idzie zatem, aby miał system Turgota uważać za najbardziej racjonalny. Fizyokraci stali na punkcie widzenia, że ziemia jest jedynym źródłem bogactwa. Kołłątaj idzie dalej: „Ziemia w najłagodniejszym znajdując się położeniu, przemienić się musi w pustynię, skoro ją tylko ręka ludzka opuści.“ Praca ludzka stanowi bowiem podstawę dobrobytu człowieka: „Co warta jest ziemia bez ręki człowieka? Te zimne kraje, nie tylko dziś opatrują we wszystkie potrzeby swych mieszkańców, ale owszem rozciągają handel po obu półkrogach ziemi, zamieniając swe płody na wszystkie inne, dzięki właśnie pracy ludzkiej.“ „Próżno też wielu utrzymywało, że pierwszy, który ogrodził płotem jakąś część ziemi, stał się jej właścicielem, dlatego, że ją odosobnił od wspólnego używania reszty ziemi, mimo tego, że samo ogrodzenie nie mogło się obejść bez pracy, ziemia ogrodzona była jeszcze nieużyteczna, póki ręka ludzka, przechodząc przez wszystkie stopnie pracy, nie usposobiła jej do wydawania tych owoców, które sobie człowiek wyprowadzić zamierzył.

Widzimy, że Kołłątaj antycypuje poniekąd ideę Smitha, który pracę uważał za jedyny motor bogactwa gospodarczego. Dla nas wogóle pisarze końca XVIII w. nie mogą być zaliczeni do obozu fizyokratycznego. Staraliśmy się już wykazać wbrew twierdzeniu Marchlewskiego,<sup>1)</sup> że nasza myśl ekonomiczna daleko od tego kierunku odbiegła.<sup>2)</sup> I nie zresztą dziwnego. Nie ulega wąt-

<sup>1)</sup> Dr. Marchlewski: Fizyokratyzm w Polsce.

<sup>2)</sup> Grotowski Żeliszaw: Rozwój idei społeczno-gospod. w Polsce w końcu XVIII wieku.

pliwości, że z jakiegokolwiek punktu sądzilibyśmy doktrynę fizyokratyzmu, nie możemy nie przyznać, że rdzeń zapatrywań—rolnictwo stanowiąc główne i godne zajęcie, wytwarzające jedynie nowe wartości, analogicznie panowało i w fizyokratyzmie i w naszych pojęciach. Temu nieda się zaprzeczyć. A jednocześnie owa najważniejsza gałąź wytwórczości nie przyniosła u nas dodatnich rezultatów; przeciwnie właśnie—Polska z powodu upośledzenia przemysłu i handlu chyliła się do stanowczego upadku. Mogli zatem politycy nawet teoretycznie zbliżyć się do panującego fizyokratyzmu, z którym tak dobrze zaznajomili się, dzięki stosunkom z przedstawicielami tego kierunku. Nie ulega jednak wątpliwości, że teoretyczny pogląd nie przeszkodził i Kołłatajowi, i Strojnowskiemu, i Staszicowi zalecać opiekę państwową nad przemysłem i być wyznawcami industrializmu i ekspansyi ekonomicznej. W publicystyce wyraża się jeszcze jaśniej zapatrywanie, że w przemyśle leży przyszłość kraju. I tym ideom hołdował ks. Kołłataj. „Porządek fizyczno-moralny“ w kilka lat potem był wydany jako podręcznik prawa przyrodzonego.

Uwolniony z więzienia ks. Kołłataj znalazł się bez żadnych środków do życia. Brat i kilku przyjaciół przyszli mu w pomoc przez znaczne pożyczki. Insynuacje utrudniały jego działalność. Prof. Tokarz w swem studyum podkreśla, że „oskarżenia prześladowały Kołłataja na każdym kroku. Przedostawały się one, ku zdziwieniu władz austriackich, do celi więźnia przez mury pilnie strzeżone więzienia ołunieckiego, przywitały Kołłataja w początkach r. 1803 w Warszawie, gdzie go nie chciano przyjąć do zajazdu i wybito szyby w mieszkaniu Dinochowskiego, w którym się zatrzymał.“

Przyjaciele dali mu do zrozumienia, że należy wytłómaczyć się publicznie z oskarżeń, inaczej położenie będzie bardzo ciężkie. Zaznaczyliśmy, że walka z oskarżeniami stanowiła tło jego ostatnich lat życia, i w imię czego walczył Kołłataj, i czego chciał dowieść, przed czem się bronił.

Przeciw Kołłatajowi zwracano się najsilniej z powodu znacznej roli, jaką odegrał w wypadkach powstania 1794 r. Tutaj występuje znów ten zasadniczy błąd, który nieraz psuł jego zamierzenia: ambicya i arbitralność; był on duszą rządu powstańczego i wywierał wszędzie znaczny wpływ na działalność wszystkich wydziałów. Następnie stosunki z Targowicą odegrały także pewną rolę. Kołłatajowi w rozpacznej chwili, gdy widział ginącą bez ratunku Rzeczpospolitą, chodziło o uratowanie czegośkolwiek. Stąd jego akces do Targowicy. Równocześnie, jak zaznacza

na zasadzie nowych zupełnie źródeł prof. Tokarz, ogniskiem wszelkich oskarżeń przeciw Kołłatajowi, był sam król Stanisław August. Król uważał Kołłataja za swego kontrolera, któremu nie dowierzał, gdyż bał się jego wpływów. Podkanclerzy starał się o zjednanie króla dla stronnictwa reform, z początku starania te uwieńczone były dość dobrym rezultatem. Dopiero po upadku wszystkich zamierzeń, stosunki zaostrzyły się gwałtownie. Król widział w Kołłataju głównego swego oskarżyciela, pomawiając go o wpływanie na opinię publiczną. W książce o upadku konstytucyi wprost dopatrywał się wycieczek przeciw sobie. Na tem tle wywiązał się antagonizm.

Znalazłszy sojuszników, król nie szczędził starań, aby w ujemnem świetle przedstawić Kołłataja, którego zawsze nazywał „jakobinem i rewolucjonistą.“ I ukazały się broszury: „Obrona Stanisława Augusta,“ oraz Linowskiego „List do przyjaciela,“ gdzie postępowanie Kołłataja poddano najsurowszej krytyce. Można jednakże stwierdzić, że bardzo mało znajdowało się faktycznego materiału, na którego zasadzie możnaby uformować stanowczy akt oskarżenia. Nie wchodząc w zbytne rozstrząsanie tych zarzutów, zaznaczamy jedynie, że nieprzyjaźnie usposobieni ku niemu ludzie, jak Niemcewicz i Wodzicki, naoczni świadkowie wypadków, nie stwierdzali złej woli w czynach Kołłataja. Równocześnie zaś do wyrobienia nieprzychylniej opinii pomógł sam Kołłataj przez swe nieumiejętne postępowanie z ludźmi. Dochodziło bardzo często do zrywania z przyjaciółmi i później do wzajemnego prześladowania. Wywiązywały się różne fantastyczne gawędy, które w haniebny sposób szkodziły Kołłatajowi. Ostatecznie w nowych warunkach autor Listów Anonima nie mógł długo żyć. Mało było przyjaciół, którzyby chcieli podać mu rękę. Opinia, podniecana w swej wyobraźni, widziała w nim demagoga, niespokojnego warchoła i omal nie zdrajcę sprawy narodowej. Piękne dni majowe skryły się w otchłań zapomnienia.

Wtedy złamany na duchu, Kołłataj znalazł chwilowy przytułek w domu podkomorzego krzemienieckiego, Michała Deniski. Zdała od spraw publicznych, pełen zawodów, chciał odpocząć i zapomnieć o całym swem dotychczasowem pełnem działaniu życia. Nie dane mu było jednak zakończyć w ten sposób spokojny bytowanie. Tadeusz Czacki, reformator szkolnictwa polskiego, odwiedził swego dawnego przyjaciela w jego ustroniu i namówił do pomocy w sprawach publicznych. Kołłataj w korespondencyi naukowej z Czackim rozwija szeroki plan reform szkolnictwa.

Spółeczeństwo nie zdaje sobie może sprawy, jak wiele reforma Czackiego zawdzięcza czynnej działalności i pomocy Kołłątaja.

W tych listach, bogatej treści naukowej, objawia się jego umysł pedagogiczny, odczuwający braki wychowania narodowego i starający się dać młodzieży poważny materiał naukowy. Kołłątaj, podobnie jak Staszic, stoi na punkcie widzenia poglądów Arystotelesowskich: szkoła stwarza typ dobrego obywatela, powinna nauczyć myśleć, dać podstawy do twórczej i żywej działalności publicznej. I szczególnie w naszym położeniu politycznym owe wymagania powinny być przeprowadzone do granic ostatecznej konsekwencji. Wychowawcza strona działalności Kołłątaja nie znalazła jeszcze swego historyka, a przecież w tych listach, w tych zamierzonych reformach leży ogrom niewyzyskanego materiału, którego opracowanie właśnie teraz, w epoce budowania podwalin szkoły polskiej, jest ze wszech miar pożądane i wskazane.

Przewodnia idea Kołłątajowska polega, jak zaznaczyliśmy, na połączeniu nauk szkolnych z życiem praktycznym. Tak na przykład pragnie, aby profesor matematyki elementarnej w szkole średniej w niedziele i święta dawał lekcye mechaniki praktycznej rzemieślnikowi: jest to kurs nauki w każdym kraju najpotrzebniejszy, którego potrzeba co moment daje się czuć w gospodarstwie wiejskiem, w zaprowadzeniu różnych fabryk i rękodziel. Jest ciekawy fakt, że w planie wychowawczym Kołłątaja dużą rolę grają nauki społeczne.

„Nauka prawa natury znaczy więcej, niż etyka, bo prawo natury wyprowadza prawidła niezmiennie dla naszego rozumu i woli; etyka zatrudnia się rozbiorem naszych skłonności i pasyi. Dobry prawodawca i wykonawca praw nie może się obejść bez znajomości tej nauki. Minister skarbowy, jeżeli będzie się mógł nazwać dobrym ekonomem politycznym, musi z niej czerpać swoje prawidła.“

Wogóle publicystyka nasza końca XVIII w. wybitny kładła nacisk na wykłady nauk społecznych, gdyż przez to tworzyć się miał śmiały i moralny charakter narodowy. Surowiecki pragnie, aby już w szkołach elementarnych uczono prawideł gospodarstwa krajowego. Kołłątaj, syn filozofii XVIII w., umiał jednakże zrozumieć, że kamień węgielny wychowania polega na racjonalnem prowadzeniu wykładów religii. Trzeba tylko znaleźć śmiałego i rozsądnego kapelana, który przez swe życie powinien dawać dobry przykład i otaczać opieką dzieci. Nie należy jednak rozumieć opieki przez „policyjno-legitymistyczne“ śledzenie, dziecko

w nauczycielu niech widzi brata starszego, któremu może się zwierzać ze swych bólów i zgryzot dziecięcych. W ślad za Staszycem Kołłataj pragnie bardzo szerokiego uwzględnienia nauki historii ojczystej. Znajdować będą tam wzory cnót obywatelskich, których tak mało w tej trudnej epoce życia naszego narodowego. Przypomina nam się przepiękny ustęp z listu Kołłataja, gdy mówi o prawdziwej cnocie obywatelskiej, zaczerpniętej z wzorów starożytnej Grecyi: „Mówili sobie Ateńczycy, iż im się uprzykrzyło słuchać bezustannie o cnocie Arystydesa i wielu nawet tę pobudkę mieli do wotowania za jego wygnaniem. Mogłabyż komu bardziej obmierznąć ojczyzna, jak temu, którego wygnano jedynie dla tej przyczyny, iż był poczciwym? Jakże sobie w takim razie cnotliwy postąpił Arystyd? Wygnany—błogosławił ojczyźnie i prosił bogów, aby Rzeczypospolitą Ateńską w całości zachowali:“

Zapoznanawanie młodzieży z podobnemi postaciami wdraża w nią poczucie obowiązku, hartu i posłuszeństwa prawom. I wtedy młodzież zrozumie, na czem właściwie polegać ma miłość ojczyzny. Jest to uczucie wielkie, któremu sprostać mogą silne a hartowne dusze. Miłość ojczyzny—oddalenie swych spraw osobistych, swych codziennych zgryzot, życie dla tej promiennej idei, która da radość i zapomnienie. Miłość ojczyzny nie pozwoli zwątpić o świętości sprawy, mogą wszyscy rozpaczać, że Rzeczypospolita ginie... obywatelom nie wolno tracić nadziei. W tych ciężkich chwilach przejść narodowych miłość ojczyzny rośnie i potężnieje. To uczucie ma wyrabiać i kształtować szkoła narodowa. Kołłataj nie tylko myśli o młodzieży męskiej—pragnie, aby stworzyć podwaliny racjonalnej edukacji kobiecej. W tym względzie Kołłataj chce utworzenia specjalnych seminariów, gdzie mają się kształcić we wszystkich najważniejszych naukach. I z tej pustyni, w jakiej się znalazł, szły rady i myśli naukowe. Panowała ożywiona korespondencya ze wszystkimi przedstawicielami myśli naukowej w Polsce.

Tymczasem nadeszła epoka utworzenia Księstwa Warszawskiego. Naród z zapałem przyjmował zapowiedź lepszej przyszłości. „Radosnemi okrzykami witano przybywającego monarchę. Rozrzucające były to okrzyki—pisze Niemcewicz—gdyż pochodziły z serca. Naród nasz, znany z przywiązania do królów swoich, dobry, tkliwy i wdzięczny, i tem tkliwszy, że długo był nieszczęśliwym, klęsk swoich, znieważonej powagi zdawał się zapominać, patrząc na króla, który mu szczęśliwą rokuje przyszłość.“

Niestety, rzeczywistość poszła inną drogą. Okres Księstwa Warszawskiego stanowi jeden wielki wysiłek, aby przecież, pomimo pozornej niepodległości, nie upaść pod względem ekonomicznym.

Kołłataj występuje na widownię. Otrzeźwiał na umyśle, odżył w swych zwątlonych siłach, przeniknięty pewną nadzieją. Autor zajmuje się tutaj stosunkami politycznymi w Księstwie Warszawskim. Statysta nasz chce zwrócić uwagę Napoleona na anormalne położenie ziem polskich, równocześnie chce dodać otuchy apatycznemu społeczeństwu, pragnąc, aby naród nasz, oparty na prawach moralnych ładu i porządku, mógł rozwijać się należycie pod opieką mocnego rządu. Kołłataja nie może zadowolić dzisiejszy stan rzeczy: „jest to kraj mało znaczący tak przez swą niedołężność, jak tembardziej przez swe geograficzne położenie;“ suponuje on, że Napoleon przywróci Księstwu dawną potęgę „Polski Jagiellonów.“ Pogląd ten, podzielany zresztą przez znaczny nader odłam ówczesnego społeczeństwa, Kołłataj motywuje kulturalną misją Francji, oraz powołuje się na odwieczną przyjaźń dwóch narodów. Ma się rozumieć, sentyment w polityce nie ma znacznego waloru. Kołłataj posiadał zbyt przenikliwy umysł, orientujący się doskonale w zagadnieniach politycznych, aby liczyć jedynie na przyjaźń, i to problematyczną, imperatora Napoleona. Dlatego też jest konieczne dźwignięcie wewnętrzne społeczeństwa, które samodzielnie powinno się starać o swój postęp i rozwój gospodarczy. Powraca do punktu, który starał się dobitnie uzasadnić w Listach Anonima: wolni obywatele powinni podlegać silnej władzy zwierzchniczej, która ma rozstaczać „opiekuńską“ pomoc dla stworzenia normalnych warunków ewolucji społecznej. Władza stanowi czynny pierwiastek życia narodowego. Przedewszystkiem rząd, wsparty na mocnych podstawach, „najdzie odpowiednie środki do urządzenia dobrej ekonomii publicznej, t. j. zaprowadzenia fabryk i manufaktur, aby dawał wszystkim mieszkańcom zachęcenie, pomoc i wsparcie, a w miarę wzrastającego bogactwa partykularnego, pomnażał, stosownie do potrzeby kraju, dochody z każdego właściciela części, jakkolwiek gatunek gospodarstwa szczególnie wzbogacać go będzie.“

Myśli, w podobny sposób sformułowane, odbiegają daleko od panującego liberalizmu i fizyokratyzmu, któremu Kołłataj miał bezwzględnie hołdować. Wycieńczony pod każdym względem kraj musi z konieczności otaczać opieką rodzący się przemysł. Sformułowany przez Lista pogląd o doniosłym znaczeniu systemu pro-



tekcyjnego, kielkował już dawno w umysłach trzeźwych polityków ekonomicznych.

W dalszym ciągu Kołłątaj przechodzi do roztrząsania generalii kwestyi włościańskiej. Zaznaczyliśmy, że przed Konstytucją 3 Maja twierdził Kołłątaj o konieczności nadania praw włościanom: „sama szlachta w interesie własnym swego stanu powinna zespolić się ze stanem miejskim i uznać wolność osoby i rąk czyli pracy włościanina, aby nie mieć w nim utajonego wroga,“ i chociaż głosił, że „różnice między ludźmi nie powinny być brane za nierówności, lecz za podział nieuchronny w społeczności, a wszystkie podziały na klasy, choćby istotnie potrzebne, nie pochodzą z wrodzonej nierówności.“ I Kołłątaj z pewnego rodzaju zadowoleniem mówi o edykcie napoleońskiej w stosunku do włościan. W tym entuzjazmie, dość niepojętym w ustach twórcy Konstytucyi 3 Maja, widzimy pewnego rodzaju oportunizm polityczny.

Wogóle Kołłątajowi chodzi ciągle o względy możnego protektora, aby Napoleon pojął należycie, że Księstwo Warszawskie stanowi okres przejściowy do zupełnej samodzielności, co leży w interesach i Rosyi i Francyi. Rosya nie może już rozszerzać się na zachód, gdyż uszczupla przez to swą potęgę wewnętrzną oraz wysila energię na niepotrzebne pilnowanie zbyt odległych granic, Francya zaś dla zachowania pierwszorzędnego stanowiska w Europie winna stworzyć w samodzielnej Polsce silnego dla siebie sprzymierzeńca. W tem wolnem państwie, które Kołłątaj widzi w Księstwie Warszawskim, ma być silny, jednolity rząd umiarkowanie konstytucyjnego charakteru. I państwo, złożone z wolnych, równych wobec prawa obywateli, otacza opieką życie gospodarcze, wprowadzając w czyn zasady protekcyjizmu gospodarczego. Podobna polityka chroni przemysł i rolnictwo od zewnętrznego zalewu i podtrzymuje przemysł, wyrabiając samodzielność i ufność we własne siły. „Tylko bowiem poczucie własnej mocy odrodzi ginący naród.“

Dziełko zawiera zatem program polityczny dość ściśle skonstruowany. Traktat ten stanowi podstawę, na której w wielu punktach opierała się ówczesna publicystyka. W tych uwagach widziano chęć Kołłątaja dojścia do nowych zaszczytów i godności oraz wogóle chęć odegrania wybitnej jakiejś roli. O ile jednak wyjaśnia prof. Tokarz, przedewszystkiem Kołłątaj chciał rzucić w społeczeństwo hasło „nil desperandum,“ aby poruszyć drżące siły narodowe. Ale my idziemy dalej,—przypuśćmy nawet, że traktat ten miał być szczeblem do nowej politycznej kariery Kołłątaja. Czy możemy się dziwić, że niez mordowany działacz epoki

reform Rzeczypospolitej pragnął znów powrócić na widownię, wierząc w swoje własne zdolności. W Polsce brakowało zwykle jednostek o wybitnej indywidualności, pomimo utartego poglądu o naszej samodzielności intelektualnej. Powinno być nawet pochytywane za zasługę ludziom o twórczym umyśle, że pragną wysunąć się na plan pierwszy, że pragną wziąć udział w pracy publicznej. Dlatego też akcja Kołłataja w tym wypadku w żadnej mierze na jego minus zapisana być nie mogła. A zresztą, jeżeli mamy wierzyć świadectwu jego przyjaciela, Śniadeckiego, Kołłataj pragnął jedynie odzyskać swą własność i oddać się całkowicie pracy naukowej. W Warszawie nie mógł nic wykołatać, pojechał naprzód do Drezna, a potem w r. 1809 do Krakowa. Tutaj Kołłataj trzyma się na uboczu, o jego pobycie wie tylko garść przyjaciół, którzy mu spieszyli z pomocą w najcięższych czasach. Czynna natura Kołłataja nie znała spoczynku. Zwracając uwagę na braki ustroju politycznego w Galicyi, Kołłataj zwraca się z obszernym memoriałem w tej sprawie do ks. Józefa. Nie udało mu się nawiązać z nim stosunków. Odżywa dawny antagonizm między autorem dzieła „O upadku konstytucyi“ a rodziną Poniatowskich; z drugiej znów strony ks. Józef bał się, aby go nie pomówiono o daleko idące plany co do zajęcia tronu polskiego.

A tymczasem Kołłataj z dawnym uporem upomina się o urzędowe zniesienie rozporządzeń rządu austriackiego, usuwających go raz na zawsze z Galicyi i pozbawiających go majątku świeckiego i duchownego. Władze cyrkulowe nie mogły wydać decyzji w tej sprawie, odesłały go do Rządu Centralnego, który okazał się bardziej przychylny. Nakazano zwrócić Kołłatajowi dawne prebendy i cały majątek ruchomy. Z powodu radykalizmu politycznego Kołłataja cała sprawa została w zawieszeniu.

W czasie pobytu Kołłataja w Krakowie zanotować jeszcze należy, że zajmował się pewną reorganizacją ziemczonoj przez rząd Akademii Krakowskiej, co do której także wielkie położył zasługi. A tymczasem coraz więcej skołatany na ciełe i umyśle powraca Kołłataj do Warszawy w r. 1810. Porzuca już wszelkie myśli czynnej działalności, przerzucając się na pole pracy gabinetowej.

„Tyle wycierpiawszy w politycznym zawodzie, można go już bez żalu porzucić—pisze do niego Śniadecki—i jako plac przesłać doń i podejrzeń i jako pole, na którem w tak widocznym miejscu nie pozostaje talentowi pisarza nic do zrobienia. Obywatelskie dla rodaków przestrogi, jeżeliby okazały się konieczne po-

trzebne, staną się dojrzsze i wydadzą się czystsze bez wpływu powinności urzędowych. Swoboda umysłu, nie zmieszana zgiełkiem życia publicznego, prowadzi nas do trafniejszej i szczęśliwszej uwagi.“

W odpowiedzi zaznaczył Kołłataj—jak pisze Tokarz—że już o niczem dla siebie nie myśli. „Chcę być tym szczęśliwym, który jeżeli go świat porzuca, zdolny jest wcześniej spostrzedz się i za opuszczającym go próżno nie goni. Szczęśliwy, jeżeli wylany dla dobra publicznego, pracuje póki może, ile może, nie wymagając po nikim wdzięczności, nie zrażając się niewdzięcznością i przesładowaniem.“ A tymczasem ze wszech stron namawiano go, aby nie porzucił służby politycznej. Przed śmiercią raz jeszcze był w Dreźnie, gdzie król przyjął go łaskawie, obiecując swe poparcie.

W r. 1811 zapadł ciężko na zdrowiu. Ogarnęła go jednak gorączka czynu, tem większa, że pracowitość towarzyszyła mu zawsze w pomyślnych i nie pomyślnych chwilach jego życia, na urzędach publicznych i w prywatnem zaciszu, w więzieniu i na wygnaniu.

Pisze prof. Tokarz, że śmierci oczekiwał z zupełnym spokojem, uważając ją za najwyższe dobrodziejstwo, które Opatrzność zapewniła żyjącym. Przed śmiercią pojednał się z Bogiem, „mimo że złośliwa potwarz wystawiała go tylokrotnie w oczach świata za obojętnego lub targającego się na te święte obowiązki.“ Oświadczył, że w wierze, w której był zrodzony i wychowany, żył i w niej pragnie umierać, że do utrzymania jej czystości przykładał się rzetelnie, że wszystkie w tej mierze wątpliwości uważał za próżne, za szkodliwe dla towarzyskiej spokojności.

28 lutego 1812 r. niespodziewanie prawie, wśród grona przyjaciół, umarł.

A w ostatnich dniach swego życia podobny był do tego starego dębu, który, ogołocoony z liści, odarty z kory, pozbawiony swych rozległych konarów, sam tylko jeden pozostał na rozległej porębie wyciętego lasu. Dopiero po śmierci Kołłataja rozległy się spory co do jego osoby i co do roli, którą pełnił w służbie publicznej. Przyglądamy się temu działaczowi, który, jak nawet nieprzyjaciele jego utrzymują, całe życie swe dla ojczyzny poświęcił.

W czynach Kołłatajowskich była ambicya i zbytńia chęć górowania nad ówczesnymi sobie. I to może będzie najlepszem świadectwem, że przecież, jeżeli błędził, pokutował, a za czyny umiał z godnością konsekwencyę ponosić. Zresztą, jak wykazują obiektywne badania historyczne, condemnata nie wytrzymała

w najważniejszych punktach krytyki. W testamencie swym umiał się obronić, dając najlepszą odpowiedź swym oskarżycielom, że nie żywot pełny zaszczytów, ale ciężkie, najeżone przeszkodami i zgryzotami bytowanie było jego w większej części udziałem...

A w setną rocznicę śmierci Kołłataja, gdy przypominamy sobie te rozrzewniające chwile skromnego pogrzebu zwłok jego, gdy przed oczami widnieje owa skromna, z desek nieheblowanych sklecona trumna, jedna myśl tylko może nas ożywiać.

Błądził, gdyż grzesznym był człowiekiem... Błędy swe naprawił czynami twórczymi i cierpieniami. I dlatego zapominamy o tym ambitnym i demagogicznym—jak mówi Korzon—ks. Kołłataju, a pamiętamy o nim, jako odnowicielu i wskrzesicielu umierającej ideologii polskiej. Umierając, wpatrywał się jeszcze w te święte a cierpieniom poddane oblicze ojczyzny, która dla niego była świetlaną gwiazdą, prowadzącą na najwyższe wyżyny ducha... I za te wskazania polityczne, za te o uniżeniu głębokim twory literackie, za to wyprowadzenie narodu z martwej apaty, za te niespożyte czyny ku dobru społeczeństwa — w setną rocznicę śmierci kornie czoło chylimy.

I w pamięci naszej wspomnienie o wielkim obywatelu żyć będzie.

DR. ŻELISŁAW GROTOWSKI.

# MÓJ POBYT W NIEWOLI ROSYJSKIEJ

w roku 1812.

Autor wspomnień niniejszych, Samuel Bogufal (Traugott) Peszke, urodził się w Budziszynie, stolicy Łużyc saskich, dn. 23 października 1779 r. Do szkół uczęszczał w mieście rodzinnem od 1790 do 1798 r., poczem wstąpił do Akademii wojskowo-lekarskiej w Dreźnie, po której ukończeniu, udał się do Erfurtu dla uzupełnienia wykształcenia lekarskiego w tamtejszym uniwersytecie, gdzie też otrzymał dyplom doktorski. Na początku 1802 r. wstąpił do służby wojskowej saskiej, jako chirurg, a pozostając w niej 9 $\frac{1}{2}$  roku, dosłużył się stopnia starszego chirurga (*Oberwundarzt*). Służąc w wojsku saskiem, brał udział w bitwach pod Jeną, Ratysboną, Esslingiem i Wagramem. Zwolniony od obowiązków w Saksonii, mianowany został 18 maja 1811 r. najpierw sztabschirurgiem, niebawem, 29 sierpnia t. r., urzędnikiem zdrowia klasy pierwszej w pułku 10-tych jazdy wojsk Księstwa Warszawskiego, czyli złotych huzarów, pod dowództwem Umińskiego. W r. 1812 wyruszył ze swym pułkiem do Rosyi, uczestniczył w bitwach pod Smoleńskiem i Mozańskiem, w tej ostatniej był ciężko kontuzjowany w piersi odłamkiem granatu. Po zajęciu Moskwy, wywabiony podstępnie za miasto, dostał się do niewoli rosyjskiej wraz z oficerami polskimi, Malińskim i Roederem, i przebył w niej do maja 1813 r. Przygody swoje opisał w pamiętniku niniejszym. Odstawiony przez władze wojskowe rosyjskie do Białegostoku i oddany pod rozkazy oficera saskiego, stojącego na czele jeńców saskich powracających do ojczyzny, pomimo protestu, zmuszony był udać się do Płocka, gdzie przed wojną pułk jego stał załogą. Tam oświadczył stanowczo, że dalej nie pójdzie, czując się do obowiązku nie opuszczania kraju, w którego służbie pozostawał. Znalazłszy w Płocku poparcie dawnych znajomych oraz władz miejscowych, zajęli się praktyką lekarską. Następnie pełnił zastępczo obowiązki fizyka powiatowego w Lipnie. Po ustanowieniu Królestwa Polskiego, nie mając zamiaru służenia nadal w wojsku, podał się do dymisyi, a otrzymawszy ją 9 listopada 1816 r., wstąpił do służby cywilnej; od 1 grudnia 1817 r. do 31 października 1834 r.

pełnił obowiązki lekarza obwodowego w Płocku, gdzie życia dokonał 21 października 1837 r. Sas z pochodzenia, szczerze i gorąco przywiązał się do Pol-  
ski, synowie jego byli już Polakami, jeden brał czynny udział w powstaniu  
1863 roku.

Rękopis pamiętnika, skreślony w języku niemieckim, znajduje się w po-  
siadaniu wnuka autora, d-ra Józefa Peszkego, który też dokonał przekładu  
na język polski. W wydaniu niniejszem pomieszczono wspomnienia z pobytu  
autora w niewoli.

## MÓJ POBYT W NIEWOLI ROSYJSKIEJ I.

W pobliżu miasteczka, którego nazwa wyszła mi z pamięci, kilka pułków jazdy, należących do straży przedniej Wielkiej Ar-  
mii, odrzuconych zostało przez nieprzyjaciela i doznało strat do-  
tkliwych. Pułk 10-y jazdy, czyli huzarów złotych, będący pod  
dowództwem pułkownika Umińskiego, poniósł w szwadronach  
swych niejedną ubytek bolesny, a liczba ranionych dość wielka  
przysporzyła mi pracy niemało; pod opieką chirurga mego, Cel-  
larena,<sup>1)</sup> odesłałem ich na tyły do Witebska.

W końcu i mnie samego opadło wielkie wyczerpanie sił; do-  
stałem kurczów w obu nogach do tego stopnia, że nie byłem  
w możności usiedzieć dłużej na koniu. Musiałem pozostać we  
wsi opuszczonej i spustoszonej, w której znajdował się wszakże  
jeszcze dwór w stanie dość dobrym, aby w nim zamieszkać. Ko-  
nie moje i powóz znalazły tam dla siebie pomieszczenie aż nadto  
dostateczne, a służba wynalazła też wnet dosyć owsa i siana.  
Nazajutrz nadszli żołnierze francuscy i kazali sobie pokazać  
wszystkie pokoje we dworze, powiadając, że za dni kilka nade-  
jdzie generał, który chce tu stanąć kwaterą. Oprowadzał ich po  
dworze jakiś jegomość, utrzymujący, że jest rządcą tego majątku.  
Ten, mówiący płynnie po francusku i po niemiecku, bardzo mi się  
nie podobał; zachowanie się jego było jakieś niepewne i chwiej-  
ne, a w oczach jego dostrzegałem błyski fałszywości. Chociaż  
ten człowiek ze mną rozmawiał wiele i często, jednakże nigdy od  
niego dowiedzieć się nie mogłem, do kogo właściwie należy ma-  
jątek, w którym się chwilowo znajdowałem, jakie nazwisko i ty-  
tuły właściciela. Na wszystkie pytania odpowiadał mi wykręt-  
nie, zbywając niczem; wydawał mi się być szpiegiem, a może

<sup>1)</sup> Stanisław, urzędnik zdrowia klasy 3-jej, mian. 12 paźdz. 1809 r.

być, że i on to samo o mnie myślał. Nieprzyjaciela swego zaufaniem darzyć nie należy — wybaczać mu można.

Żywności dla nas braku nie było, bo mój woźnica, niejaki Schimider z Ostrowa, były żołnierz pruski, jak wyżeł istny, uniał wytropić wszystko. Doniósł mi też trzeciego dnia, że w lesie poblizkim gromadzi się siła ludzi, uzbrojonych w piki i drażgi, utrzymywał też, iż dostrzegł chłopów, zbrojnych w siekiery i pałki, myszkujących we wsi. Gdym o to wszystko wypytywać zaczął pana rządcę, drab ten, nałożywszy maskę obłudną, chciał czujność mą uspić. Widocznie myślał, że ja, będąc chorym, nie będę mógł nic przedsięwziąć przeciw jego zamysłom dyabelskim. Przeliczył się jednak. Ostrzegłem zaraz żołnierzy francuskich, kazałem natychmiast siodłać konie i zaprządź powóz i sam w siodło skoczyłem. Woźnicy z powozem kazałem wrócić się do Witebska, przeciw czemu protestował, na sposób pruski, klnąc, jak poganin, ale kilka uderzeń płazem pałasza nauczyło go rozumu i zmusiło do posłuszeństwa. Ze stajennym swym, ułanem rosyjskim, zbiegłym z szeregów, pokłusowałem naprzód. Ledwo ujechawszy z pół mili znalazłem się na miejscu wzniesionem, gdym ujrział tłum ludzi wypadający z lasu i biegnący z rykiem i krzykiem ku wsi. Banda ludzi dzikich chyba nie mogłaby być więcej rozjuszona od tego tłumu. Woźnicę swego miałem za zgubionego, ale w duszy śmiałem się z wściekłości tych ludzi i, dawszy ostrogi gniadoszowi, popędziłem drogą przed siebie; obawa pędziła mnie naprzód, a stajenny śpieszył, dysząc, za mną. Tak dojechaliśmy do miejsciny najbliższej, gdzie spodziewałem się zastać naszych. Żydzi obstąpili nas, gapiąc się.

Pułkownika mego z pułkiem nie zastałem już w miasteczku; korpus już od dni kilku zmienił był zajmowane stanowiska. Czyż pułkownik nie byłby powinien zawiadomić mnie o tej zmianie?<sup>4)</sup>

Lekarz wojskowy dopóty cieszy się czcią i uznaniem, póki jest czynny. Na nim ciąży obowiązek troszczenia się o ranionych

<sup>4)</sup> Mój pułkownik Umiński, wychowaniec szkoły wojskowej pruskiej, nie żywił wdzięczności dla mistrzów swych, przeciwnie, z duszy Niemców nienawidził. Był to wojownik wyborny, odważny aż do szaleństwa, ale serca dobrego nie miał. Pewno będzie mu się jeszcze zle działo, ale ja Boga proszę, aby się usposobienie jego zmieniło, oraz aby osiągnął spokój i szczęście. *Przyp. autora.* (Jan Nepomucen Umiński pułkiem dowodził od d. 21 lipca r. 1809, gen. bryg. został d. 3 lutego r. 1813; dymisyę otrzymał d. 3 grudnia r. 1815, por. Askenazy, Łukasziński II, passim).

i chorych swoich oraz przez nieprzyjaciela porzuconych, a spełniając obowiązek ten, naraża na szwank i zdrowie i życie. Nagrodę za to znajduje w duszy własnej, bliźniego miłującej; ale jeżeli zachoruje sam, lub ranę otrzyma, pozostawia się go na łasce Opatrzności.

Żydzi w owej mieścinie—zdaje mi się, że zwała się Rudka—mieszkańcy jego jedyni, otoczyli mnie i mojego stajennego dookoła, przyglądając nam się ciekawie. Od nich niczego więcej dowiedzieć się nie mogłem, tyle tylko, że korpus od dwóch dni strony te opuścił i że w okolicy wataśa się teraz kilka pułków kozackich. Aczkolwiek tym opowieściom żydowskim wiary zupełnej nie można było dawać, to jednakże przebieg dotychczasowy wyprawy terażniejszej wyrobił we mnie to przeświadczenie, iż kozak rzeczywiście jest prawdziwym wszędobylskim.

W Rosyi, a raczej na Litwie, ogół żydowski jest gałęzią zwyrodniałą szczepu izraelskiego. Napoleon miał z nich szpiegów najwyborniejszych podczas pochodu swego na Moskwę, ale podczas odwrotu służyli złotu rosyjskiemu. Wilno może być przykładem ich zdradnej niegodziwości.

Obrałem drogę ku Smoleńskowi, a od wracających żołnierzy rannych dowiedziałem się, że prawdopodobnie już cały korpus nasz pod miastem tem stoi zgromadzony. Sumienie mego stajennego wstrząsał wielce niepokojąco popełniony grzech zbiegostwa z pod chorągwi. W prawo i w lewo oglądał się wciąż okiem wystraszonem, a z za każdego drzewa zdawała mu się wychylać pika kozacka. Często musiałem sam czuwać nad końmi, a zawsze prowadzić je do napojenia. Za nic w świecie ułan mój nie chciał nocować we wsi. Cierpliwością, pobłażliwością, a przedewszystkiem pogroźkami powstrzymywać mi przyszło tego człowieka od ponownego zbiegostwa; bez niego byłbym zupełnie opuszczony.

Nakoniec po dwóch dniach ujrzałem rozmaite oddziały wojska. Droga zaczęła się ożywiać; sporo ranionych wlokło się nią, ale od nikogo dowiedzieć się nie mogłem, gdzie mi szukać trzeba swego pułku huzarskiego. Nakoniec od generała Montbruna otrzymałem wiadomość pewną, że pułk mój nie stoi wcale pod Smoleńskiem, lecz że kazano mu wrócić się do Witebska, bo tam kozacy niepokoiłi obłogi, za wojskiem ciągnące. Adjutant tego generała, kapitan Radoński,<sup>1)</sup> z naszego pułku, poradził mi, albo

<sup>1)</sup> Adalmar Radoński, który pierwotnie był kapitanem pułku 16-o piechoty gal. fr., do p. 10-o jazdy należał od dn. 6 kwietnia r. 1810, szefem szwadronu został dn. 18 stycznia r. 1813.



pozostać tu przy sztabie generalnym, albo tymczasowo udać się do 6-go pułku ułanów, bo wczoraj pułkownik Pagowski <sup>1)</sup> uskarżał się na to, że jego lekarz pułkowy odbiegł od wojska. Zastosowałem się do drugiej z tych rad i pokłusowałem do wojska. Zameldowałem się księciu Poniatowskiemu, z którym od podróży jego drezdeńskiej już się nie widziałem; przyjął mnie bardzo łaskawie i pochwalił zamiar mój udania się do 6-go pułku ułanów. Następnie złożyłem swe uszanowanie chirurgowi naczelnemu wojsk naszych, Lafontainowi, <sup>2)</sup> który ucieszył się, widząc mnie zdrowym i całym, i natychmiast kazał wygotować rozkaz, przeznaczający mnie do pułku ułańskiego.

Co prawda pułkownik Pagowski byłby mnie mógł uraczyć porządną wieczerzą, gdy mu tak przybył na rękę, bo pułk jego był bez chirurga. Lekarz jego pułkowy, Weichholz, jeździł sobie tymczasem najwygodniej powozem, zaprzężonym w parę ogromnych koni meklemburskich, gdzieś daleko przy taborach wojskowych. Jest to, co prawda, spekulacja wcale niezła. Zdala od niebezpieczeństwa wszelkiego lepiej czuwać można nad tem, co się już ma, no i przysporzyć sobie można jeszcze mienia, bo działalność lekarza wojskowego na tyłach wojska zawsze jest korzystniejsza dla niego. Pułkownik Pagowski sam też był chory, więc nie dziw, że o mem przyjęciu nie pomyślał.

Smoleńsk, tę niby twierdzę nad Dnieprem, od południa i od wschodu okrażały wojska fraucuskie, a ze wszystkich rozporządzeń, wydanych przez Napoleona, wnioskować było można z pewnością, że Rosyanie tu nakoniec zechcą się z nami zetrzeć poważnie. Artylerya polska podsunęła się blisko pod miasto; również wszystkie pułki polskie skupiły się, gotując do walki straszliwej i złożyły też dowody nieustraszonego męstwa. Dnia drugiego Smoleńsk stanął w płomieniach, a Rosyanie, uchodząc, pozostawili nam kupę popiołu i gruzu. Straty nasze były wielkie, nie-

<sup>1)</sup> Michał Pagowski, dn. 20 marca r. 1810 z majora posunięty na pułkownika, dostał się do niewoli rosyjskiej w Mińsku dn. 18 listopada r. 1812. Przez W. Ks. Konstantego wykreslony z listy wojska pol. dn. 29 kwietnia r. 1816.

<sup>2)</sup> Leopold Lafontaine, ur. w r. 1756 w Biber, w Szwabii, był najprzód lekarzem w wojsku austr., od 1787 r. lekarzem nadw. Stanisława Augusta, od 17 czerwca 1807 r. protochirurg wojsk Ks. Warsz., inspektor gen. szpitali wojsk, autor kilku prac z zakresu medycyny, pisał również „o zdatności fizycznej polskiego żołnierza do stanu wojskowego“, zmarł 12 grudn. 1812 r. w niewoli ros. w Mohylowie; por. Encykl. Org. XVI, 621, Gąsiorowski, Zbiór wiadomości do hist. szt. lek. III, IV pass., Kościński, Słownik lek. pol., 261.

przyjacielskie znacznie większe. Setki ranionych zginęły śmiercią straszliwą w płomieniach.<sup>1)</sup> Na zgliszczeniach tych doznałem radości, spotkawszy się z przyjacielem i rodakiem swym, lekarzem sztabowym Szwenckim;<sup>2)</sup> spotkanie wśród nędzy i krwi ludzkiej.

Pułkownik Pagowski musiał zdać dowództwo pułku majorowi, ponieważ z godziną każdą słabł coraz bardziej, cierpiąc na bardzo uporczywą biegunkę. Podpułkownik Oborski<sup>3)</sup> był daleko z taborami i skrętnie uwijał się około wyszukania sobie smacznej wieszki. Poczciwiec ten miał wzrok nadzwyczaj krótki, a chociaż w Płocku bez okularów umiał odkryć powaby niejkiej pani Freytagowej, to jednak wydziwić się nie mógł, jakim sposobem, nawet w okularach, mógł znaleźć drogę aż do Smoleńska. Niejeden naosłep biegnie do szczęścia lub nieszczęścia.

W Smoleńsku nie było nic widać, jeno ludzi pokaleczonych, błagających o pomoc wśród zwalisk. Rosyane pozostawili wielką ilość swych rannych. Z pośpiechem jaknajwiększym domy, jako tako nadające się do tego, przekształcano na lazarety.

Rosyane widocznie w pośpiechu wielkim uszli ze Smoleńska, gdyż pozostawili za sobą mnóstwo wozów z amunicją i żywnością dla ludzi i koni, co nam pogoń wielce utrudniało. Może postąpili tak umyślnie, aby nam drogę zagrozić. Wojsko nasze zwykle sunęło naprzód bardzo pośpiesznie. Nieprzyjaciel, cofając się, musiał przejść przez t. zw. Dolinę świętą, więc bardzo łatwo mogły go tam spotkać przykrości bardzo dotkliwe. Ale ponieważ im przecie o to chodziło, aby nam szkody przyczynić, to czemu na wyżynach, otaczających dolinę, nie ustawili kilku baterii, byliby nam w ten sposób znieść mogli ludu niemało. Nie znam się wprawdzie na taktyce wojennej, ale to rzec mogę, że Rosyane postąpili sobie bardzo mądrze, nie zataczając dział swych, z których kula i mnie byłaby może łeb urwała, bo nasz pułk ułański pod wodzą dzielnego majora<sup>4)</sup> z taką chyżością przeleciał przez tę dolinę, jakby już wprost do Moskwy miał dojechać.

Ale odtąd pochód nasz od Smoleńska aż pod Możajsk posuwał się wolno naprzód. Krok każdy nieomal trzeba było okupować krwią, a nie było ani jednej nocy, użyczającej wypoczynku

<sup>1)</sup> 17 i 18 sierpnia 1812 r.

<sup>2)</sup> Fryderyk Bogumił, urz. zdr. klasy I-ej od 29 sierpn. 1811 r.

<sup>3)</sup> Kazimierz Oborski, szef szwadronu, 6-go pułku ułanów od 18 lipca 1810 r., uwolniony ze służby dnia 14 kwietnia r. 1813.

<sup>4)</sup> Był nim Tadeusz Suchorzewski od dn. 9 października 1809 r.

strudzonemu wojsku. Hałasy ciągłe i napady częste lekkich oddziałków rosyjskich spać nie dawały ludziom ani wypocząć kościom. Jeżeli Rosya w wojnie tej rzeczywiście przyjęła za sposób działania niszczenie ustawiczne własnego kraju i cofanie się bez końca—a tak mnie zapewniał pewien ranny oficer rosyjski—to, według mych ograniczonych pojęć, sądzę, że plan polityczny tego rodzaju niewątpliwie poprzedzało poczucie słabości własnej albo też strachu. Strach i słabość zawsze chodzą w parze, a jedno wytwarza drugie. Ale czyż potęga Rosyi naprzód nie była lepiej rzeczy świadoma?

O miłą na wschód od Możajska rozkazano pułkowi 6-mu ułanów rozłożyć się w zagajniku brzozowym. Pułkownik Pagowski był bardzo zmęczony; każdy z jego oficerów przynosił mu co mógł dla pokrzepienia; i mnie się poszczęściło ukraść kilka jaj, które choremu smakowały wybornie. Była to pierwsza kradzież popełniona przeze mnie podczas mej 18-letniej służby wojskowej, ale dla człowieka takiego, jak nasz pułkownik, byłbym chętnie razem i kurę ukradł. Dla żołnierza w polu i kradzież nieraz bywa środkiem ocalającym i zbawczym, a w kodeksie karnym nie masz paragrafu czynny takie zabraniającego.

Nazajutrz wieczorem spożywaliśmy właśnie w kółku przyjaznem swą arcy-skromną wieczerzę, gdy wtem nadjechał pułkownik Umiński z adjutantem swym, Walewskim,<sup>1)</sup> i zażądał mego powrotu. Od księcia się dowiedział, że żyję jeszcze. Pomiędzy obu pułkownikami o moją osobę o mało nie doszło do zatargu poważniejszego, co widząc, postanowiłem dobrowolnie powrócić na dawniejsze stanowisko; poczem wobec wszystkich zgromadzonych oficerów pułkownik Umiński dał słowo, że mnie do krzyża przedstawi. Pułkownika Pagowskiego opuszczałem bardzo niechętnie, ze łzami w oczach pożegnałem się z nim, bo w sercu miałem przecucie, że tego zacnego człowieka już nigdy nie zobaczę.

Pułkownik Pagowski był człowiekiem bardzo wykształconym i napewno jednym z najszlachetniejszych oficerów naszego wojska. O męstwie jego, okazanem na czele pułku, świadczyły liczne dowody podczas wyprawy niniejszej, a ducha swego umiał zawsze natchnąć i swemu pułkowi. Często podziwiałem jego spokój, nawet wtedy, gdy stał z ułanami w najniebezpieczniejszem miejscu szyku bojowego. W podziw większy jeszcze wprawiała

<sup>1)</sup> Prawdopodobnie Michał, kapitan od dn. 12 czerwca 1810 r.

troska jego o bezpieczeństwo pułku; starał się zawsze ustawić go tak, aby, o ile tylko się dało, nie narażać go na straty nie konieczne. Takie postępowanie dowódcy wymaga rozumu nie mało, aby go na złe nie tłómaczono.

Ucieszyłem się bardzo, gdy w pułku huzarskim spotkałem znów przyjaciela swego, chirurga Cellarego, od którego się też dowiedziałem, że mój woźnica wraz z powozem przedostał się szczęśliwie do Witebska i że się obecnie znajduje w taborze naszego pułku. Upierał się wprawdzie przy tem, aby go w Witebsku pozostawiono, ale zarówno sam pułkownik, jak i Cellary, umieli zmusić go do pozostania przy pułku. Prawdopodobnie mój stary Prusak obłowił się nieźle, kradnąc i rabując, i chciał wycofać się z łupem w miejsce bezpieczne. Wszystkim łotrów rozpowiadał, że z wszelką pewnością już nie żyję i że wszystko, co po mnie zostało, do niego należy.

Na uczciwość służby podczas wojny nic liczyć nie można; ludzie tacy poczuwają się do obowiązku i wierności tylko wtedy, gdy się panom ich wiedzie dobrze.

Że Rosyanie tu pod Możajskiem nareszcie stawiają nam opór poważny, wnioskować można było ze stanowisk przez nich zajętych, oraz z przygotowań, czynionych po naszej stronie. W ich środku ściągały się liczne kolumny piechoty, a wszystkie ich baterie były rozstawione bardzo dla nich korzystnie. Przypatrzysz się do woli wszystkim tym ruchom i stanowiskom rosyjskim, obejrzałem się w tył na naszych, a wtedy ogarnęła mnie obawa, czy aby tu nie zaawizują Napoleonowi paszportu na drogę powrotną.

Nazajutrz prawe skrzydło nieprzyjacielskie wysunęło się naprzód ku wojskom naszym, stojącym na lewo, a natarcie było tak silne, że zmusiło nas do cofnięcia się. Przy spotkaniu tem Rosyanie bardzo umiejętnie posługiwali się bateriami; a nawet gdy już noc zapadła zasypywali kulami dość długo nasze biwaki.

Kula działowa, chociażby nawet niewielkiego kalibru, jeżeli blisko człowieka przeleci, poraża zawsze nerwy na chwilę. Zważywszy stan układu nerwowego żołnierza już wycieńczonego długim trudem wojennym, głodem i obawą, czyż niełatwo pojąć, jak zgubnie to działać musi na jego nerwy? Gdy tuż obok takiego człowieka padnie kula działowa, to pytam, czy roztracone powietrze lub tarcie się o nie pocisku nie może stać się niebezpiecznym dla włókien nerwowych? Oczywiście, że takie strzały, miażdżące jakoby czionki, są twierdzeniami czczemi, zaliczonymi oddawna do bajek żołnierskich.

Stajenny mój, zbieg rosyjski, obawiał się widocznie, że zostaniemy pobici na głowę, gdyż umknął. Żał mi tylko było utraconego konia.

Chociaż w tej potrzebie straty nasze nie były wielkie, jednakże i mały ubytek stawał się dotkliwym, ponieważ nie mieliśmy już wiele do stracenia. Pułk nasz huzarski składał się z 4-ch szwadronów niezupełnych. Dla mnie było rzeczą wprost niepojętą, gdym ujrzał, że ani jeden z oficerów naszego pułku nie był ozdobiony krzyżem, gdy tymczasem w 6-ym pułku ułanów, już wtedy, gdym do pułku tego się przyłączył, nieomal wszyscy oficerowie byli udekorowani. Pod Witebskiem krzyże podobno padały jak deszcz, a niejednemu doprawdy trudno było odgadnąć, za jakie mianowicie odznaczenie order otrzymał. Już później opowiadano mi, że pewien pułkownik pisarzowi swemu podyktował nazwiska oficerów, mających być przedstawionymi cesarzowi na kandydatów do Legii honorowej; na końcu spisu tego umieścił pisarz nazwisko własne i — dostał krzyż narówni z innymi.

Dnia następnego na stanowiskach wysuniętych doszło wprawdzie do kilku starć drobnych, ale wogóle panował spokój, leżeliśmy więc dokoła swych ognisk. Na stanowiskach rosyjskich widać było ruch nieustanny; Napoleon nie próżnował również; ścigał do siebie wszystkie nieco dalsze oddziały wojsk, ustawiał baterye. Noc przed bitwą — nigdy jej nie zapomnę — rozeszła nad naszym obozem ciszę grobową. Ludzie i konie byli pogrążeni we śnie tak kamiennym, jak gdyby chcieli snu ostatniego do cna użyć. Ani głód, ani chłód nocy we śnie im nie przeszkadzał.

Mnie samego trapił jakiś niepokój — w duszy gościła nieokreślona obawa, sen z powiek spędzająca, przez noc całą podtrzymywałem grzejący mnie ogień. Że i pułkownik mój tej nocy również nie spał, wnoszę stąd, że wielokrotnie odzywał się do mnie, wołając, bym się położył spać i dał się ogniewi wypalić. Niepokoju podobnie przykrego nie doznawałem nigdy dawniej — przed bitwami pod Jeną, Ratysboną, Linzem, Aspern (Esling) i Wagramem — widocznie było to przeczucie nieszczęścia, które wkrótce na mnie spaść miało.

Zanim słońce zdążyło rzucić blask czerwony na orężę obu wojsk, już zaryzczały działa naszych bateryi. Okolica, jak okiem sięgnąć, wskutek przymrozku nocnego pokryta była szronem, jakby białym całunem. Zimno tak dojmowało wszystkim tym wychudzonym zwierzętom czworo- i dwunożnym, że wszystko trzęsło się, jak staruszkowie. Konie smutno zwieszały głowy, ogony nie miałyby siły do odegnania muchy, a ponieważ nogi strudzone

trzęsły się ustawicznie, więc też i jeździec wygłodzony siedział nie mocno w siodle. Ujrzałem szereg szkieletów siedzących na szkieletach. Słyszało się tylko bezdźwięczny głos wydających rozkazy. Nieustanny kaszel koni był dla mnie muzyką poranną bardzo nieznośną.

Wszystkie szeregi naszego wojska o siódmej rano <sup>1)</sup> stały już gotowe do boju. Napoleon przejechał wzdłuż przed czołem. Oczy żołnierzy zabłyśły ogniem i męstwem; nawet konie przemarzłe machały jakoś raźniej ogonami. Jest to rzecz niewątpliwa i historycznie dowiedziona, że monarcha, będący sam wojskowym, poddający się wszelkim trudom wojny, odegra zawsze rolę wielką na świecie. Napoleon przyrzekał każdemu z kolei oddziałowi wojska, że dziś skończą się cierpienia i trudy każdego dzielnego żołnierza, wskazując im na Moskwę, jako na cel ich usiłowań, tam czeka ich wypoczynek zasłużony po tylu trudach.

Mgła gęsta zaczęła unosić się nad ziemią i wnet okryła całą okolicę; od strzałów armatnich rozwiała się pomału, a dla Rosyan była korzystniejsza niż dla nas. Jeździe rozkazano ustawić się brygadami w kilku miejscach i bliżej podjechać ku bateriom nieprzyjacielskim, które piechota równocześnie miała napaść i zdobyć. Wskutek tego, nasz pułk luzarski znalazł się na stanowisku niebezpiecznym; straciliśmy mnóstwo ludzi i koni, czekając bezczynnie. Mając przy sobie tylko chirurga szwadronowego, Cella-rego, z pomocą chirurga pułkowego, Krügera, służącego w pułku ułanów pruskich Werthera, urządziłem naprędce rodzaj ambulansu. Ale stary Krüger, z początku bardzo chętny, dbały o bezpieczeństwo własne — może i słusznie — wkrótce znikł mi z oczu. Właściwie pomoc lekarska podczas bitwy przydatna jest oficerom wyższym, żołnierzowi zaś prostemu nie na wiele się przyda. Na prawo i lewo żąda się pomocy i ratunku. Dowódca korpusu naszego, generał Montbrun, <sup>2)</sup> uległ zranieniu; wołano mnie do generała Supervii <sup>3)</sup> i nasz pułkownik Umiński był podobno raniony. Więc trzeba było sięść na koń i popędzić w kłęby dymu działowego. Spotkałem się z gronem oficerów, otaczającym jakiegoś wyższego oficera, który, siedząc na koniu, chwiał się na prawo i lewo. Zawołano mnie. Gdym podjechał, poznałem zbroczonego jeźdźcę, był to generał Nansouty. <sup>3)</sup> Komuż tedy miałem naprzód

<sup>1)</sup> Dnia 7 września 1812 r.

<sup>2)</sup> Ludwik Piotr hr. Montbrun, ur. w 1770, zm. 1812 r.

<sup>3)</sup> Stefan hr. Nansouty, ur. w 1768 r., zm. 1815 r.

śpieszyć z pomocą? Przed sobą miałem niebezpieczeństwo grożące życiu, pozostając przy generale Nansoutym, wydostawałem się z ognia. Każdy człowiek, znalazłszy się w odmiecie bitwy, a nie mogący niczem wpłynąć na położenie i koleje wydarzeń, więc i lekarz, zmuszony zachowywać się biernie, dbać może o swe ocalenie; więc przyłączyłem się do orszaku generała, zawiodłem go na miejsce bezpieczne i tam wydobyłem mu kulę kartaczową z lewego kolana i opatrzyłem, o ile się dało, jaknajlepiej.

Ledwo wierzyć mogłem, że się już wydostałem z ognia dział; a już to cud istny, że ani jeden z towarzyszących generałowi Nansoutemu nie został ugodzony pociskiem. Towarzystwo było liczne, bo nieomal co krok przyłączał się do nas ten lub ów oficer, aby przy tej sposobności wyjść z ognia, lub też aby zaskarbić sobie względy generała. Zapobiegliwość wszystkich tych panów rozśmieszała mnie, a wprost wstrętne były mi spojrzenia zazdrosne i miny lekarzy francuskich, zapóźno tłumnie przybiegających. Nakoniec nadjechał też z orszakiem lekarz przyboczny Napoleona, pan Percy,<sup>1)</sup> przybywający na rozkaz cesarza. Obejrzał ranę generała, zganiał mi opatrunek, jako niedość dokładny, podziwiał wielkość wydobytej kuli żelaznej i w końcu zgodził się z generałem, chwalać mnie za dokonanie koniecznej operacji. Zdaje się, że wyrwałem jeden listek z wieńca wawrzynowego pana Percy. Generał kazał jednemu ze swych adjutantów zapisać moje nazwisko. Poprosiłem o wydanie świadectwa, abym się mógł usprawiedliwić z oddalenia się od swego pułku. Generał uściskał mnie wdzięcznie za rękę, poczem wskoczyłem znów na konia. Może być, że obecni tam panowie mieli mnie za głupca. Mniejsza o to; bądź co bądź spełniłem swój obowiązek, a kto go spełnił, nagrody nie żąda.

Teraz stanęło przedemną pytanie, w której stronie szukać pułku? Stanowiska wojska podczas bitwy zmieniają się ciągle. Przyznaję, że nie miałem bynajmniej ochoty wjeżdżać w ogień najgęstszy, a w stronę, skąd słychać było szcęk broni i krzyki jazdy nacierającej, nie zdało mi się bezpiecznie pomykać. Więc może najlepiej zwrócić konia i pokłusować do taboru pułkowego, wleźć do swego powozu, odpocząć i posilić się, bo głód doskwiera. Tak myślałem, siedząc na szkapie, również głodnej. Pomimo takich rozmyślań, jechałem jednakże wciąż przed siebie ku walczącym. Nakoniec stanąłem wśród rannych i uciekających żoł-

<sup>1)</sup> Piotr baron Percy, znany chirurg i uczoney, ur. 1754 r., zm. 1825 r.

nierzy. Spotkałem też kilku żandarmów polowych, zatrzymali mnie i zaczęli wypytywać; potem wskazali mi jako tako drogę wiodącą do naszych.

Powiedziałem sobie: niechże dyabli porwą wszelkie obawy, wiesz przecie, żeś się urodził w czepku, a nieraz już dawniej i dziś znowu przekonałeś się, że ciebie kule nie mają — więc jazda w kłęby dymu! — a może tam twój pułkownik bez pomocy wszelkiej leży wyciągnięty na ziemi. Pod wpływem takich myśli spałem konia ostrogami. Postanowienie rozpaczliwe już z niejednego zrobiło bohatera. Niech tam ludzie co chcą gadają, ale z tak zwaną odwagą żaden człowiek się nie rodzi; wynika ona z rozpaczy, ze śmiałości szalonej — no i z manierki z wódką.

Byłbym sobie teraz tak wciąż naprzód kłusował, jak jaki Donkiszot, gdybym się nie był natknął na porucznika Raquellier'a (Feliksa) z naszego pułku, który, jadąc z rozkazem, spostrzegł mnie i ostrzegł, abym się w tym kierunku nie posuwał dalej, gdyż niebawem dostałbym się pod strzały. Radził mi wracać; zapewnił, że pułk nasz naciera właśnie na nieprzyjaciela, że pułkownik jest zdrów jak ryba, a tylko dwa konie pod nim ubito, że bez narażenia się na największe niebezpieczeństwo niesposób, żebym dziś jeszcze trafił do pułku. Ostrzeżenie to, któremu posłuch dać należało, nie zmieniło jednak mego postanowienia i, jadąc truchcikiem dalej, dotarłem do kilku pułków kirasyerów francuskich, stojących w gotowości bojowej. Nagle przedemną i obok mnie zaczęły padać granaty nieprzyjacielskie, a kartacze furczały w powietrzu, latając, jak nietoperze. Teraz nakoniec rozstałem się z szalonym postanowieniem, skrzyłem konia i zacząłem odwrót. Za chwilę pada przedemną granat, pęka i oderwany kawał żelaza uderza mnie w piersi. Zatchnąłem się i krew rzuciła mi się ustami. Koń mój, spłoszony, puścił się cwałem, z ledwością mogłem się utrzymać w siodle. Jadąc tak, wydostałem się z szeregów i z ognia. Musiałem zsiąść z konia i wlec się piechotą. Spotkałem się szczęśliwie z masztalerzem naszego pułkownika; pocziwiec ten odprowadził mnie do taboru pułkowego, gdzie też znalazłem swego woźnicę z powozem. Woźnica powitał mnie pozornie z wielką serdecznością, skrzętnie zajął się ułożeniem mnie wygodnie i pobiegł potem poszukać chirurga, który, przybywszy, puścił mi krew natychmiast i pokrzepił mnie kwasem buraczanym. Piersi moje były całe sine, obolałe i kilka godzin jeszcze plułem krwią.

Upzejmość mego woźnicy zmieniła się szybko w mruki i kłątwy, nawet ważył się robić mi wyrzuty. Nie ulega wątpli-



wości, że stary łotr liczył na moją śmierć, a gdy ujrzał, że mi się robi coraz lepiej, zaczęło go to gniewać. Wkońcu zniescierpliwiał mnie swym zachowaniem i zmusił do wydobycia pałasza i wypłazowania go, dla przekonania, że siła moja daleka jest od wygaśnięcia.

Porucznik Zeydlie<sup>1)</sup> przybył od naszego pułku i przyniósł mi wiadomość, że Napoleon bitwę wygrał i że wojsko idzie na Moskwę. Po obu stronach straty podobno miały być wielkie; pułkownik nasz zdrów i cały, jeden kapitan Zbyszewski<sup>2)</sup> tylko lekko raniony. Ranionych naszych pułkownik miał mi niebawem nadesłać, gdy tylko odbierze zawiadomienie, że jeszcze żyją, tymczasem chirurg szwadronowy, Cellary szuka mnie jeszcze pomiędzy zabitymi i ranionymi.

Przyznać muszę szczerze i otwarcie, że postanowienie Napoleona, udania się do Moskwy, wydało mi się zbyt śmiałym. Stary mój woźnica potępiał ten pochód, a takie same zdania rozlegały się przy każdym wozie markietańskim. Wojsko, które z wysiłkiem nadzwyczajnym zniosło tyle trudów podczas wyprawy wojennej, tak niezwykłej, którego siły wewnętrzne były już całkiem wyczerpane, zważywszy nadto szybko zbliżającą się zimą w tym kraju, mogło znaleźć w Moskwie spokój i wypoczynek? Niepokoił mnie wprawdzie ten dalszy pochód, ale trzeciego dnia po bitwie pojechałem za wojskiem. Musiałem tak postąpić. Byłem już zdrowszy, chociaż konia jeszcze dosiadać nie mogłem, tabory wojskowe ruszały naprzód, nie sposób było pozostać samemu bez obrony, chyba aby się dać zabić przez wałęsających się wszędzie chłopów rosyjskich. Stary mój woźnica marudził wprawdzie, ale wkońcu musiał zaprządz konie i, puściwszy się za wojskiem, dogoniłem je na 12 wiorst przed Moskwą.

Miasteczko Możajsk było doszczętnie zniszczone i ogołoczone zupełnie z mieszkańców; również wsie okoliczne i siedziby letnie, spotykane po drodze, leżały w gruzie i popiele. Drogi wszystkie były popsute, a przez wielki bór jodłowy przed Moskwą, nie sposób prawie było przejechać na kołach; więc kazałem sobie osiodłać konia i odważyłem się jechać dalej stępą. Ledwo się wychyliłem z tego rozległego boru, gdym ujrzał Moskwę w płomieniach—był to widok okropny—słońce właśnie zachodziło.

Iluminacje takie oczy me wprawdzie podczas tej wyprawy widywały nieraz i były już z widokiem ich otrzaskane, ale gdym

<sup>1)</sup> Zygmunt Seydlitz, ppor. 1 paźdz. 1810 r.

<sup>2)</sup> Damazy lub Dyonizy.

ujrzał palącą się Moskwę, smutek głęboki chwycił mnie za serce. Więc i stolicę swą poświęcił patriotyzm rosyjski! Z szacunkiem spoglądałem na srożący się pożar, a brała mnie chętka powrotu do ciemnego boru.

W dziejach starożytnych nie brak przykładów, że ludy uciemnione niszczyły stolice królów, a nawet druzgotały swe bogi; ale odkąd nad Europą unosi się duch oświaty i ludzkości żaden naród nie chciał zdobyć się jeszcze na złożenie takiej ofiary, a może i nie mógł się na to zdobyć. Berlin, Wiedeń i wszystkie stolice książąt włoskich i niemieckich otwierały bramy bohaterowi francuskiemu, a mieszkańcy w domach swych bezpiecznie poddawali mu się, występując okazale. Do tego przyzwyczajony, Napoleon sądził widocznie, że przed obeliskami u wjazdu do Moskwy władze miejskie czekać go będą i oddadzą mu złote klucze.

O jakże maż wielki przeliczyć się może, jeżeli porwany zapalem, bez dostatecznej znajomości matematyki, zabierze się do rozwiązania zawilego zagadnienia! Rosya mogła przecież poświęcić część swego tak rozległego kraju. Któryż nieprzyjaciel wkraczający mógłby stanąć nad brzegami Wołgi i szukać dróg dalszych do Syberji?—boć półwysep jej, Kamczatka graniczy już nieomal z Ameryką północną!

Różni oficerowie zapewniali mnie, że Napoleon, ujrawszy gorejący pałac gubernatora Moskwy, hrabiego Rostopczina, konia osadził i uczynił ręką ruch niezwykły, jakby się był chciał chwycić za głowę. Może mu się przypomniały zdania jego generałów pod Smoleńskiem, że Dniepr uwieńczy jego sławą, ale że Moskwa (rzeka) będzie dla niego kresem. Za Prutem błyszczy jeszcze półksiężyc. Jeżeli cesarz wojsku swemu coś obiecał, to musi mu też słowa dotrzymać, więc i doszło wojsko do Moskwy, ale zaledwo tam weszło, rozpadło się na tłum niesforny, a najpotężniejszy wyraz słownika wojskowego, karność, pękł jak bańka mydlana.

Zająłem pierwszy lepszy dom nad rzeką Moskwą dla siebie, służby i swych rannych, bo nigdzie nie było kwatermistrza, któryby komukolwiek wyznaczał postój. Dom, który zająłem podobał mi się, był też przy nim ogród, w którym ku swej uciesze znalazłem jeszcze różne ogrodowizny, mogące się przydać.

Przez most za rzekę i tak nie puszczono żadnych pojazdów, zanim wozy wszystkie z obłogami wojskowemi się nie przeprawią.

Kwaterna moja była wprawdzie dosyć przestronna, składała się bowiem z 5-u pokojów, ale była bez okien i mebli, bez stajen i bez gospodarza. Nazajutrz jednak dom okazał się już za ciasnym, bo co godzina przybywali chorzy i ranni, aby u mnie choćby

tylko odpocząć i przenocować. Żywności miałem pod dostatkiem, ale brakowało leków. W całej Moskwie może byłem jedynym gospodarzem, raczącym gości za darmo. Gdybym był dłużej w domu tym pozostał, byłbym przed nim wywiesił znak z namalowanym osłem, dźwigającym worek soli. Koniecznie trzeba się było dowiedzieć o doli mego korpusu, więc wysyłałem starego woźnicę do miasta na zwiady; tenże zawsze wracał dość prędko, nie przyносяc mi wiadomości zadowalających. Zjechali do mnie, jako chorzy, oficerowie francuscy: major Mussang i kapitan Lagrange, jako też porucznicy Roeder i Maliński z dziewiątego pułku ułanów polskich,<sup>1)</sup> od nich dowiedziałem się, że wojsko obozuje przed miastem, a tylko gwardya z cesarzem i z królem neopolitańskim znajdują się w mieście, rozłożywszy się w Kremlu. Dotąd jeszcze, podczas licznych wypraw wojennych—nawet w Kairze—Napoleon nigdy jeszcze samowolnie nie obrał sobie kwatery nie przygotowanej na jego przyjęcie przez mieszkańców.

Aby nareszcie koniec położyć wszelkim, daremnym pytaniom, poszukiwaniom i niepewnościom, postanowiłem pojechać sam do miasta w celu odszukania pułku; ale że chorzy moi nie chcieli mnie opuścić, więc stanęło na tem, że poszukam i zajmę jaki dom obszerniejszy i że ztamtąd dopiero postaram się o nawiązanie stosunków ze swoim pułkiem.

Przez most przejechałem bez przeszkody, ale przez Kreml nie puścili mnie żołnierze będący na straży. Wracać z niczem nie zamierzałem, wyszukanie zaś domu dostatecznie obszernego i dogodnego dla tylu osób nie było wcale łatwe; obaj oficerowie francuscy opuścili mnie. Wszędzie, gdzie spojrzeć, widziało się ślady zniszczenia i rabunku. W Kremlu pożar trwał jeszcze. Jest to właściwością Francuzów, że niszczą wszystko, czego zużyć zaraz lub zabrać z sobą nie mogą. Postępowanie takie wojsku samemu szkodę wielką wyrządziło.

Pospółstwo rosyjskie snuło się dosyć tłumnie po ulicach miasta, wskazywało chętnie żołnierzom miejsca, w których można się było obłowić i dzieliło się łupami. Oprócz tych drapieżników, innych mieszkańców Moskwy nie było widać.

Nieomal dzień cały spędziłem na jeźdźeniu po mieście, a celu swego nie dopiąłem. Konie były zmęczone, woźnica markocił. Z chorych pozostali przy mnie obaj oficerowie nasi, Roeder i Ma-

<sup>1)</sup> W liście oficerów wojsk Ks. Warsz., podanej przez Gembarzewskiego, Wojsko Ks. Warsz. (1912), nie figurują.

liński. Znalazszy się w takim położeniu, uznaliśmy za rzecz najstosowniejszą, przenocować w którymkolwiek domu. Niepewność otaczała nas ze wszech stron, więc też i w noc oka nie zmrużyłem. Pożar palących się domów i tak z nocy dzień robił.

Nikogo, kto wówczas był w Moskwie, nie zdziwi, że trzeba się tam było tak błąkać, jak w labiryncie, nie znajdując nigdzie opieki i pomocy. Nikt nie umiał wskazać stanowisk zajmowanych przez korpusy, żołnierze zaś rabowali wszędzie na całym obszarze wielkiego miasta, szukając przytem żywności i odzieży. Jedni zadowolali się żywnością, drudzy szukali złota, srebra, sukien, niejeden niczego się nie doszukał. Ja wtedy natknąłem się na nieszczęście.

Jacyś dwaj panowie, przyzwoicie po cywilnemu ubrani, idący w towarzystwie brodatego chłopca, zaczęli porucznika Roedera, prosząc go, abyśmy poszli za nimi, zapewniając, że w domu, który zamieszkują, bardzo pożądana jest obecność kilku oficerów, mogąca być dla nich obroną, nadto obiecywali nam wszelkie wygody i dostatek żywności. Woźnica mój z miejsca zgodził się zaraz na to, rozkazałem mu jednak nawrócić powóz natychmiast, ponieważ obaj ci nasi nowi znajomi nie wzbudzali we mnie zaufania, owszem budzili nawet we mnie odrazę. Ale mnie inni przegłosowali, trzeba więc było ustąpić i zdać się na przewodnictwo nieznanym. Brodacz skoczył na kozioł i zasiadłszy obok woźnicy zaczął grać rolę arlekina. Wszystkie me ostrzeżenia, próśby i groźby były daremne. Roeder i Maliński wyrzucali mi po prostu przesadną podejrzliwość, a że i woźnica stał po ich stronie, więc jechaliśmy coraz dalej, aż stanęliśmy w części północnej miasta przed jakąś cukrownią, tak nas przynajmniej zapewniali te łotry, jak się zdaje, Niemcy. Spostrzegłem aż nadto dobrze, iż wyjechaliśmy już po za obręb właściwego miasta, ale mniemałem, że korpus nasz znajdować się musiał niedaleko. Przewodnicy nasi zadawali sobie trudu niemało, aby mnie zapewnieniami i gładkimi słówkami uspokoić. Wsiadłem nakoniec z powozu, ale zabroniłem koni wyprządz, pomimo że woźnica już bardzo skwapliwie do tego się chciał zabrać. Podano nam niebawem herbatę, brodacz tańczył, wyśpiewywał, skakał jak małpa, by nas zabawić, ale z pod brody łotr szczwany mu wyglądał. Pobiegłem do powozu, woźnicy, który widocznie już był podpił sobie, kazałem siadać na kozioł i ruszać z kopyta. Ale plan owych patryotów rosyjskich był z góry dobrze obliczony, gdyż ledwom dojechał do bramy, rzucił się na mnie z krzykiem i rykiem tłum chłopstwa i konie zatrzymał. Woźnica zaczął biczys-

kiem tłuc napastników, ale jeden z nich uderzył go z tyłu w głowę i zwałił go z kozła. Jakaż mnie teraz dola czekała w powozie? prośby i namowy nie byłyby mnie ocaliły, bo z ludźmi tymi, nie znając ich języka, nie byłbym się mógł porozumieć; więc lepiej sprzedać swe życie, o ile się da, najdrożej. Nie namyślając się więc długo, wyskoczyłem z powozu, dobyłem pałasza i, zapewniwszy sobie tył, stanąłem do obrony. Stawiać czoło tłumowi rozjuszonego chłopstwa było to postanowieniem rozpaczliwem, ale cóż było robić? nie mogłem przecież dać się zatłuc jak pies.

Śmiałość moja narazie wywarła ten skutek, że motłoch cofnął się i zląkł cokolwiek. Ale niebawem nadjechało kilku kozaków; jeden z tych rycerzy był tyle niegrzeczny, że mnie pchnął piką w prawe ramię i tem mnie rozbroił, gdyż pałasz wypadł mi z ręki. Teraz tłuszczka rzuciła się na mnie z wściekłością, powaliła na ziemię i zdarła ze mnie mundur. Dziwna rzecz, iż nie wyzionąłem ducha, gdy się nademną tak pastwiono. Straciłem przytomność i ocuciłem się dopiero wtedy, gdy mnie uwiązanego między dwoma końmi kozackimi gdzieś ciągnąć zaczęto. Wygląd mój nieszczęsny świadczył, że nie śniłem, lecz że wszystko to zaśzło na jawie.

Lasek poblizki był miejscem, do którego srodzy moi panowie podążyli, przywleczono tam jeszcze więcej jeńców, a w ich liczbie także towarzyszków mych, Roedera i Malińskiego. Wszyscy byli tak samo odarci, jak ja, i również mieli miny niewesołe. Spoglądaliśmy na siebie wzajemnie w milczeniu, pary z ust nie puszczając, bo przywaleni nieszczęściem niespodzianem i przyjaciele zdają się nie znać nawzajem. Bolały mnie wszystkie kości w całym ciele, a ramię zbroczone domagało się ulgi oraz opatrunku. Pozwolono mi siaść na jednym z wozów, a chociaż był to statek nadwyraz nikczemny, jednak z wdzięcznością na to przystałem, jako dowód odrobiny ludzkości. Zmiana stosunków, zmienia też i ludzi, ale ślad miękkości serca znaleźć się może nawet u dzikich, a kto komu ulgę sprawia, dowodzi, że nie całkiem jest pozbawiony uczuć ludzkich.

Wkrótce dotarliśmy do posterunku kozackiego. Dowódca przemówił do nas wielce gburowato, szczęściem nie rozumiałem ani słowa, z miny jego sądząc, musiał to być wielki zawadyaka, ażem odetchnął, gdy z ust jego zagrzemiał rozkaz „stupaj!“ Minęliśmy jeszcze kilka posterunków dalszych. Wszędzie nas zatrzymywano i wypytywano, bo ciekawość tych ludzi nie miała granic, a pytania ich bywały nieraz bardzo dziecinne, często obelżywe.

Nakoniec wjechaliśmy w szeregi wojska rosyjskiego, a przedtem jeszcze zwrócono mi mundur oraz powóz i konie, a teraz dopiero nadobre zaczęło się wypytywanie i wydrwiwanie. Pochód nasz odbywał się nadzwyczaj powolnie. Nieomal co kwadrans zatrzymywała nas czyjaś ciekawość, zdaje mi się, że ciekawość ta należy do przepisów karności w wojsku rosyjskiem.

W biwaku jakiegoś pułku huzarskiego zatrzymano nas znowu; kilku oficerów zbliżyło się do nas i wszczęło rozmowę ze mną, Roederem i Malińskim. Jeden z nich, istny Ganimed, którego Jowisz byłby sobie chętnie porwał, przystąpił do mnie i pytał, drwiąc sobie, czy kiedykolwiek któremu ze swych chorych zapiszę cukru moskiewskiego. Cóż tu było odpowiadać na taką ironię? Wzruszyłem ramionami i milczałem. Oficerek nie poprzestał na tem. Zaczął mi doradzać, abym wstąpił do służby rosyjskiej, a Napoleonowi zapisał takie pigułki, żeby go aż do Paryża biegunka nie opuściła. Tego było mi już nadto, więc na ów uwłaczający koncept odparłem: „Mości panie kornecie! czy generale, Napoleona należy poprosić o przepis na takie pigułki, jest on nieomylny, a skutku ich doświadczyło przecie całe wojsko rosyjskie od granicy aż do Moskwy. Z propozycyi pańskiej, która, jak mi się zdaje, znaczenia mieć nie może, skorzystać nie myślę.“

Niewola jest rzeczą najsmutniejszą z mogących dotknąć wojskowego. Dla oficera, według mego zdania, śmierć powinna być więcej pożądana od niewoli. U swoich traci awans i prawo zdobyte do nagród i odznaczeń, od nieprzyjaciela zaś trudno, aby, jako jeniec, mógł wymagać poszanowania.

Każde wzięcie do niewoli zwykle połączone bywa z zajściami smutnymi, często nawet okrutnymi, a u wszystkich narodów jednakowo. Gdy pod Jeną dostałem się do niewoli francuskiej, nie doznałem od nich bynajmniej delikatniejszego obejścia, niż od chłopów rosyjskich i kozaków.

Nasza gromada jeńców wzrosła niebawem do kilkuset ludzi. Był to tłum, składający się z różnych narodowości, ponad którymi orzeł cesarski się unosił. Wszyscy byli połapani w Moskwie. Wśród tego tłumu ludzi nieszczęśliwych, wyróżniła się osobistość pewna, odziana po cywilnemu. Był to niejaki Le Blanc, którego podejrzewano o to, że w Moskwie trudnił się szpiegostwem. Mnie zapewniał o swej niewinności, opowiedział mi, że pochodzi z Genewy, że już od lat kilku, jako malarz, mieszkał w Moskwie, ciesząc się poparciem pani generałowej Anienkowej; dalej mówił mi, że generałowa bardzo śpiesznie opuściła Moskwę, właśnie gdy

on nie znajdował się w domu, i dla tego jedynie pozostał sam w jej pałacu. Biedny ten baran zbłąkany był w stanie pożałowania godnym, głowę i całe ciało miał posinione, wyglądał, jak z krzyża zdjęty. Uwięzienie jego budziło we mnie podejrzenie, ale zważywszy, iż był towarzyszem mej niedoli, poprosiłem generała rosyjskiego Benkendorfa i pułkownika Sackena, którzy przegląd gromady naszej czynili, aby mi pozwolono zabrać tego Le Blanca do swego powozu, na co się też i zgodzono. Wszakże generał zwrócił mi uwagę, abym pomyślał o swej przyszłości. Doradzał mi, ponieważ nie służyłem przecie z bronią w rękę, abym z miejsca wstąpił do służby rosyjskiej, a w szeregach wojska znajdę dla siebie miejsce, które sam sobie będę mógł wybrać. Nie wątpię na chwilę, że poczciwy generał rzeczywiście życzył mi szczerze jaknajlepiej, ale gdy mu oświadczyłem, że mogłoby się to stać chyba wtedy dopiero, gdyby chorągiew, pod którą dotąd uczciwie służyłem, zwolniła mnie od obowiązków względem niej zaciągniętych, rozgniewał się na mnie wcale nie na żarty. Wierność chorągwi i ufność do religii swej! kto w dwu tych artykułach wiary jest chwiejny, to podlec.

We wszystkich pułkach rosyjskich spotkałem dobrobyt i zadowolenie; z każdej twarzy tryskało tam zdrowie i odwaga. Mimo to, przyznaję, że śmiałem się szczerze, gdy mnie zapewniano, że teraz dopiero wojna zacznie się na dobre i że Rosyanie prosto pójdą aż do Paryża. Któżby mi śmiech ten mógł wziąć za złe? toć wiedziałem przecie, że Napoleon jest w Moskwie.

Minąwszy obozy rosyjskie, szliśmy, napotykając wsi opuszczone i puste. O utrzymanie życia swego prosić musieliśmy Opatrzność łaskawą; sam nieraz modliłem się o koniec życia.

Trzeciego dnia tego pochodu, dostał mi się dopiero poraz pierwszy kawałek chleba. Noclegi miewaliśmy w nędznych i brudnych oborach, stajniach i chlewach. Nie sposób było lepiej o nas pamiętać, ponieważ wojska rosyjskie dokoła wszystko wyssały i kozacy rozkradli. Jednakże sądzę, że należało się, by nam z zapasów wojskowych na drogę udzielono choć trochę żywności dla ludzi i koni. Ale któż się w takich razach troszczyć będzie o biednych jeńców!

Dnia ósmego po zabranii mnie do niewoli weszliśmy paradnie do Tweru. Parada ta była istnym bigosem z niedoli ludzkiej, a piękną nagrodą za przebyte trudy wojenne.

## II.

Z Moskwy do Tweru przebyliśmy 40 do 42 wiorst. Miasto to zbudowane jest w stylu przyjemnym; ulice ma szerokie, wysadzone drzewami, lecz wiele z nich nie posiada bruku. Dom gubernatorski, przed którym nas po przybyciu ustawiono, ma wygląd dobry i stylowy. Sprawdzono spis jeńców, poprawiono nazwiska przekręcone, niektóre wykreślono, nie mogąc się dopytać ich właścicieli. Gubernator generalny, książę Oldenburski,<sup>1)</sup> przybył na przegląd osobiście, rozmawiał ze wszystkimi oficerami i z niektórymi prostymi żołnierzami, czyniąc to bardzo łaskawie i ze współczuciem. Ja sam, jakby Łazarz jaki, leżałem w powozie, a nie miałem siły, by powstać; ręka prawa była spuchnięta i zaogniona silnie, nogi uginały się podemną, odmawiając posłuszeństwa. Książę wysłał do mnie jednego ze swych oficerów z obietnicą, że jego lekarz przyboczny przyjdzie mnie odwiedzić. Le Blanca książę zaszczycił rozmową bardzo długą. Książę ten, będący szwagrem cesarza, mógł mieć lat 36 do 40, powierzchowność jego była ujmująca, w obejściu nie było znać dumy. Dotrzymał mi przyrzeczenia; lekarz jego przyboczny, rodem Sas, o ile mnie pamięć nie myli, nazywał się Schrader, odwiedził mnie niebawem w lokalu, w którym mnie umieszczono. Zdaje się, że musiał to być rodzaj odwachu, na którego tapczanie widocznie już niejeden jeńiec przedemną odpoczywał, bo na ścianie znalazłem mnóstwo nazwisk, wypisanych węglem, między niemi niemało znajomych mi, jak np. generała Bonamy,<sup>2)</sup> podpułkownika księcia Hohenlohe, kapitana Russjana<sup>3)</sup>, korneta Sierzputowskiego i wielu innych. Napisami tymi węglem znikomą i nietrwałą zostawiście po sobie pamiątkę, myśląc o przyszłości, mnie te nazwiska wasze bardzo smutnie usposobiły.

Lekarz przyboczny księcia, okryty orderami, zbadał stan mego zdrowia, pocieszył, jako swego ziomka, i zajął się mną rzeczywiście. Przysłał mi trochę bielizny i dał pieniędzy na kupno kożucha, który mi wkrótce będzie bardzo potrzebny, przeprasza-

<sup>1)</sup> Książę Jerzy Oldenburski, żonaty z Katarzyną Pawłówną, siostrą ces. Aleksandra I.

<sup>2)</sup> Wzięty do niewoli w bitwie pod Borodinem 7 września 1812 r.

<sup>3)</sup> Franciszek Russjan, podpor. pułku 4 jazdy 14 grud. 1808 r., płтник pułku 10 jazdy 6 lipca 1810, por. 1 paźdz. 1810 r.



jąc, że w tej chwili nic więcej dla mnie uczynić nie może, bo rodzina jego z całym domem odjechała już za Wołgę, a on sam również za godzinę z księciem z miasta wyjedzie, udając się do Petersburga. Pożegnawszy się ze mną, przysłał mi jeszcze dobry obiad z hotelu włoskiego.

Więc oddaleni od Moskwy o 7 do 8 mil mieszkańcy Tweru uciekają!

Odtąd ustanowiono dla nas jeńców stałe utrzymanie. Oficerowie mieli otrzymywać dziennie po 50 kopiejek, podoficerowie i żołnierze prości po 15. Oficerom wypłacono pieniądze za cały miesiąc z góry, żołnierzom co 5 dni miał wypłacać żołd dowódca naszego transportu. Dowódcą tym był sierżant, mający pod sobą 12 żołnierzy, chłopsko nieokrzeseane, którego widok odrazu wzbudził przecucie, że od niego doznamy niejednej przykrości.

Po otrzymaniu tych pieniędzy, którymi opędzać trzeba było wszelkie potrzeby, urządziłem w kółku naszym, t. j. z Roederem i Malińskim, wspólną kasę; każdy z nas wkładał do niej dziennie po 25 kopiejek, a biedak Le Blanc został naszym rachmistrzem, ale uwolniliśmy go od składowi, ponieważ, jak żołnierz prosty, otrzymywał dziennie tylko po 15 kop., a i te oddawał sierżantowi, aby się z nim źle nie obchodził. Mieliśmy więc codziennie w kasie do rozporządzenia 75 kop., a to, co się z tego nie wydało, przechodziło do kasy innej, którą nazwaliśmy swą kasą oszczędności; nad nią miał pieczę Roeder. Z końcem miesiąca obliczaliśmy nasze oszczędności i obracaliśmy je na naprawę lub uzupełnienie bielizny i odzieży; rozumie się, że Le Blanc z kasy tej nie korzystał.

Z Tweru wyjechaliśmy tego samego dnia jeszcze późnym wieczorem, przebyliśmy rzekę Twerce, która podobno w pobliżu miasta wpada do Wołgi. Mosty, po których przyszło nam przechodzić, były wszystkie w stanie tak okropnym, że nieraz na nich woda dochodziła do łydek. Jakiśm rzekę wtedy przebyli, nie wiem. Niegdyś gdzieś czytałem, że kanał wielki, łączący Rosyę południową z północną, t. j. z Petersburgiem, przechodzi przez okolice Tweru. Usposobienie ówczesne nie budziło we mnie bynajmniej ochoty do wzbogacania wiadomości geograficznych, raczej w duchu prosiłem Opatrzności, aby mnie która z rzek tych pochłonięła na zawsze. Co prawda, to nie było też kogo i pytać.

Powóz mój zatrzymano w Twerze, a wzamian dano mi kibitkę, zaprzęzoną w jednego konia. Wygląd tego wózka usposobił mnie nadzwyczaj smutno; odrazu stanęły przed oczyma duszy wszystkie znane mi obrazki Syberyi. Transport nasz, nie licząc

pilnujących nas Rosyan, wzrósł do 227-ju; posuwaliśmy się w kierunku wschodnim; od sierżanta dowiedzieliśmy się, że ma rozkaz doprowadzić nas do Jarosławia.

Le Blanc miał właściwie odbywać drogę piechotą razem z szeregowcami, ale prośby i wstawienie się nasze skłoniły sierżanta, że mu pozwolił siadać na naszych kibitkach, co tak ucieszyło lekkomyślnego Francuza, że odtąd wciąż nieomal zabawił nas śpiewaniem.

Na wózku moim nie siadał chętnie, wołał jechać razem z Roederem, a już najchętniej z Malińskim. Ja byłem dla niego za poważny. Między nim a Malińskim zawiązała się wkrótce zażyłość bardzo ścisła. Wiedziałem o tem, że Le Blanc miał przy sobie wiele kosztowności, zaszytych w podszewce ubrania; zwróciłem też uwagę Roedera na jego tak wielkie zaprzyjaźnienie się z Malińskim; ale któż mógł przewidzieć, co obaj potajemnie knuli. Doszliśmy do Kaszyna, miasteczka powiatowego <sup>1)</sup>, w którym odbywał się właśnie tłumny jarmark. Horodniczy tamtejszy zaprosił nas, oficerów, do siebie i ugościł przyzwoitem śniadaniem; dwaj nowi przyjaciele nadużyli tej gościnności i uciekli. Ucieczka oczywiście udać się nie mogła; ludzie tak licznie na jarmarku zebrani natychmiast puscili się w pogoń na wsze strony, pieszo, konno i na wózkach, wkrótce też obu, pobitych i zbuczonych, przyprowadzono z powrotem do miasteczka. Le Blanc otrzymał publicznie na rynku 100 różeg na gołe ciało; Malińskiemu za karę odebrano szlify oficerskie i zajęcie zamieszczono w spisie jeńców.

Po wydarzeniu tem straciłem resztę zaufania do Le Blanca i nie pozwoliłem mu już nigdy wsiąść na moją kibitkę. Gdyśmy opuszczali miasteczko, z rozkazu horodniczego Le Blanc musiał iść związany, piechotą. Odtąd sierżant miał wciąż baczne oko na niego; zwolniłem go też z rachmistrzostwa i sam teraz rachunki nasze prowadziłem. Odechciało mu się wtedy śpiewania.

Posuwając się coraz dalej na wschód, przechodziliśmy przez okolice coraz lepiej uprawione, włościanie byli też tam zasobniejsi i przyjaźniej dla nas usposobieni. Szlachta w stronach tych żyła zbyt kownie i wystawnie, a nieomal w każdym dworze wiejskim podejmowano nas herbatą i przekąskami. Ja sam nie często z zaprosin takich korzystałem, bo mundur mój był już bardzo wyszarżany i podarty, a także oszczędzałem butów, również już nieco nadwierzonych, wdzierając, zamiast nich, łapcie tykowe. Byłem

<sup>1)</sup> W gub. Twerskiej.

silnie przekonany, że powodem jedynym zaprosin wszelkich tych była tylko ciekawość, wiedziałem też, iż z grzeczności i wdzięczności, których od nas wymagać miano prawo, mogły się wywiązywać położenia nieprzyjemne, gdyby mowa zesłała na okoliczności, mogące podrażnić nasze uczucia. Szkoda wielka, że się niezłomnie zasady owej nie trzymałem, spuszczać oczy na łapcie.

Towarzysze moi, zaproszeni do jednego z takich dworów i dobrze się tam zabawiając, skłonili uprzejmego gospodarza, że mnie siłą nieomal zmusił do zrzucenia łapci, obucia się i pójścia również do niego. Zastałem liczne zebranie, zgromadziło się mnóstwo pań, a towarzysze moi, jako i Le Blanc, zacierzwieni, z jakimś młodym panem wiedli rozmowę. Podano herbatę, usiadłem w kąci i popijałem w milczeniu, słuchając tylko. Spierano się o Napoleona, kłócono się nawet. Młody jakiś pan — najgłośniejszy ze wszystkich — wymyślał poprostu na uzurpatora Napoleona. Niektóre panie mu wtórowały. Ja, wciąż milcząc, pijam herbatę i z ukosa spoglądam na młode panie, przyczem przyznaję, że chętniebym się której z nich, jako uzurpator, narzucił. Spór między politykującymi stawał się coraz gorętszym, herbata widocznie ich podniecała. Krzykacz młody napadł w końcu i na naród francuski, uważający się za wielki i najbardziej wykształcony, a jednak schylający czoło przed tyranem, nie wyszłym z krwi królewskiej, lecz z motłochu. Podług jego zdania, należałoby raczej Francuzów nazywać narodem ślepym. Nakoniec — mówił dalej — owe systematyczne narody niemieckie nie nazwałbym ślepcami, lecz głupcami, jeżeli jakimś tam kadetowi francuskiemu tyle okazują posłuszeństwa. Wszystko to, objając się o moje uszy, drażniło mnie niesłychanie, a gdy nakoniec młokos ów zwrócił się wprost do mnie i spytał mnie po niemiecku, co sądzę o wypowiedzianych przez niego zdaniach, odrzekłem mu, że nie zawsze z krwią królewską połączony bywa talent, do rządzenia konieczny. Napoleon właśnie dlatego zasługuje na imię wielkiego, ponieważ puąc się od dołu, wyłącznie przez swój talent wznosił się na wyżyny; gdyby się był urodził w domu panującym, nie byłby właśnie Napoleonem. Nie przeczę, że dwie namiętności rządzą jego czynami, t. j. żądza sławy i pojęcie wygórowane o sobie samym, ale te właściwości są wspólne wszystkim panującym, będącym wojownikami. Właśnie dlatego Francuzi i Niemcy uznali go za cesarza. „A — odparł mi mędek — widzę, że i pana bożyszczę to zaślepiło“, i dodał oburzony: „U nas w Rosyi nigdy jeszcze człowiek podobny roli takiej nie odegrał, bo w kraju naszym człowiek bez familii, bez rangi, bez urodzenia książęcego, równie

wysoko zajść w żaden sposób nie może.“ „No, no, panie szanowny—odrzekłem mu na to spokojnie—widać, że pan bardzo niedostatecznie jest obeznany z dziejami Rosyi. A kim była Katarzyna I?“ Ledwo te słowa wyszły z ust mych, pan ów odwrócił się odemnie, podał rękę jednej z pań i, skłoniwszy się towarzyszom moim, dumnie opuścił towarzystwo. Ja również powróciłem do swej kwatery i obułem się w łapcie. Towarzyszów moich zajście to zmieszało, bo zdaleka nie słyszeli o czem była mowa, ale gdy im rzecz objaśniłem, byli wielce ze mnie zadowoleni.

Miasteczko Klin<sup>1)</sup>, przez które nas droga powiodła i gdzieśmy się butelką wódki pokrzepili, było dla mnie z tego powodu ciekawe, ponieważ tam krótko przed przybyciem naszym umarł generał rosyjski, książę Bagration.<sup>2)</sup> Otrzymał on pod Możajskiem postrzał niebezpieczny w prawe udo; odjęcie nogi byłoby mogło go ocalić, ale w żaden sposób nie chciał się na to zgodzić.

Okolica, którą zśliśmy, stawała się coraz powabniejszą, zwłaszcza nad brzegiem Wołgi. Domy włościańskie stawiane były obszernie, wewnątrz panowała czystość i znać było dobrobyt. Stodoły były pełne, a sterty żyta sterczały ponad domami. Hodowla bydła, szczególnie zaś koni, była kwitnąca. Owiec nie widziałem tam nigdzie. Droga wiodła nas przez wiele wsi tatarskich; wszędzie tam znać było skrzętną i dobrą uprawę ziemi oraz pracowitość ruchliwą mieszkańców tych wsi, szeroko rozrzuconych. Ziemia zdaje się być tam wyjątkowo urodzajną. Hodowla bydła u nich mogłaby za wzór posłużyć. Ponieważ wszystkie te sioła są własnością rządu, nigdy nam kwater nie wyznaczano u mieszkańców.

Żywność, dostępna dla nas podczas tego pochodu, nie mogłaby zadowolić wymagań wyszukańszych i wykwintniejszych, żołądki jednakże nasze trawiły ją jako tako. Żyliśmy zupą z kapusty, jarzynami okraszonemi olejem, pierogami napelnionymi cebulą, ziemniakami lub marchwią, do tego niewialiśmy ryby wędzone, stare, cuchnące tranem, kawał czarnego chleba i dzban kwasu. Takie bywały wtedy obiady nasze, a lampka wódki dopomagała żołądkowi do strawienia tych przysmaków. Sprzedaż wódki jest przez rząd wydzierżawiana, dostać jej można nie wszędzie i to tylko w pewnych kabakach, trzeba się więc było zao-

<sup>1)</sup> Miasto powiatowe w gub. Moskiewskiej.

<sup>2)</sup> Nieścisle, ks. Piotr Iwanowicz Bagration zmarł wskutek ran, dn. 12 września 1812 r. w Simach, pow. aleksandrowskim, gub. Wołogodzkiej.

patrywać w nią na zapas, bo nieraz od jednego kabaku do następnego trzeba było przebyć 15 do 20 wiorst.

Ponieważ w Kaszynie i w Klinie gromada nasza wzrosła do 300 głów, więc nasz przywódca, dla wzmocnienia straży nad nami, powoływał chłopów z wsi okolicznych. Nieraz w tej straży dodatkowej znajdowały się i baby, idące z drągami i pałkami obok kibitek, a były to przeważnie stworzenia niesłychanie złośliwe, zejść z kibitki nigdy nikomu nie pozwalały. Ludzie ci wierzyli święcie w to, że my wszyscy jesteśmy zupełnie innemi stworzeniami niż oni.

Zimno zaczęło nam dokuczać, bo nie mieliśmy ciepłej odzieży, a żołnierzom prostym zbywało na wszystkim. Nie dziwota więc, że zaczęły nas trapić choroby, zwłaszcza zaś odmrożyny, wiodące do zgorzeli. Ja miałem wprawdzie kozuch barani, ale jak tu pomóc biednym jeńcom. Od Tatarów nauczyłem się nowego środka przeciw ciężkiemu odmrożeniu, ale czyż mógł się na wiele przydać tym pół-nagim biedakom? Bierze się wódki z mleka kłaczy (kumys) i chleba świeżo upieczonego, z tego sporządza się kataplazm i przykładą na odmrożinę, przechodzącą w zgorzel. Kumys, czyli ów rodzaj wódki, ludzie ci przyrządzają w sposób następujący: rozcieńczają mleko kobyłe wodą i dodają do tego część mleka krowiego, skisłego i zsiadłego, poczem wszystko zaczyna kisieć; dalej, nakrywają naczynie szmatą wełnianą grubą, często bardzo brudną, i stawiają je w miejscu ciepłym, gdzie dopóty pozostaje, aż się na powierzchni płynu utworzy twardy kozuch. Teraz mieszają wszystko bardzo starannie i stawiają znów na 24 godzin w ciepłym miejscu, mieszając kilkakrotnie ciecz za pomocą drewna, aby równomiernie rozprowadzić wszystkie części, poczem płyn nabiera zapachu ostrego, podobnego do wódki. Wtedy kumys, już gotów, zlewają do bukłaków skórzanych, w których go przechowują. Domyśleć się łatwo, że kumys ten nie jest płynem przezroczystym; ma on wygląd wody mętnej, białawej, smak ma wprawdzie ostrawy i upaja szybko, ale pozostaje po nim w ustach smak nieprzyjemny.

Zimno wzmagąło się teraz codziennie coraz bardziej, a gruby mój kozuch barani coraz mniej zaczął mnie ogrzewać. Siedząc w kibitce, nogi przykrywałem grubo słomą aż do brzucha, a na całe ciało zarzucałem rogózkę. Śniegu dotąd było niewiele, nieba chmury nie pokrywały, a nocami gwiazdy błyszczały bardzo jasno.

## III.

Z Tweru do Jarosława miesiąc cały byliśmy w drodze. Może tyle czasu na to nie było potrzeba, ale nasz przewodnik uznał za dobre tak długo wyzyskiwać chłopów, nadto chodziło mu o to, aby obliczenie wydatków na utrzymanie jeńców nie zawierało ułameków.

Przypuszczam, że pochod nasz, a raczej widok jego, musiał łączyć niejedną wycisnąć z oczów krajowców. Połowa naszych wlokła się na wozach, wielu zaś, których nie można było wieźć, albo którym jechać nie pozwolono, aby krew w nich bez ruchu nie zastygła, dowlekli się z trudem do miasta, aby paść trupem przy domach miejskich; inni znów byli tak wycieńczeni, że już kroku dalej postąpić nie mogli; niejeden też pozostał może na statku, którym nas przewieziono przez Wołgę.

Serce mi gorzało, krew, jak płomień, migotała w żyłach, chciałem pomódz nieszczęśliwym, a żadnego na to znaleźć nie mogłem sposobu, bo nasz sierżant był ostem wierutnym, obliczającym tylko korzyści, które mu pochod nasz przyniesie. Kłamię i wymyślałem, groziłem, że poskarżę się gubernatorowi, jeżeli nie przedsięweźmie w celu ulżenia tej okropnej nędzy. Ale krzyki i klątwy były głosem wołającego na puszczy. Blisko 4-y godziny przetrzymano nas nad brzegiem Wołgi, zanim pozwolono wejść do miasta. Przed domem gubernatorskim musiał widocznie ktoś usłyszeć moje wykrzykiwanie i rezonowanie, ponieważ bardzo szybko wyznaczono nam kwatery, a mnie polecono spisać wszelkie leki dla nas potrzebne, które otrzymam z apteki, mającej mi być później wskazaną. Roeder i Maliński gniewali się nieraz na mnie za takie zachowywanie się, ale cóż mi to szkodziło? Wiedziałem o tem dobrze, a otrzymałem w Twerze też zapewnienie, że szlachetny cesarz Aleksander serca swego nie zamknie dla nieszczęśliwych jeńców. Niestety! deszcz dobroczynny, gdy spada ze zbyt wysoka, rozpryskuje się w powietrzu i zamienia w parę, a zwątlona i pragnąca go roślina więdnie i marnieje w suchej ziemi!

Jarosław, spore miasto gubernialne nad lewym brzegiem Wołgi, widziane z rzeki, wznosiło się amfiteatralnie przed nami, a powiedziałbym, że sprawiało wrażenie daleko więcej malownicze, niż Moskwa. Budowa domów nosi na sobie piętno tatarskie, ulice są ponure, ciasne i brudne, a na wielu z placów obszernych, zarosłych trawą, chyba nie mało siana sprzątano. Na ulicach pa-

nował ruch ożywiony, czynność wrzała w tłumach, a mnóstwo gapiów ciekawych wałęsało się wszędy, z czego wnioskowałem, że liczba mieszkańców musi być bardzo znaczna. W tłumie widać było też ludzi o powierzchowności wykształconej; lecz wszyscy gapili się na nas tak, jakbyśmy byli dzikimi zwierzętami, które pospadały z księżyca. Z żadnym z mieszkańców nie mogłem wszcząć rozmowy, każdy uciekał odemnie, jakby od wilka wściekłego, a przecież ciało moje pokrywał kożuch barani.

W kwaterze starałem się porozumieć na migi z brodatym i mrukliwym gospodarzem, co się tylko trochę udawało, dopiero Roeder przyszedł z pomocą i, przemawiając po polsku, udobruchał go tak dalece, że między nami wytworzył się stosunek wcale niezły. Wtedy dowiedzieliśmy się, że to rząd mieszkańców przeciw nam podburza.

Aby podczas tych trzech dni, które tu spędzić mieliśmy dla wypoczynku i wytchnienia, porobić jakie znajomości, napisałem do kilku lekarzy — wszystkich Niemców — zajmujących się sztuką swoją w Jarosławiu, zapytując uprzejmie, kiedy mógłbym dostąpić zaszczytu widzenia się z nimi i złożenia im swego uszanowania. Ale wszyscy ci mniej lub więcej utytułowani panowie przeprosili mnie, wymawiając się brakiem czasu, niektórzy nie raczyli mi nawet wcale odpisać; czem się tak bardzo znów nie zmartwiłem, bo z góry przewidzieć było można, że od takich panów niczego takiego nie byłbym się mógł dowiedzieć, coby się nauce i doświadczeniu memu na coś przydało. Pana aptekarza wcale w mieście nie było.

Spotkaliśmy tu mnóstwo jeńców, których do Jarosławia już przed nami przyprowadzono, byli między nimi i tacy, którzy zmienili religię, przechodząc na obrządek wschodni, i do służby rosyjskiej wstąpili. Ludzie lekkomyślni, co podczas niepogody schronili się pod parasol, który też wkrótce będzie miał dziury.

Nasz sierżant skończył tu swą działalność, a miejsce jego zajął kapitan. Chociaż sierżant ów był sobie prostakiem, a we mnie z początku budził pewne obawy, jednak miał serce niezłe, a co prawda, choćby był i chciał, nie mógł nam wiele dobrego wyświadczyć; że zaś umiał oszukiwać jeńców na ich żołdzie, to już talent wspólny wszystkim ludziom nieokrzesanym, skubiącym, gdzie można.

Kapitan, jak każdy nowicyusz na urzędzie, obiecywał nam złote góry, starał się też w samej rzeczy, aby przeprowadzić zamiśl mój, chorych naszych dotyczący. Miałem w swej opiece 122 chorych i wytłómaczyłem mu, że przecież byłoby daleko le-

piej, gdyby ich umieszczono w mieście w szpitalu, zdrowych zaś aby opatrzone w odzież ciepłą, gdyż inaczej będzie przywódcą ruchomego lazaretu i pisarzem świadectw o zejściach, a spis zmarłych będzie bardzo długi, nadto zwróciłem mu uwagę i na to, że roznieśmy choroby po kraju i pozarażamy krajowców.

Trzeciego dnia rano przyniesiono mi też rzeczywiście rozkaz, abym z imienia i nazwiska wyszczególnił wszystkich chorych, nie mogących znieść dalszego pochodu. Ale tylko 72 tych nieszczęśliwych zatrzymano na miejscu, pozostawiono mi, niestety, jeszcze 50. Dla tych 50 chorych przeznaczono 25 wozów, na których jechać ich miało po dwóch.

Ponieważ pochód nasz do Niżniego Nowgorodu miał znów trwać cztery tygodnie, wypłacono nam więc żołd całomiesięczny, ale odzienia nie dano.

Smutek gnębiący unosił się nad naszym pochodem; towarzysze moi przeklinali swą dolę, widzieli się już w Syberyi. Ja sam byłem dość spokojny, tłumaczyłem im, że świat przecie okrągły, więc w końcu zawsze tam dojść musimy, skądśmy wyszli. Ale ta moja pociecha geograficzna nie trafiała do ich przekonania. Droga wiodła nas na wschód; przeszliśmy kilka rzek mi nieznanych; wszystkie były już zupełnie zamarznęte. Jedna tylko Wołga, którą znów ujrzeliśmy pod Makarjewem<sup>1)</sup> płynęła jeszcze spokojnie i dumnie pomiędzy swymi brzegami.

Wołga jest niewątpliwie największą rzeką w Europie, bo od źródeł aż do ujścia w morzu Kaspijskiem wije się kręto mil 430.<sup>2)</sup> Płynie pomału i poważnie i mało tworzy wysp; ja przynajmniej w miejscach, które oglądałem, nie widziałem ich ani razu. Ren płynie wprawdzie też łagodnie, jednakże przedziera się miejscami przez okolice górzyste, a wtedy pływ swój przyśpiesza. Wołga, by tak rzec, zdaje się gór obawiać, gdyż aż do Niżniego Nowgorodu wygląda, jakby wody swe toczyła wprost na wschód, dążąc do Syberyi, ale jakby przeczuwała, że staną jej w drodze góry Uralskie, za Nowgorodem, pod Kazaniem skręca nagle, nieomal pod kątem prostym, ku południowi, pomimo że szeroka rzeka Oka, wpadająca w nią pod Niżnim Nowgorodem, zdaje się temu sprzeciwiać. Wołga jednak opiera się zwycięsko nawałowi wód Oki i nie daje się zepchnąć z drogi. Ale zwalczenie tej prze-

<sup>1)</sup> Miasto powiatowe w gub. Niżegorodzkiej; do 1817 r. odbywały się tu sławne jarmarki.

<sup>2)</sup> Dokładnie 3480 wiorst.



szkody, jej duma, pozbawia Wołgę siły, im dalej dąży na południe, tem mniej rozlewa się wszcz, t. j. szerokość jej nie zwiększa się w stosunku należyty. Pod Jarosławiem ma 5 wiorst szerokości, po przyjęciu w łono swe Oki 6, pod Saratowem rozlewa się na 7. O ile rzeka ta wznosi się nad wiele innych, o tyle miejsce, w którem powstaje, dalekie jest od wzniosłości wszelkiej, a koniec, czyli ujście, zgodne jest z początkiem. Wypływający z jezior i bagien gubernii Twerskiej, rozpada się w gub. Astrachańskiej na mnóstwo odnóg, z których połowa przynajmniej ginie w piasku, a zmalała w ten sposób, wpada do morza Kaspijskiego. Prawdziwy obraz niejednego sławnego człowieka.

Wołga jest nadzwyczaj rybna, a ryby z niej są bardzo smaczne, jak np. jesiotry, z których ikry przyrządzany bywa kawior, a pod Saratowem czeczugi (stierladi). Że Piotr W. za pomocą jezior w gubernii Nowgorodzkiej i rzeki Twercy pod Twerem połączył kanałem Wołgę z jeziorem Ładoskiem, wspomniałem już powyżej.

Bardzo ciekaw byłem poznać miasteczko Makarjew, ale ciekawość ta doznała zawodu; ten Lipsk rosyjski sprawił na mnie wrażenie wioski nieomal. Jarmarki tamtejsze podobno są bardzo licznie nawiedzane i posiadają znaczenie handlowe bardzo wielkie; ściągają mnóstwo kupców azyatyckich; dlatego też zdziwił mnie niepozorny wygląd miasteczka. Jarmark odbywa się raz do roku, a na nim podobno tylko handel zamienny jest uprawiany. Kto chce nabyć prawdziwej herbaty chińskiej, a nieużywanej jeszcze, niech po nią jedzie do Makarjewa, także i handel futrami najprzedniejszymi tu obrabł swe siedlisko. Wołga przepływa pod tem miasteczkiem i dlatego też okolica jego wyglądała lepiej, a rolnictwo widocznie było w rozkwicie.

U pewnego plemienia, w tych stronach zamieszkałego, zowiącego się Mordwinami, spotkaliśmy się wprawdzie z brudem wielkim i z lenistwem, zdawaćby się mogło, że to Żydzi polscy, tyle smrodu, brudu i dzieciaków było w ich mieszkaniach. Jest tam jeszcze i drugie plemię, Czuwasi, czyli Mari. Oba te plemiona zamieszkują wioski drobne, często tylko z 3 lub 4 zagród złożone, bardzo rzadko napotkać tam wieś, w której byłoby więcej nad 20 chałup. Zajmują się tylko myśliwstwem i rybołówstwem, więc też gnieźdzą się w stronach lesistych, a w wodę bogatych. O religii, prawie i towarzyskości zdaje mi się, że ludy te mało co dotąd słyszały. Są wprawdzie pochrzczeni, ale całe ich nabożeństwo zatraça pogaństwem. Wiedzą o tem, że nad nimi panuje cesarz, któremu znosić muszą pieniądze i skórki kunie; więcej

o nim nie wiedzą. Gościnni są bez granic; oddawali nam oho-  
czo wszystko, co mieli, nie wymagając nietylko zapłaty, ale na-  
wet podziękowania. Za przysmak uchodzi u nich konina suszona  
na słońcu; mięso końskie jedzą też wędzone, a nawet na surowo.  
Do służby wojskowej nie bywają wzywani.

Dla jeńców, a zwłaszcza dla chorych, których nam z dniem  
każdym przybywało, wielkiem nieszczęściem był brak odzieży.  
Jedynym wybawieniem i końcem najlepszym jeszcze dla wielu  
chorych było zmarznięcie na śmierć. Kapitan codziennie miewał  
niemало biedy, trudu i zmartwienia ze zmarłymi. Chłoptwo wzbra-  
niało się przyjmowania trupów do pochowania; wielu nieboszczy-  
ków rzucano poprostu przy drodze, na pastwę wilkom, które też  
wciąż nam łaskawie towarzyszyły. Najwięcej trudu sprawiało  
naszemu kapitanowi wykreślanie zmarłych ze spisu jeńców; było  
to dla niego zadanie arcytrudne, a spełniając je, drapał się usta-  
wicznie w głowę. Wszystkie nasze nazwiska były spisane po ro-  
syjsku, to się rozumie samo przez się, ale przez wyrażanie naz-  
wisk obcych literami rosyjskimi koniecznle powstawać musiały  
rozliczne przekręcenia. Umarł, dajmy na to, Maciek, więc towa-  
rzysze krzyczą „Maciek nie żyje“, nasz kapitan źle zrozumiał  
i wykreślił żywego Maczka, Maciek zaś żył sobie dalej w je-  
go spisie. Spis ten był istnym rejestrem zmarłych i zmarłych-  
wstałych. Nasza pomoc na nic kapitanowi zdać się nie mogła,  
bo ani jeden pisma tego przeczytać nie umiał; był też zbyt  
dumny, aby nas wzywać do pomocy, a nam było to obojętne  
kogo uśmiercał lub żywym po śmierci dalej mianował. Może  
i ja w spisie jego również zmarłem i znów z martwych powsta-  
łem? nie wiem tego. Łatwo sobie wyobrazić, jaki nieład pano-  
wał, gdy co pięć dni przyszło wypłacać żołd jeńcom, i jak dziw-  
nie wyglądać musiały raporty naszego kapitana. Może nieporzą-  
dek ten wychodził na jego korzyść, bo jeżeli w spisie niebosz-  
czyków dalej trzymał jako żywych, to kieszeń jego źle na tem  
nie wychodziła.

Przeciw mrozom, wznagającym się coraz bardziej, zabezpie-  
czał mnie kozuch nieźle, bielizny miałem wprawdzie niewiele, ale  
jak na położenie obecne, byłem w nią od biedy zaopatrzony do-  
statecznie, jednak strasznie dokuczała mi plaga, snadź nieodłącz-  
na od niewoli, t. j. robactwo. Parowe łaźnie jedynie były nam  
ulgą przeciw tym prześladowcom.

Im bliżej Niżniego Nowgorodu, tem więcej okolica stawała  
się pagórkowatą, poprzecinaną niewielkimi dolinami; wsie, przez  
które przechodziliśmy, były zbudowane lepiej i staranniej. Włoś-

cianie tutejsi o nawożeniu ziemi nigdy jeszcze nic nie słyszeli, wnoszą więc z tego, że gleba ich musi być bardzo urodzajna i jeszcze nie wyczerpana. Nie dziwiłem się więc wcale, nie spotykając tu nigdzie ziemniaków, nie udających się, jak wiadomo, w ziemi zbyt tłustej. Natomiast mają tu piękne, małe, okrągłe buraczki, nadzwyczaj smaczne, zarówno gotowane lub pieczone, a nawet surowe. Owoce, rozumie się to samo przez się, są tu całkiem nieznanne; nawet dzikich jabłoni dostrzedz tu nigdzie nie mogłem. Lasy są nieomal wyłącznie brzoźowe, gdziekolwiek widuje się tylko jodły koślawe i karłowate. We wszystkich lasach tych liczne są wilki i niedźwiedzie, jako też kruki, wrony i kawki. Nocami zewsząd dolata wycie wilków, we dnie zaś chmary ptactwa krakały, wlatując nad nami.

#### IV.

Najbliższa okolica Niżniego Nowgorodu przyozdobiona jest wprawdzie licznymi, ładnymi siedzibami letnimi, ale rolnictwo mniej tu jest rozwinięte, bo wszędy widać przestrzenie spore, zarosłe jałowcem. Wiele rzeczek zrasza wprawdzie tę okolicę, jednak roślinność tamtejsza i pracowitość mieszkańców nie są osobliwe. Po prawej stronie ujrzelśmy Okę szeroko rozlaną, gdybyśmy nie byli wiedzieli, że Wołgę mamy po lewej, bylibyśmy myśleli, że to ona. Miasto Niżnij Nowgorod leżało na tamtym brzegu Oki, a że nie była jeszcze zamarznięta, musiano nas przeciągnąć na wielkiej łodzi. Statek ten umocowany był do liny przeciągniętej od brzegu do brzegu, przeprawa więc odbyła się dość szybko, umieszczenie nas wszystkich na statku zajęło jednak czasu niemało. Wsiadłszy, jak zwykle, długo musieliśmy czekać, stojąc na brzegu, zanim nasz kapitan otrzymał z miasta dalsze rozkazy. Jak stado owiec, nędznych i spędzonych, rozłożyliśmy się nad Oką; mróz był tak silny, że biedni jeńcy, jakby mowę mieli porażoną, nawet już nie narzekali. Wstęp do domów był wszystkim wzbroniony.

Ja, a zwłaszcza Roeder, mając więcej swobody ruchu, postaraliśmy się o wódkę; poszczęściło się nam nawet, że pewien mieszczanin zaprosił nas do siebie i nie tylko nas samych ugościł, ale i innym jeńcom biedakom posłał pokrzepkę. Chociaż nie dowiedziałem się nazwiska tego gościnnego poczciwca, boć trudno się o to wypytywać dobroczyńcę, jestem pewny, że na dom jego, który

mi wciąż żywo przed oczyma stoi, spływać będzie zawsze błogosławieństwo Boże.

Ten nasz zacny gospodarz musiał posiadać w domu wielkie zapasy wódki, bo ledwo się butelka opróżniła, zaraz stawiano na stół drugą, a przyznaję, że nigdy w życiu tylu kieliszków wódki nie wypilem, jak wtedy. Mróz, nasze życie marne, rozpacz, targająca dusze, przytępiły widać w nas wrażliwość na działanie wysokoku. Ale i to przyznać trzeba, że wódka w Rosji jest wyborna, daleko lepsza niż w innych krajach, bo tam jej ręce żydowskie nie psują i nie podrabiają. Niebawem z różnych domów wybiegli też inni ludzie miłośni, śpiesząc do kibitek, na których leżeli moi biedni chorzy, a byli dla nich tak łaskawi, że aż musiałem hamować ich hojność, by chorym nie zaszkodziła. Wielu mieszczan przyniosło nam odzież, okrycia ciepłe, inni dawali pieniądze; wielu uznawało swą niemoc wobec nędzy tak wielkiej. Choćbym nawet nie był wypił tyle wódki, już sam widok ten byłby mi serce rozgrzał.

Widząc tu, nad brzegiem Oki, nieomal na progu Syberyi, tak daleko od świata cywilizowanego tylu ludzi dobrych i miłośni, czyż nie mogłem nabrać otuchy, że Bóg łaskawy i na Syberyi mnie nie opuści?

Brzeg Oki, na którym stanęliśmy, zastawiony był licznymi działami, a gospodarz nasz objaśnił, że działa te razem z cesarzem Aleksandrem wjadą do Paryża. Ponieważ miał już oblicze rozpalone, nie zbijałem jego zdania, tembardziej, że i wdzięczność za ugoszczenie na to jakoś nie pozwalała.

Nakoniec kapitan powrócił i przyniósł nam wieść bardzo miłą, że już dalej nie pójdziemy na wschód, lecz że skęcimy na południe do gubernii Penzeńskiej. Żołnierzy, strzegących nas, znieniono, ale kapitan miał z nami pozostać aż do Penzy. Na wiadomość tę gospodarz kazał podać jeszcze kilka butelek wódki, które też wypiliśmy z humorem najlepszym.

Wychodząc z Jarosławia, miałem pod swoją opieką 50 chorych; po drodze przybyło jeszcze 21; z liczby tej zmarło 35, padając ofiarami wycieńczenia, porażenia, biegunki i zgorzeli po odmrożeniu. Do zdrowia nie powrócił z nich ani jeden.

Przeprowadzono nas przez kilka ulic w kierunku wschodnim i wyznaczono obozowisko za miastem, zabraniając wstępu do niego.

Rozpocząłem znów skargi i żądania, dotyczące odzienia cieplejszego dla chorych i większej o nich dbałości, a że stałem się jeszcze natarczywszym, dokazałem tego, że wszystkich chorych zatrzymano na miejscu, ale o dostarczeniu odzieży nie chciano

słuchać. Wszyscy chorzy, pozostawieni w Niżnim Nowgorodzie, byli już tak wycieńczeni, że oczy ich szukały już tylko spokoju na tamtym świecie.

Miasto Niżnij Nowgorod wznosi się nad wysokim brzegiem Oki, a domy wszystkie — przynajmniej ile ich widziałem — zbudowane były w stylu staroświeckim, jakby gotyckim, podobnym do spotykanego w wielu dawnych miastach niemieckich. Że styl starotatarski zbliża się do gotyckiego, znów i tu spostrzegłem. Miasto owo było też niegdyś stolicą książąt suzdalskich; od południa opasywał je mur z blankami i wieżami.

Zanim kazano nam wyruszyć zeszły 4-y godziny, a podczas tego wielu mieszkańców przyszło do nas z miasta, między nimi także ludzie z towarzystwa, i zawiązywali z nami rozmowy. Z jakimś panem, który do mnie przemówił po niemiecku, rozmawiałem dość długo; od niego dowiedziałem się, że gubernator miejscowy ma być człowiekiem bardzo zacnym, któryby nas był z pewnością umieścić w swej gubernii, gdyby już wszystkie miasta powiatowe nie były przepełnione jeńcami, przyprowadzonymi przed nami. Mówił mi też, iż Napoleon z Moskwy uciekł, że całe wojsko uchodzi w nieładzie, oraz że Rosyanie gonią Francuzów z siłą i natężeniem. Przed kilku dniami nadeszła wiadomość do krewnej feldmarszałka Kutuzowa, tu mieszkającej, która jakoby dom jej napełniła radością. Opowiedział mi również, iż Kotzebue<sup>1)</sup> podróż swą syberyjską odbył pomyślnie i tędy przejechał, udając się do Kazania. Osławiony Aschenbrenner, którego król pruski do Syberii wywieźć kazał, żyje podobno w Tobolsku i to w przyjaźni i zażyłości bliskiej z taintejszym gubernatorem.<sup>2)</sup> Pan ten zapewnił mnie też stanowczo, że jeńcy z wojska polskiego wkrótce wypuszczeni będą na wolność. Jegomość ten niewątpliwie zajmować musiał stanowisko wybitniejsze, ale jakoś nie wypadało mi zapytać, kim jest właściwie i jak się nazywa.

Le Blanc otrzymał od kapitana pozwolenie udania się do miasta pod strażą żołnierza; powrócił stamtąd uradowany w naj-

<sup>1)</sup> Prawdopodobnie Maurycy, znany podróżnik (ur. 1789 r. zm. 1861 r.).

<sup>2)</sup> Aschenbrenner, głośny w Prusach bandyta. Na mocy specjalnego układu między rządem pruskim a rosyjskim w 1802 r. odstawiono do Narwy i oddano w ręce władz rosyjskich 58 przestępców różnego rodzaju, których następnie wysłano na Syberję, w tej liczbie był również, jak się zdaje, i Aschenbrenner (Por. Publicandum wegen Deportation incorrigibler Verbrecher in die siberischen Bergwerke, Berlin, den 7-ten July 1802, podp. Graf v. d. Schulenburg v. Goldbeck).

wyższym stopniu, ponieważ dowiedział się, że jego pani generałowa niedawno przejeżdżała tędy do Penzy. Odrazu opuściła go żalność wszelka, zaczął znów po dawnemu śpiewać i skakać. Odtąd już nawet wcale nie chciał jechać, lecz biegł na przedzie gromady, wykrzykując i skacząc jak szalony; zabawiało to nieco moich chorych; nawet sztywny kapitan śmiał się z niego do rozpuku.

Wychodząc, otrzymaliśmy znów żołąd całomiesięczny z góry.

Śnieg zaczął padać płatami; już nazajutrz jechaliśmy sankami, ale sanna trwała jeno dni kilka; nastąpiła odwilż i popsuła wszystkie drogi. W miasteczku Arzamasie, należącym do gubernii Penzeńskiej<sup>1)</sup>, poznałem się z horodniczym, człowiekiem dobrym, ale bardzo chorym; oddawna leczył go dr. Europaeus z Penzy; cierpiał biedak na czwartaczkę<sup>2)</sup>, a miał już wtedy wodną puchlinę.

Tu, w Arzamasie, Le Blanc spotkał się nakoniec z ową generałową Anienkowową. Myślałem, że zmysły postradał. Gdyby generałowa była osobą młodą, byłbym sobie zachowanie się jego umiał wytłómaczyć inaczej; ale ujrzałem damę wiekową, poważną, wzbudzającą poszanowanie, a wiele okazującą nam współczucia. Nic mu ta jednak tymczasem nie pomogła, musiał z nami iść aż do Penzy.

Wsie wszystkie, napotkane między Niżnim Nowgorodem a Penzą, nienazbyt liczne, były wielkie, o domach obszernych. Mieszkańcy wyglądali wesoło, a z nami obchodzili się łagodnie i uprzejmie. W tych stronach mieszkają też podobno Czeremisi i Czuwasi; mają to być rolnicy bardzo pracowici, ale są skłoni do złodziejstwa. Do złożenia przysięgi—jak mi mówiono—niczem ich skłonić nie można; w danym razie, zamiast niej, włożywszy w usta grudkę soli, szepcą: „Bodajbym do końca życia tej nie miał, jeżeli prawdy nie powiem.“ Rządowi płacą daniny nie małe; podobno także do wojska stawić mogą 20,000 chłopów tęgiego. Żywią się również koniną.

Mordwini, których podczas pochodu naszego spotykaliśmy często, są plemieniem bardzo ciekawem wśród różnych mieszkańców Rosyi. Dzielią się na dwa szczepy, nazywające się: Makszardze i Erszadze.<sup>3)</sup> W okolicach tych byli zapalonymi bartnikami,

<sup>1)</sup> Arzamas od 1719 r. należy do gub. Nowogrodzkiej.

<sup>2)</sup> Febra, zimnica, wracająca co czwarty dzień.

<sup>3)</sup> Mokszańcie i Erzańcie.

przytem zabobonni w najwyższym stopniu. Nam okazywali wiele złośliwości; trzeba się było mieć wciąż na baczości, aby krzywdy jakiej nie wyrządzili; konina u nich również za przysmak uchodzi. U Mordwina takiego, u którego dano nam kwaterę, siedząc na ławie, zoczyłem pod nią łeb koński, niezdarnie z drzewa wystrugany, sięgnąłem po niego, aby mu się przyjrzeć, ale gospodarz rzucił się na mnie, jak wściekły, i wyrwał mi go gniewnie z ręki. Przypuszczam, że z ludu tego nie wykorzystano jeszcze pogaństwa. Kobiety ich są wszystkie bardzo brzydkie, a mężowie obchodzą się z niemi, jak z bydłem; dzieci liczne chowają nędznie w brudzie niesłychanym.

## V.

Brodząc w śniegu, dowlekliśmy się do Penzy. Ledwo weszliśmy do miasta, gdy nadbiegł urzędnik policyjny, przynosząc kapitanowi rozkaz, aby nas tymczasem, aż do innego rozkazu od gubernatora, poumieszczał wszystkich bez wyjątku poza miastem; zarówno oficerów, jak i żołnierzy, miano opatrywać we wszystko dostatnio i darmo. Kazano mi sporządzić spis chorych, spodziewałem się więc, że będę mógł biedaków tych pozostawić w Penzie.

Nazajutrz otrzymaliśmy, ja, Roeder i Maliński, po nowym kożuchu baranim i po parze butów. Niestety! jeńcy inni nie doczekali się tego dobrodziejstwa. Chorych najślabszych odebrano mi. Kwatera moja była zbyt oddalona od miasta, a pogoda tak nikczemna, że trudno było wychylić się z domu. Ponieważ jednak potrzebowałem środków lekarskich dla chorych, a bez pozwolenia władzy otrzymać ich nie było można, więc sporządziłem *defectus medicamentorum* i doręczyłem go kapitanowi. Kapitanów, nie ufający mi wcale, ponieważ wciąż go niepokoiłem wymaganiami, a zresztą nic z nim nie chciałem mieć do czynienia, jako z głupcem, zbyt mało się o nas troszczącym, wpadł na podejrzenie, że podanie moje jest skargą na niego do gubernatora, więc je skreślił. Ale aptekarz, niejaki Peterson, wydał mi lekarstwa podług kopii, którą mu później sam doręczyłem, i serdecznie się uśmieł, gdym mu o kapitanie opowiadał. Ten pan Peterson, z którym się następnie poznałem nieco bliżej, nie był bynajmniej pospolitym farmakiem, lecz owszem człowiekiem wykształconym i przyjemnym; był też zaszczycony tytułami i orderami.

Lekarze miejscowi używali wziętości nie małej wśród mieszkańców, a zwłaszcza dr. Europaeus uchodził za Hipokratesa w Penzie, ale nie mnie nie nęciło do zaznajomienia się z tymi panami, bo Europaeusa wystawiono mi, jako człowieka dumnego i zarozumiałego, a to go podobno nieraz popychało aż do gburowatości.<sup>1)</sup>

Dotychczasowe miejsce naszego kapitana zajął teraz porucznik. Pomimo, że kapitan był człowiekiem dość nieokrzesanym i mało też dbał o nas, a bardzo surowym był dla żołnierzy, posuwając się niekiedy aż do okrucieństwa, posiadał jednak wielkie poczucie swej godności; mundur na nim musiał zawsze być, jak ulany, a kityę na kaszkiecie i pas zmieniał codziennie; jeśli gdzie spotkał się ze zwierciadłem, to gotów był i godzinę całą stać przed nim. Jeżeli jeńcy w dni postne jedli mięso, stawał się mrukliwym na cały dzień i, jak Jowisz zagniewany, machał laską na prawo i lewo. Nieraz starałem się wytłómaczyć mu, że u nas, jeńców, religia nic nie może mieć wspólnego z żołądkiem, żołnierz je, gdy ma co położyć na zębie, pości zaś, gdy nic nie ma; słysząc to, zęgnął się krzyżem.

Porucznik, nasz nowy dowódca, był to człowiek wesoły; miał w Penzie żonę i kilkoro ładnych dzieci, a obejmując dowództwo nad nami, zachował się tak, że odrazu zdobył nasze serca.

Towarzysz nasz dotychczasowy, Le Blanc, tu otrzymał znów wolność. Szalał z radości tak, że myślałem naprawdę, iż rozum stracił, i ostrzegałem innych. Całował i ścisnął wszystkich, nawet kota w kwaterze naszej, śpiewał nam pieśni rewolucyjne francuskie: prawdziwy waryat. W nieszczęściu napadała go czarna rozpacz, gdy mu się wiodło szczęśliwiej, szalał z radości. O sobie samym miał wyobrażenie nadzwyczaj wygórowane, które go nie opuszczało na chwilę; generałowa była dla niego rodzajem bóstwa. Nieraz mawiał nam, że cesarz Aleksander napewno dowie się o jego nieszczęściu. Za różgi, otrzymane za ucieczkę, mawiałem mu, powinni pana zrobić kapelmistrzem, śpiewakiem, albo conajmniej błaznem nadwornym w Petersburgu. Roedera szanował, Malińskiego kochał, mnie zaś bał się i odmalował mnie też w Penzie, jako zdziwaczałego hipochondryka.

Cztery dni spędziliśmy w Penzie, a jednak miasta tego nie poznałem dokładniej, ponieważ mieliśmy obrzydliwą pogodę, odwilż ciągłą oraz śnieg i deszcz na przemianę.

<sup>1)</sup> Dr. Jan Europaeus, znany w Rosyi lekarz, pozostawił interesujące pamiętniki, z których wyjątki ogłoszono w Russk. Starinie (1872 r.).



## ANGLIA I ROSJA

### w przededniu wojny 1812 r.

Niezupełnie dokładnie znana jest rola, jaką opinia publiczna rosyjska, wroga dla przymierza z Napoleonem, odegrała w przededniu wojny 1812 r., chociaż zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że była ona jedną z przyczyn, które spowodowały wyprawę na Moskwę. Czynnikiem ten, z natury swej należący do sfery raczej ideowej, miał przeciwieństwo podstawy materialne. Skutkiem akcesu Rosyi do systemu blokady kontynentalnej, zerwany został najtrwalszy, bo na wzajemnych interesach handlowych oparty, węzeł, łączący Anglię i Rosyę. Handel wywozowy rosyjski płodów surowych, jak drzewa, w tem przedewszystkiem budulcu okrętowego, konopi, lnu, potażu i zboża, wyrzucony został z naturalnej swej koleji, gdy równocześnie zatamowaniem zostało źródło, z którego Rosja zaopatrywała się oddawna we wszelkiego rodzaju towary kolonialne i artykuły fabryczne. Stan anormalny, jaki z tego powodu zapanował w stosunkach ekonomicznych rosyjskich, przyprawił niemal wszystkie warstwy społeczne o ciężkie straty i wywołał oczywiście wzrastającą z rokiem każdym opozycję przeciw aliansowi z Napoleonem, jako przyczynie owej klęski powszechnej.

Na czele tego ruchu opozycyjnego i najgłośniejszym jego rzecznikiem była partya reakcyjno-patriotyczna rosyjska, usposobiona zresztą wrogo nie tylko względem przymierza z Francją, lecz przedewszystkiem dla wszelkich z tego kierunku polityki pochodzących, wówczas przez Aleksandra przedsięwziętych reform liberalnych dla Rosyi. Należeli też do tego stronnictwa opozycyjnego anglofile-idealiści i ci, którzy w takich przekonaniach

mieli prywatne wyłącznie widoki, a wreszcie owi ustawiczni sprawcy niepokojów, emigranci wszelkiej narodowości, ludzie bezdomni, znajdujący obecnie gościnę w salonach frondy petersburskiej. Wszyscy oni, dążąc wytrwale do obalenia znienawidzonego aliansu francuskiego, źródła klęsk powszechnych, narodowych i prywatnych, godzili nienawiścią w człowieka, który był przedstawicielem i gorącym zwolennikiem tego przymierza, kanclerza państwa hr. Rumiancewa, gotowi byli wszakże obrócić się nawet przeciw samemu cesarzowi, o ileby innym sposobem nie udało się sprowadzić go z drogi, wiodącej, ich zdaniem, Rosyę do zguby. Propaganda anti-francuska szerzyła się po całym państwie, sięgała do najniższych warstw, trafiała nawet do ciemnego ludu za pośrednictwem duchowieństwa, upatrującego w Napoleonie antychrysta, obejmowała wojsko, i to nie tylko oficerów, lecz i prostych żołnierzy. Najostrzejszą formę przybrał ruch ów w r. 1810, gdy z jednej strony przerwa kilkoletnia w handlu dotkliwiej dawała się odczuć, podczas gdy z drugiej, stosunki oficjalne z Turcją nie weszły jeszcze w stan trwałego przesilenia, które pozwalałoby przewidywać rychłe ich a upragnione zerwanie. Wówczas dotychczasowe niezadowolenie przybrało rozmiary formalnej konspiracyi, zanosilo się poprostu na detronizacyę Aleksandra i utworzenie regencyi w osobie W. Ks. Katarzyny—jeśli wierzyć mamy relacyom Szweda Arnfelta, niestety, niezupełnie wiarygodnemu świadectwu.

Gustaw Maurycy baron Arnfelt—doskonały typ awanturnika i dyplomaty, typ owemi czasy tak rozpowszechniony, rozpoczął swą karierę wojskowo-dyplomatyczną w wojnie szwedzko-rosyjskiej r. 1788—90, na której tyle w Polsce owoczesnej Sejmu Czteroletniego nadziei pokładano. Mianowany członkiem rady regencyjnej szwedzkiej, usunięty z niej został przez brata nieletniego Gustawa IV Adolfa, późniejszego Karola XIII, i wysłany jako poseł, do Neapolu, gdzie układał mściwe plany sprzysiężenia, które, gdy je odkryto, ściągnęły na autora zaoczny wyrok śmierci. Ułaskawiony i powołany ponownie do służby przez równie awanturniczego Gustawa IV Adolfa, posłował od Szwecyi w Wiedniu, dowodził w kampanii pomorskiej i norweskiej r. 1807 i 1808, a po tragicznej detronizacyi króla, do której ręki swej przyłożył, dostąpił godności prezydenta kollegium wojny. W r. 1810 popadłszy ostatecznie w niełaskę u Karola XIII, złożył ten urząd, opuścił niewdzięczną ojczyznę i podążył do Rosyi, gdzie znaczną odegrał rolę. Tu zyskał względy Aleksandra przez swoje szczere, przybierające brutalną formę przekonania anti-napoleońskie. W me-

moryałach, jakie cesarzowi składał, z nieubłaganą natarczywością domagał się zerwania z Napoleonem; na jednym z owych pism położył nawet, jako motto, słowa: *to be or not to be*<sup>1)</sup>. Te poglądy zbliżyły go oczywiście do patryotycznej opozycji, był miłym gościem w salonach petersburskich, daną mu była sposobność gruntownego poznania postępow i rozmiarów propagandy antyfrancuskiej, którą pilnie obserwował, jeżdżąc w głąb Rosyi do Moskwy, odbywał w tej sprawie jakieś narady z W. Ks. Katarzyną, a wreszcie otrzymał polecenie wszczęcia podobnej akcji w Finlandyi rosyjskiej. O tych obrotach Armfelta bardzo mało byłoby wiadomo, gdyby nie dzielił się ze swemi spostrzeżeniami z godnym siebie przyjacielem, hr. d'Antraigues'em, emigrantem francuskim, siedzącym wówczas w Londynie, pamphleciarzem i szpiegiem, wchodzącym przez tylne drzwi do londyńskiego *Foreign Office*, dla którego już wszakże w tym czasie zamykać się poczynęły fundusze angielskiego *secret service*, z których dotychczas czerpał aż nadto obficie<sup>2)</sup>. Temu to d'Antraigues'owi posyłał Armfelt w ciągu r. 1810 tajne relacye o wewnętrznym stanie Rosyi, w tej niewątpliwie nadziei, że przedstawione z kolei angielskiemu ministrowi spraw zagranicznych, zjedną sowing zapłatę dla tak interesującego korespondenta.

Widocznie niezupełnie jeszcze dojrzały roboty opozycji i posiadały wady właściwe tego rodzaju przedsięwzięciom, skoro pod datą 7 września 1810 r. skarżył się popędliwy Armfelt<sup>3)</sup>, „że interesy osobiste naczelników mają wpływ zgubny,“ odwołując się do wybuchu, któryby zmusił Aleksandra do oddalenia ministrów, a przede wszystkim Rumiancewa. „Gdy jeden chce działać, drugi sądzi, że większą korzyść dla niego przedstawia zwłoka, ponieważ, zdaniem jego, niedostateczne przedsięwzięcia środki, żeby być pewnym rezultatu, o ile jego własny interes w grę wchodzi. Co więcej, niema zupełnej zgody co do celu, a skutkiem tego i co do

<sup>1)</sup> Gustaf Mauritz Armfelt. Studier ur Armfelta efterlemnade papper af Elof Tegner (Stockholm 1887), III, 382 sq. Tamże o stosunkach Armfelta z Ogińskim w r. 1811 i 1814, 383 sq., 431 sq.

<sup>2)</sup> Pingaud, Un agent secret sous la révolution et l'empire. le c-te d'Antraigues (Paris 1894), 338 sq. Na jednym z pism d'Antraigues'a w aktach *Foreign Office* znajduje się dopisek ręką Wellesleya, sekretarza stanu spraw zagr. w r. 1810, „now to be given“.

<sup>3)</sup> *Foreign Office*, Russia, 75 (Public Record Office w Londynie), Extrait de la 3-e lettre du G-al B-on Armfelt. Są to wyciągi z korespondencji Armfelta, ręką d'Antraigues'a.

środków. Książę Czartoryski<sup>1)</sup> i wszyscy jego przyjaciele w Rosyi pragnęliby zachować Aleksandra; są oni przekonani, że doprowadziwszy do skutku wybuch, któryby zmusił cesarza do usunięcia ministra, możnaby wybornie kierować (Aleksandrem) za pomocą ludzi, przydanych mu (w tym celu)... Generał Pahlen, Markow i ich partya nie podzielają tego zdania. Panina niepodobna przeniknąć, ale on wie, że Aleksander niezmiernie się go obawia, a doświadczył on już tego, że monarchowie, choćby najślabsi, mają przecież odwagę usunąć ministrów, którzy wyniosłszy ich na tron przez rewolucyę, zyskali zbyt znaczne tytuły do wdzięczności...<sup>2)</sup> Armfelt był w Moskwie, żeby widzieć się z Paninem; Rumiancew chciał temu przeszkodzić, ale W. Księżna poleciła mu dać rozkaz przez Aleksandra (sic!). Był na drodze do Kazania, 60 mil poza Moskwą. Wojsko, które widział, jest dobrze odziane i dobrze uzbrojone, ale wydział prowiantowy w stanie najzupełniejszej anarchii, a znajduje się w nim banda najbezwstydniejszych złodziei. Lud wyborny, przejęty wstrętem do Francuzów, a najgłębszą pogardą do Aleksandra; egzystencya jego jest dla ludu obojętna i pod tym względem niema żadnych wątpliwości. Kler (prawosławny) zupełnie jest oddany wrogom Francyi i tak śmiały, że daje wyraz swoim przekonaniom w cerkwiach, wypełnionych ludem. Jeżeli księża nie wpajają w lud pragnienia detronizacyi Aleksandra, to należy to przypisać jedynie wpływowi arcybiskupa Platona, głowy kościoła i ścisłego przyjaciela Czartoryskiego. Wszystkie klasy kupieckie stanowią partyę najenergiczniejszą i najgwałtowniejszą, a zarazem najbardziej zawziętą na Aleksandra. Rumiancew, oczywiście, jest wszędzie przedmiotem ich nienawiści, ale oni żywią ją także do Aleksandra, a cała ta warstwa stoi po stronie Pahlena. Wojskowość przejęta wstrętem do Arakczejewa, ministra wojny, i pogardza Aleksandrem. W szczególności zaś gwardya preobrażeńska i dwa inne pułki są całkiem oddane Katarzynie, a ich oficerowie nie taili się przed Armfeltem z tem, że zrobiwszy rewolucyę,

<sup>1)</sup> W jednym z poprzednich listów, dn. 5 września 1810 r., pisał Armfelt: „Odjazd ks. Czartoryskiego, zażyłego przyjaciela (dopisano ołówkiem d'Antraigues'a), był rezultatem próby uczynionej w sierpniu, żeby nakłonić Aleksandra do usunięcia Rumiancewa i przyjaciela jego Arakczejewa, a powołanie na ministrów hr. Panina, Markowa i hr. Koczubeja“ (F. O. Russia, 75).

<sup>2)</sup> Alluzya do udziału Panina w detronizacyi Pawła i wyniesieniu Aleksandra r. 1801.

nie zatrzymają się, znajdując się na tak pięknej drodze, i że należy wskrziesić Wielką Katarzynę przez włożenie korony na głowę W. Księżnej...“

W następnym liście pisał w dalszym ciągu Armfelt<sup>1)</sup>: „Czartoryski w żadnym razie nie chce w tych okolicznościach obejmować stanowiska ministra; w przesileniu, w którym idzie o los Polski, krępuje go to, że jest sam księciem polskim i siostrzeńcem nieboszczyka króla polskiego. Wszakże zgadza się na to z naczelnikami partyi, żeby pozostać członkiem Rady Stanu i Rady Tajnej i być przy cesarzu, co też uczyni, gdy monarcha wezwie go, aby znowu z nim się połączył. Rumiancew, mający oparcie w osobie Caulaincourta, posła francuskiego w Petersburgu, napełnia taką trwogą Aleksandra, że ten nie może się zdobyć na wygnanie tych nędzników, ponieważ zaś postanowiono pozbyć się ich za wszelką cenę, Czartoryski oświadczył cesarzowi, że go opuszcza i nie wróci nigdy do niego, chyba jeżeli usunie obu ministrów. Odjechał w rzeczy samej; podobnie wyjechał i Nowosilcow, tracąc<sup>2)</sup> wszystkie pensye i urzędy; przed nimi wyjechała pani Naryszkinowa, ale przed wyjazdem ich Tutołmin, szwagier Panina, zgodził się pozostać w obu radach. Jest to człowiek odważny, zdecydowany, ale pozbawiony zdolności. Żona jego ma talenty, których on nie posiada i ona nim kieruje według wskazówek hr. Panina. Zresztą umieszczono go tam raczej w tym celu, żeby obserwował, niż żeby mieć przez niego jakiś wpływ. Przed wyjazdem Czartoryskiego postanowiono...“), aby być przygotowanym na wszelkie ewentualności, iż należy postawić na czele partyi osobę z domu cesarskiego, a gdy cesarzowa nie chciała niczem kierować, chociaż i ona wielce jest przeciwna obecnemu stanowi rzeczy, nie pozostał nikt inny do wyboru, jak W. Księżna Katarzyna, bożyszcze Rosyan, w której naród pokłada wszystkie swe nadzieje.<sup>4)</sup> Księżna natychmiast opuściła

<sup>1)</sup> Bez daty, zakomunikowane we własnoręcznym wyciągu przez d'Antraigues'a ministrowi angielskiemu, dn. 24 paźdz. 1810 r. (F. O. Russia 75).

<sup>2)</sup> Nieczytelne w oryginale.

<sup>3)</sup> Nieczytelne w oryginale.

<sup>4)</sup> W innym liście tak wyrażał się o niej Armfelt: „W. Księżna Katarzyna jest podziwienią godną osobą, ona może kierować bratem, który powinien zawsze być kierowanym. Kobieta ta, godna wnuczka Katarzyny II, posiada może nawet więcej talentów, chociaż tego nie okazuje, a z pewnością o wiele więcej ma cnót i moralności. Kocha Anglię i wyraziła się -- to są własne jej słowa: „Bez przymierza z Anglią zginiemy, a nasza mania podboju sprawi, że wszystko utracimy“ (F. O. Russia 75).

swoją gubernię w Twerze i przybyła do Petersburga, żeby tam zamieszkać. Niema wcale mowy o tem, przynajmniej w pobliżu niej i tak, żeby to do jej wiadomości doszło, aby osadzić ją na tronie; ona chce zachować koronę bratu, oddać go tylko w ręce stronnictwa rosyjskiego i nim kierować. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu generał Kamenskoj należy do partyi. Nabytek ten oczywiście nastąpił niedawno, gdyż w armii rosyjskiej uważają go jeszcze za stronnika Rumiancewa. Ale W. Księżna pewną jest jego i, zdaniem mojem, niema wątpliwości o przekonaniach jego i pomocy. Rumiancew, który prawie że zdaje sobie sprawę ze swojej sytuacji i który wie, że zanosi się tu na śmiertelną walkę, a wraz z nim ci wszyscy, którzy nie mają dla niego ostatecznej pogardy, oddaje się coraz więcej w ręce Bonapartego i Caulaincourta i działa po desperacku. Z jego to biura wychodzą owe biuletyny w języku rosyjskim o sprawach Hiszpanii i Anglii, pełne najskrajniejszych fałszów o terażniejszych ministrach i niepojęte niedorzeczności o rewolucyjnym stanie Anglii. Biuletyny te, posyłane gubernatorom prowincyi, w zupełności są paraliżowane w skutkach przez pisma redagowane i drukowane w Moskwie. Te ostatnie redagowane są przez Karamzina...<sup>1)</sup> i składane w drukarni partyi, a Rumiancew nie odkryje nigdy ani autora, ani miejsca, gdzie wychodzą, ani drukarni. Biuletyny te układane na podstawie „Kuryera“ angielskiego i korespondencyi prywatnych, rozchodzą się po całym cesarstwie, a szczególnie wśród duchowieństwa, za pośrednictwem kleru, zupełnie poświęconego partyi. Uważano bowiem, i to słusznie, że należy pozyskać kler, skoro lud na prowincyi i żołnierze wierzą tylko temu, co im popi mówią. Armfelt odbył wiele konferencyi z W. Księżną, która zupełnie zgadza się z partyą angielską i nie zna innego środka ratunku, jeżeli taki wogóle istnieje, jak zawarcie pokoju z Turkami, zaczem poszłoby przymierze z tem mocarstwem, choćby je przyszło nawet znacznemi ofiarami okupić, żeby uzyskać jedno i drugie. To przyniosłoby pokój z Persją za medyacyą Porty i Anglii i traktat handlowy, dogodny dla narodu angielskiego, a ministrowie angielscy mogliby wówczas uczynić alians ten popularnym i narodowym. Tego rodzaju zasady rozwinęła W. Księżna przed Armfeltem; mnie nietrudno było — dodawał d'Antraigues — poznać w nich doktrynę hr. Panina. Pozostałyby przecież pewne trudności, nawet gdyby partya objęła ster

<sup>1)</sup> Nieczytelne w oryginale.

spraw. Niema wprawdzie żadnej przeszkody dla pacyfikacji z Turcją, ale pozostanie trudność do pokonania, którą jest chęć, i to dość silna, zatrzymania Finlandyi szwedzkiej, tak ze względu na samą prowincję, ubezpiecza bowiem granicę dla Petersburga, a zarazem i z tego powodu, że partya uważa nabytek ten jako potrzebny dla utrzymania własnej popularności w społeczeństwie.“

W braku wyraźniejszego potwierdzenia skądinąd, niepodobna oczywiście powyższych, alarmujących relacji Armfeltta brać w dosłownem ich brzmieniu, a nawet należy bardzo wiele z nich strącić na karb kłanliwości referującego je d'Antraignes'a. Nie ulega przecież żadnej wątpliwości, że obok innych czynników natury wyłącznie politycznej, owa patryotyczno-reakcyjna a przychylna dla Anglii opozycja rosyjska wpłynęła w dużej mierze w przełomowej dobie 1810—12 r. na zerwanie z Napoleonem i zbliżenie Rosyi ku Anglii. Zwrot taki z tem większą łatwością mógł nastąpić, gdy poza zerwaniem stosunków handlowych, nie było między Anglią a Rosją właściwie żadnych faktycznie kroków wojennych. Rosya zamknęła porty swe dla statków kupieckich angielskich, Wielka Brytania odpowiedziała na to manewrami floty, które miały charakter wojennego acte de presence. We wrześniu 1808 r. sir Charles Cotton zmusił co prawda eskadrę rosyjską pod admirałem Senjawinem u ujścia Tagu do kapitulacji, ale warunki jej były tak łagodne—zatrzymano tylko statki, a załodze bez wyjątku pozwolono na powrót — iż aprobatę gabinetu w Londynie zyskały jedynie w tej nadziei, że będzie to punkt wyjścia do prób pacyfikacyjnych z Rosją. Równocześnie eskadra angielska pod sir James Saumarez'em manewrowała na wodach bałtyckich przeciw flocie rosyjskiej pod admirałem Chanykowem, lecz komendant angielski na wspótkę z ówczesnym ambasadorem w Stockholmie, Edwardem Thornton'em, podjęli na własną rękę próbę nawiązania rokowań i zwrócili się w drodze pisemnej w tym celu do ministra marynarki Czyczagowa i Aleksandra. Próba ta, podjęta zresztą bez upoważnienia lordów Admiralicyi, nie powiodła się wprawdzie, trafiono bowiem na zupełnie nieodpowiednią chwilę — gdyż Aleksander właśnie znajdował się na zjeździe z Napoleonem w Erfurcie. Nakoniec dowódca korpusu posiłkowego angielskiego, przebywającego w tym samym roku w Szwecyi, sir John Moore, uchylał wszelkie propozycje udziału w akcji przeciw Rosyi w Finlandyi, a gdy wskutek zatargu z królem Gustawem IV Adolfem został zaaresztowany, umknął ze Stockholmu i wrócił wraz z wojskiem do Anglii, a za nim podążyła i flota. Odtąd ograniczano się ze strony angielskiej do corocznej wysyłki floty na Bałtyk

dla osłony kontrabandy, a z wiosną r. 1811 krążyło w pobliżu wysp Bornholm i Gothland 20 liniowych okrętów, 15 fregat, 20 mniejszych statków pod komendą znanego sir James Saumarez'a.

Stosunki francusko-rosyjskie przechodziły tymczasem fazę coraz gwałtowniejszego przesilenia. Ostatnia próba porozumienia, podjęta ze strony rosyjskiej, która polegała na wyrównaniu jawnych punktów spornych, sprawy księstwa Oldenburskiego i Warszawskiego, na gruncie tej ostatniej, nie dotykając przecież drugiego źródła zatargu, blokady kontynentalnej, spełzła na niczem, a i powrót Caulaincourta, rzetelnego zwolennika aliansu, z Petersburga do Paryża, nie przyniósł również oczekiwanego załatwienia sporu.<sup>1)</sup> Wówczas Aleksander, który dotychczas, nie chcąc przyspieszać zerwania z Napoleonem, przedwczesnem, niefortunnem zbliżeniem się ku Angli, zachowywał wobec niej zupełną rezerwę, wiedział bowiem dobrze, że z chwilą wybuchu wojny, nawiązanie stosunków z tem mocarstwem z natury rzeczy musi samo nastąpić, zdecydował się przeciw podjęć pierwszy krok zwrotny w tym kierunku i z początkiem lipca 1811 r. wysłał ks. Kazimierza Lubomirskiego z tajną misją do Londynu.

Syn Michała, generała wojsk koronnych, pana na Dubnie, Wiśnicz i Jarosławiu, dziedzic fortuny dubieńskiej, znanym jest ks. Kazimierz ze swej samarytańsko-filantropijnej roli, jaką odegrał jesienią 1812 r., gdy przygotowywał na Wołyniu lazarety, osobiście zajmował się losem ofiar wojny, aż padł wreszcie sam ofiarą grasującej w tych stronach zaraźliwej gorączki.<sup>2)</sup> W czasie, o którym mowa, przebywał w Petersburgu, gdzie, pozostając w ścisłych stosunkach z Lubeckim i Ogińskim, razem z nimi brał w robotach około projektów restauracyjnych polskich, w skromniejszej, odbiegającej daleko od analogicznych planów Czartoryskiego, koncepcyi, mającej zresztą źródło w nawskroś pojedynczej naturze samych autorów. Musiał tedy zyskać wyjątkowe zaufanie Aleksandra, skoro cesarz, oczywiście poza plecami Rumiancewa, poruczył mu zlecenie tak delikatne a doniosłe. Lubomirski nadawał się jednak znakomicie do takiej misyi. Obok nieposzlakowanego charakteru i innych zalet osobistych, posiadał jeszcze i te, że znał Anglię oddawna i miał wyrobione już stosunki w angielskiej arystokracji; zresztą udawał się do Londynu

<sup>1)</sup> Mémoires de l'Amiral P. Tchitchagoff, publ. par Ch. Gr. Lahovary Paris 1909, p. 408; Ogiński, Mémoires sur la Pologne, III, 45.

<sup>2)</sup> Żychliński, Złota Księga, V, 129.



obecnie dla zawarcia z Admiralicją umowy, względem dostawy budulcu okrętowego z własnych dóbr na Wołyniu.

Gabinet angielski, na którego czele stał podówczas umiarkowany torys Spencer Perceval, zamordowany, jak wiadomo, w następnym roku w przedsiönku Izby Gmin przez niejakiego Bellinghama, dochodzącego tym sposobem krzywd, wyrządzonych mu rzekomo przez rząd, niewątpliwie z zadowoleniem musiał przyjąć misję Lubomirskiego, którego na kilka miesięcy przed przyjazdem swoim rekomendowano podsekretarzowi spraw zagranicznych Charles Culling Smithowi, jako osobę, mogącą ułatwić porozumienie z Petersburgiem. Skoro więc 30 lipca minister spraw zagranicznych, brat Wellingtona, energiczny markiz Wellesley, otrzymał wiadomość, że Lubomirski już się w Londynie znajduje, postanowił wyzyskać obecność podróżnika, który, jak mu skąd inąd pisano, „może w przyszłości zająć wybitne stanowisko u rządu rosyjskiego,“ i zaprosił go tego samego dnia jeszcze do pałacu swego, do zwracającej i dziś uwagę rezydencji Wellingtonów, Apsley House, na godzinę drugą po południu, na dyplomatyczny lunch.<sup>1)</sup>

Nieznane są bliżej szczegóły owej konferencji; treść oświadczeń Lubomirskiego, złożonych ministrowi angielskiemu, niewątpliwie polegała na deklaracji, że Aleksander gotów zerwać z Napoleonem i odnowić stosunki z Anglią, żąda jednak energicznej i wydatnej pomocy w subsydyach, broni i amunicyi, a przede wszystkim interwencji dyplomatycznej w wojnie z Turcyą, której, pomimo znacznych nawet sukcesów wojsk rosyjskich nad Du-

<sup>1)</sup> James Robertson, lekarz, Dorchester, Oxfordshire 25 lutego 1811 do C. C. Smith'a. „I can assure you a direct communication with the Court of Petersburg. The channel is that of a Polish Noblemen, the intimate of Alexander, of his own years, brave, loyal and Anti-Gallican, a man of influence of princely fortune and family. When wounded at Aspern he was attended daily by me and we contracted the strangest intimacy“ (F. O. Russia 76). „Memoirs of the Court of England during the Regency 1811-20 by the Duke of Buckingham and Chandos. London 1856, pp. 122. It is a remarkable circumstance that the person pitched-upon by Alexander, to be the medium through which in future, all disension are to take place, is the very person most eligible for us, and the most acceptable to lord Wellesley, whence the sagacity and good faith of that potentate are infered.“ W Londynie stanął ks. Lubomirski na Strand w hotelu przy Cecil Street. Samuel Thornton do C. C. Smitha, St. James Square, 30 July 1811; Wellesley do Lubomirskiego, Apsley House, July 30, 1811; Lubomirski do Wellesley'a. 7 Cecil Str. Strand, 20 July (F. O. Russia).

najem, nie można było pomyślnie ukończyć, a która w razie wybuchu wojny z Francją stanowiłaby wprost groźną dywersję na rzecz Napoleona, pomijając już tę okoliczność, że absorbowiała i odciągała od głównego teatru wojny znaczne siły rosyjskie.<sup>1)</sup> Do tych punktów esencyonalnych dochodziły być może propozycje poruszenia przy pomocy floty angielskiej ludów słowiańskich na półwyspie bałkańskim przeciw Austrii i Francji, takie właśnie bowiem plany podnoszone były z początkiem roku następnego i poruszone nawet w ostatecznych rokowaniach pokojowych z Anglią.<sup>2)</sup> Pozatem przełożenia ks. Lubomirskiego były natury informacyjnej, a miały przedewszystkiem usunąć ów dotychczasowy, i to znaczny, brak zaufania gabinetu londyńskiego do Aleksandra i przekonać go o potędze i zasobach, jakimi rozporządza Rosya do walki z Napoleonem. W tym celu złożył ks. Kazimierz obszerny memoriał, pióra samego ministra wojny Barclay'a de Tolly, p. t. „Stan aktualny i realny cesarskiej armii rosyjskiej.“<sup>3)</sup>

Według pisma owego przedstawiała się armia rosyjska następująco: złożona była z gwardyi pieszej w sile 10,000, konnej 4,350, artyleryi gwardyi 1080 ludzi i 64 dział, piechoty liniowej w sile 438,000, konnicy regularnej 56,900, nieregularnej 62,000, obok artyleryi, oddziałów pionierów, pontonierów, saperów i minierów 31,700. Ogółem liczyła 462,160 ludzi, do której to cyfry dochodziło 80,000 rekruta, wyćwiczonego i umundurowanego, a jeśli dodać jeszcze jazdę lekką i wojsko nieregularne, całkowita siła zbrojna wynosiła 604,160. „Jeśli dziwnemby się wydało —

<sup>1)</sup> Jak znaczną wagę przywiązywano do pacyfikacyi z Turcyą, dowodzi współczesny memoriał rosyjskiego ministra wojny Barclaya de Tolly, p. t. „Plan d'opérations“, w którym dowodził, że pacyfikacya z Turcyą jest tak nieodzowną, „iż nie należy cofnąć się nawet przed wyrzeczeniem się Mołdawii i Wołoszczyzny,“ gdyż „Rosya ma stawiać opór nieprzyjacielowi o wiele groźniejszemu i potężniejszemu, a może narazić się na to, że będzie wypchniętą z szeregu mocarstw europejskich i ograniczona do azyatyckich posiadłości.“ *Otieczestwiennaja wojna 1812 goda*, Otd. I, t. VIII, 228.

<sup>2)</sup> Martens, *Recueil des traités*, XI, l'Angleterre (St. Petersburg 1895), 159 sq.; *Mémoires de l'Amiral P. Tchitchagoff*, 404 sq.

<sup>3)</sup> *Secret Communication from P-ce Lubomirski*, 17 August. 1811. *Etat Actuel et Réel de l'Armée Imp-le Russe, pour l'année 1811* (F. O. Russia, 76); że autorem był Barclay de Tolly wynika z *Memoirs of the Court of England etc.* by the Duke of Buckingham and Chandos, 122: „It is from a paper drawn up by Barclay de Tolly, and transmitted to us through Prince Luberski“ (sic!).

piisał minister wojny w uwagach, dołączonych do powyższego cyfrowego zestawienia — dlaczego pomimo sił liczebnie tak znacznych cesarstwo rosyjskie, zagrożone we własnych granicach w r. 1806, z trudnością wystawiło przeciw Bonapartemu 30,000 żołnierza, to należy wziąć na uwagę „wielkie wady armii rosyjskiej, z których powodu stan wojska na papierze znacznie odbiegał od efektywnego“, błędy w administracji, braki w zaopatrzeniu w broń i amunicję, a wreszcie niezmierną rozległość państwa. Wszystkie te jednak ujemne strony pochodziły z „niedostatecznego wyzyskania środków, a nie z zupełnego ich braku, cesarzowi zaś nie zbywało na dobrej woli, aby te wady poprawić lub z gruntu wykorzenić.“

Pierwszym przedmiotem, którym się zajął, było zcentralizowanie spraw wojskowych przez utworzenie ministerjum wojny, „zaopatrzonego we wszelkie atrybuty i spełniającego wszystkie funkcje, jakie ten departament posiada we Francyi. Dotychczas ministerjum tego nie było; każda gałąź służby i zarządu wojskowości miała osobne biura i osobnych szefów, zupełnie od siebie niezależnych i nawzajem nie uzupełniających się w pracy. Stąd łatwo pojąć, jakie to bujanie (flottement) istniało przy takim kierownictwie spraw wojskowych, jaka powolność, niezgodna z duchem wojskowości, jaki brak kompletu i jedności w różnych działach służby, bo w opłakany sposób rozluźniało dyscyplinę i subordynację wojskową.“ Braki te usunięto przez oddanie wszystkich spraw wojskowych jednemu ministrowi; ministerjum wojny rozpada się na szereg departamentów, każdy mający osobnego szefa, „który pracuje wspólnie z ministrem, ten znów z cesarzem.“

Dalszą ważną reformą było urządzenie zakładów rekruckich (depôts). Dotychczas kompletowanie pułków w czasie wojny odbywało się tym sposobem, „że posyłano potrzebną liczbę ludzi, którzy, nieumundurowani i nieuzbrojeni, szli prosto z wozu na pole bitwy. Tak pułk miał cyfrę, ale nie posiadał prawdziwych żołnierzy.“

Ponadto rekruci, „przechodząc do służby wojskowej z zupełnie odmiennego od niej trybu życia, zmuszeni niekiedy kilka tysięcy wiorst przemaszerować, ażeby dostać się do pułków, do których ich wysyłano, gdy przypadkowo znajdowały się one w pochodzie—bywali odsyłani w znacznej części do szpitali, gdzie ginęli z braku starań. Z tego powodu utworzono zakłady, w których rekruci powoli przyzwyczajają się do służby wojskowej, a gdy się ich nieco zaprawi i wyekwipuje, wysyła się ich do puł-

ków. Obecnie posiada armia rosyjska 20,000 unundurowanego i wyćwiczonego rekruta.“

Stan zdrowia armii podniósł się znacznie, dzięki wzorowym szpitalom w Petersburgu i Kronsztadzie, które pozostają pod dozorem samego cesarza, a szpital w Odesie pod kierownictwem ks. Richelieu. „Komisaryat prowiantowy uległ znacznym zmianom, a chociaż nie jest jeszcze doskonały, armia nie jest już narażona na brak zaopatrzenia w żywność. Cesarz jest okradany, ale ma przynajmniej wielkie magazyny.“ Urządzono liczne fabryki broni i prochu, „arsenał petersburski ma na składzie broń dla 60 batalionów, moskiewski napełnia się. Te dwa arsenały, dotychczas jedyne w Rosyi, będą tylko arsenałami rezerwowymi i zaopatrywać będą w broń arsenały pierwszej linii, w Rydze, Bobrujsku i Kijowie.“ Pomimo to brak jeszcze karabinów i sukna dla armii.

W dalszym ciągu wspomniane były reformy, których również na wzór francuski w armii rosyjskiej dokonano, jak uproszczenie regulaminu ćwiczeń dla piechoty, przez usunięcie przesadnych manewrów i obrotów bronią, wprowadzenie ruchów przy pomocy przewodników (guides) i kadrami, wskutek czego „nie manewruje się po omacku, wreszcie podzielono piechotę i kawalerję na zupełnie oddzielne dywizye, aby „za pomocą poruszenia mas kawaleryi módz decydująco wpływać na obrót bitwy.“ Do tych reform, już wykonanych, dodać należy zmiany dotychczas projektowane tylko, jak zamiana rekruckich zakładów na czwarty batalion przy pułku, ponowne zaopatrzenie kirasyerów w broń odporną (armes defensives) i pomnożenie tych pułków, a wreszcie utworzenie na sposób francuski sztabu generalnego.

W ostatniej części owego memoryału przedstawionem było jeszcze, jakie siły mogłaby Rosya wystawić do walki z Napoleonem na granicy polskiej, jako przyszłej linii operacyjnej. Odliczywszy wojska przeznaczone na obronę Finlandyi, w sile 38,000, „których niepodobna zmniejszać, choćby w przypuszczeniu najbardziej pokojowych intencji Szwecyi,“ korpusu na granicy perskiej, liczącego 40,000 regularnego żołnierza i 15—20,000 kozaków, zbyt oddalonego, ażeby na czas mógł zdążyć na plac boju, wreszcie pułków, służących do odpierania napadów Czerkiesów na Krymie i nad Kubaniem, w sile 10,000, nakoniec 10 batalionów garnizonowych i 20,000 pułków polnych, „zajętych strażeniem wnętrza cesarstwa i granic Syberyi od Kirgizów, Baszkirów i państwa chińskiego,“ uwzględnwszy natomiast armię mołdawską, pozostaje 240,000 regularnego żołnierza z 800 działami na

granicy Księstwa Warszawskiego od Rygi i Niemna na prawem skrzydle, po Kamieniec na lewem. „Pułki najbardziej oddalone mają 20 marszów do granicy. Tę armię, złożoną z najlepszych pułków, wspiera korpus rezerwowy 50,000, obejmujący korpus gwardyi, wszystkie grenadyerów i kirasyerów z 300 armatami, korpus w całym tego słowa znaczeniu wyborowy.“ Do uzupełnienia tej siły zbrojnej brak jedynie korpusu mołdawskiego. Pominąwszy to, „że pomnożyłyby siły do walki z Bonapartem, o ileby powrócił na terytoryum rosyjskie, ubezpieczając tym sposobem lewe skrzydło wielkiej armii, nie byłby narażony na zupełne odcięcie i zniszczenie w razie klęski, któraby zmusiła do cofnięcia się armię główną. Bonaparte bowiem mógłby w tym wypadku wysunąć korpus prawego skrzydła, znajdującego się z chwilą podjęcia przez niego ofenzywy przeciw Rosyi—a znana jest rzecz, jak spieszenie ją podejmuje—w okolicach Zamościa, niedaleko Bugu, w odległości 15 marszów od linii operacyjnej armii rosyjskiej w Mołdawii.“

Korpus ten, liczący 50,000 regularnej piechoty i 18,000 kozaków, który, jak sam minister wojny przyznawał, znajduje się w opłakanym stanie, gdyż „nie może znaleźć w kraju, w którym walczy, żywności na ośm dni, a wskutek złego klimatu, pułki mają połowę żołnierzy w szpitalach, mógłby przecież w 3 miesiące po powrocie doprowadzonym być do siły 50,000.“ To tak ważne złączenie armii mołdawskiej z główną mogłoby nastąpić na wypadek rychłej pacyfikacyi z Turcyą, minister wojny zatem położył na tym punkcie w memoryale owym unyślnie nacisk, żeby zaznaczyć jak pożądaną jest interwencya angielska w Konstantynopolu.

Memoryał ten, złożony przez Lubomirskiego ministrowi angielskiemu, był z kolei prezentowany ks. York, byłemu głównemu komenderującemu armią angielską, który zmuszony był złożyć ten urząd, z powodu wyszłych na jaw skandalicznych nadużyć. Oryginał został następnie zwrócony Lubomirskiemu.<sup>1)</sup> Niezależnie od ustnej, nieznaney nam odpowiedzi, jakiej mu udzielono, wysłano wprost do Petersburga, przez posła hiszpańskiego

<sup>1)</sup> Metresa ks. York, mrs. Clarke, prowadziła formalny handel patentami i awansami oficerskimi.

Na kopii memoryału Barclay'a de Tolly dopisek: „Communicated to Col-l. Bunbury, a copy sent to the Duke of York. The original has been returned to the Prince, August 17, with a note of thanks.“

od Junty Don Francisco de Zea Bermudez, notę oficjalną z dnia 18 sierpnia 1811 r., poczynającą się od sakramentalnych słów: „Podpisany główny sekretarz stanu spraw zagranicznych, otrzymał rozkazy J. Król. Wysokości Ks. Regenta, działającego w imieniu i w zastępstwie J. Król. Mości“ etc., podpisaną przez Wellesleya.<sup>1)</sup> W nocie tej, nawiązując do objawionej przez Aleksandra sympatii i zainteresowania dla narodu hiszpańskiego i sukcesów sprzymierzonych na półwyspie, co z zadowoleniem przyjął do wiadomości rząd angielski, zaznaczał Wellesley, że ukontentowanie to było tem większe, gdy dowiedziano się, że cesarz postanowił „oprzeć się atakom Francyi na swoje państwo“, wyrażał przekonanie, iż „Rosya doświadczyła tego na sobie, że nie może liczyć na bezpieczeństwo i spokój, dopóki nie zapobiegnie się zbyt niemu rozpędowi Francyi.“ Jakkolwiek nieszczęśliwe okoliczności oddaliły Rosyę od wspólnej sprawy, „głębokie poczucie wzajemności interesów, stanowiące przez długi czas podstawę przyjaźni i przymierza między obu krajami, nie zostało nadwerężone,“ u rządu angielskiego, który też „przyjmie, jako najbardziej esencjonalną gwarancję przyjaźni, wszelki wysiłek podjęty przez cesarza dla obrony politycznej wolności i bezpieczeństwa swoich posiadłości, przeciw gwałtom i zdradliwym zamachom państwa francuskiego. Nie sądząc jednak, żeby to zgadzało się ze zdrową polityką zachęcać jakiejkolwiek państwo do kroków, nieodpowiadających jego interesom lub pozostających w dysproporcji do środków jego lub też przedwczesnych,“ gdy „ostatecznego sukcesu wobec takiej potęgi, jaką stworzyła Francya, spodziewać się można tylko wtedy, gdy inne państwa systematycznie trwać będą w przezornem stosowaniu swoich sił do celów istotnie korzystnych i które osiągnąć można, zwracając baczną uwagę na pomysłną porę i okoliczności,“ ks. regent, żywiąc takie przekonania, może przyklasnąć „ostrożności i roztropności, z jaką cesarz miał przygotować środki oporu przeciw Francyi, jak i temu, że cesarz, jak to sam oświadczył, odłożył rozpoczęcie kroków wojennych do chwili, którą uzna za najodpowiedniejszą, czy to, aby uprzedzić, czy tylko, aby oprzeć się planom nieprzyjaciela.“

Po owym ogólnym wstępie, interesującym wzorze stylu dyplomatycznego angielskiego urzędu spraw zagranicznych, minister omawiał z kolei wszystkie dezyderaty obecne Rosyi, jak mu były

<sup>1)</sup> Correct Draft of Note of 16-th August 1811 sent to Russia by M. Zea Bermudez (F. O. Russia, 77).

przedstawione przez Lubomirskiego. Ofiarowano więc chętnie interwencję dyplomatyczną w Konstantynopolu, dodając, że ks. regent z zadowoleniem przyjąłby do wiadomości, iż jest zamiarem cesarza „kierować się tą samą mądrą i wspianiałomyślną polityką względem Persyi, gdy zawarcie pokoju z Persyą wydaje się być pożytecznem dla interesów rosyjskich w obecnym stanie wojny,“ a Anglia gotowa jest wpływem swoim takie usiłowania pacyfikacyjne poprzeć.<sup>1)</sup>

Z zadowoleniem również przyjęto do wiadomości „pomyślnie usiłowanie cesarza dla utrzymania dobrego porozumienia i zgody z dworem austriackim i pruskim,“ a ks. regent pragnie udzielić i w tym kierunku poparcia, o ile to leży w jego mocy. Co się tyczy jednak bezpośredniej pomocy, jakiej Rosya spodziewały się mogła od Anglii, „interesy reszty Europy, a szczególnie Rosyi, najskuteczniej mogą być poparte przez energiczne prowadzenie wojny na półwyspie“; ks. regent spodziewa się zatem, iż cesarz uzna, „że kontynuowanie wysiłków W. Brytanii na półwyspie jest najskuteczniejszą pomocą, jakiej kraj ten może udzielić, by wesprzeć słuszne dążenie Rosyi i współdziałać z jej usiłowaniami do odzyskania niezawisłości.“

Dotknięty był nakoniec punkt najważniejszy, sprawa blokady, o której z nieukrywaną goryczą pisał minister angielski, że jest to „surowy ucisk tego prohibicyjnego systemu, który nałożyła Francya z nieubłaganą mocą na porty kontynentu europejskiego, na przekór kardynalnym zasadom prawa narodów, ku utrapieniu handlu na całym świecie.“ Owóz „dopóki ciężar tego niesłusznego i rujnującego systemu pozostanie niezminiejszony, J. C. Mość musi zrozumieć, że niepodobna W. Brytanii udzielić jakiegokolwiek, choćby nawet pośrednim sposobem, poparcia Ro-

<sup>1)</sup> Czy, obok innych postulatów, żądano istotnie ze strony rosyjskiej interwencji angielskiej w Persyi, podobnie jak wobec Turcyi, niewiadomo. Zdaje się, że do pacyfikacyi z Persyą nie przywiązywano większej wagi, i nie brano jej zgola w rachubę. Przeciż Barclay de Tolly w wyżej wspomnianym memoryale korpusu zajętego w Persyi, jako zbyt oddalonego od przyszłego teatru wojny z Napoleonem, nie brał wogóle pod uwagę. Uwzględniwszy natomiast trwałą rywalizacyę angielsko-rosyjską w Persyi, w poprzednich i późniejszych jej fazach, okoliczność tę, jak ważnem było dla Anglii wstrzymanie postępów Rosyi w Persyi i utrzymanie niezawisłości tego państwa, jako jedynej osłony przed atakiem rosyjskim na Indye, wypadnie nabyć tego przekonania, że niniejsze oferty pacyfikacyjne były przedewszystkiem „interesom angielskim pożyteczne.“

syi lub innemu mocarstwu, któreby stosowało się do handlowego kodeksu nieprzyjaciela.“ Przeto „ks. Regent przyjąłby z najprzejazniejszemi uczuciami od cesarza Rosyi jakąś propozycyę względem złagodzenia tych szkodliwych zakazów i uważałby krok tego rodzaju ze strony cesarza rosyjskiego za najlepszy fundament ściślejszego węzła przyjaźni i aliansu.“

Lubomirski zabawił jeszcze około dwóch miesięcy w Anglii. Prowadził w tym czasie pertraktacyę z Admiralicją w sprawie dostawy budulcu dla floty angielskiej z własnych dóbr, które nie doszły jednak do skutku, z powodu istniejącego już wyraźnego zakazu lordów Admiralicji sprowadzania jakichkolwiek materiałów okrętowych z krain, znajdujących się w pobliżu morza Czarnego.<sup>1)</sup> Dnia 8 października, mając już niebawem wybrać się z powrotem do Petersburga, był na pożegnalnej audyencyi u ks. regenta, który, według świadectwa pamiętnikarza dworu i gabinetu regencyi, oświadczył ukontentowanie swe z powodu misyi księcia, wyrażając zarazem nadzieję, „że niebawem powróci w charakterze takim, któryby umożliwił obdarzyć go oficjalnymi dowodami łaski i względów“<sup>2)</sup>. Opuściwszy Londyn, przybył do miasta portowego Harwich, gdzie jednak zmuszony został zatrzymać się i nie mógł puścić się w dalszą drogę. Statek „Lady Frances,“ na który miał wsiąść, zatrzymany został przez celników angielskich z powodu przemyconej i ukrytej na okręcie przez załogę herbaty. Lubomirski, któremu oczywiście zależało na pośpiechu, zresztą żegluga na wodach bałtyckich ze zbliżaniem się zimy staje się niebezpieczną, wdał się osobiście w tę sprawę, wstawił się u Wellesleya i uzyskawszy uwolnienie statku, podążył spiesznie do Szwecyi, do Gothenburga.<sup>3)</sup> Stamtąd udał się do Stockholmu, mając być może jakieś nieznane bliżej zlecenie do Bernadotte'a, następnie ruszył wprost do Petersburga. W tym jednak przejeździe, podobnie jak i poprzednim razem, gdy jechał do Londynu,

<sup>1)</sup> Korespondencya w tej sprawie: J. W. Croker to C. C. Smith, Admiralty, Aug. 31, 1811; Thompson to J. W. Croker, Navy Office, Aug. 29, 1811; Lubomirski do C. C. Smith'a, 2 Octobre 1811; Thompson to C. C. Smith, Navy Office, October 4, 1811 (F. O. Russia, 76).

<sup>2)</sup> *Memoirs of the Court of England during the Regency, by the Duke of Buckingham and Chandos*, 196.

<sup>3)</sup> Lubomirski do Wellesleya, Harwich 17 October 1811, z dopiskiem Wellesleya: „requested facility granted.“ Z Gothenburga pisał jeszcze Lubomirski do C. C. Smitha, 25 Oct. 1811, prosząc o urlop 3 miesięczny dla niejakiego Hamiltona, kapitana statku pocztowego „Lord Duncan“ (F. O. Russia, 76).



nie zdołał uniknąć czujności konsula francuskiego w Gothenburgu, który też natychmiast doniósł o tej podejrzanej, spieszonej podróży do Londynu, Davoutowi do Hamburga, a ten przesłał z kolei ową wiadomość Napoleonowi<sup>1)</sup>

Tymczasem pomiędzy Francją a Rosją dochodziło do zupełnego niemal zerwania. Z Paryża dochodziły alarmujące wiadomości o olbrzymich przygotowaniach francuskich, z którymi już się zupełnie nie ukrywano, a wreszcie nadeszła wieść o gwałtownej scenie, jaka zaszła między Napoleonem a ambasadorem rosyjskim w Paryżu, Kurakinem, na uroczystej audyencji dnia 15 sierpnia. Wówczas to przybył do Petersburga ów emisaryusz Junty Don Francisco de Zea Bermudez, który później na stanowisku premiera za Ferdynanda VII i Chrystyny zasłynął jako przedstawiciel reakcyi i absolutyzmu w Hiszpanii, a wróg Don Carlosa i partyi liberalnej, „dobry, zacny nudziarz“—według charakterystyki Palmerstona.<sup>2)</sup> Stanąwszy w Petersburgu około 20 września, wręczył wraz z papierami od Junty ową notę angielską senatorowi Koszelewowi, pólurzędowemu kierownikowi polityki zagranicznej rosyjskiej, zwłaszcza w sprawach takich, które z powodu delikatnej swej natury prowadzone być miały poza plecami kancle-rza. Wbrew oczekiwaniu hiszpańskiego posła, pisma te, jak i 3 nowe jego noty, nie mogły się doczekać żadnej odpowiedzi przez cały październik i połowę listopada. Przyczyna owej zwłoki wydaje się być następująca. Niemal równocześnie przybył do Petersburga sekretarz ambasady rosyjskiej w Paryżu, Nesselrode i zdołał nakłonić Aleksandra, ażeby jemu z kolei powierzył ostatnią misję pojednawczą do Napoleona. Rumiancew, chociaż w zasadzie życzył sobie pokojowego załatwienia zatargu, oparł się przeciw stanowczo tej nowej próbie, gdyż widział w Nesselrodem niebezpiecznego rywala, a Aleksander zbytnio nie nalegał. Pomimo to utrzymywano w nadziei rychłego wyekspedowania Nesselrodego do Paryża nowego ambasadora francuskiego w Petersburgu Lauristona i nic dziwnego, że wstrzymano się od wszelkich rokowań z hiszpańskim posłem, które, choćby w największym sekrecie prowadzone, mogły dojść do wiadomości Lauristona. Dopiero pod koniec listopada otrzymał Bermudez z ust Koszelewa,

<sup>1)</sup> Davout do Napoleona, Hamburg, 27 novembre 1811, *Otieczestwien-na Wojna 1812 g.*, otd. II, t. I, 179.

<sup>2)</sup> „Good and worthy bore“ *The life of Visct Palmerston, by sir H. Lytton Bulwer* (Tauchnitz Edition. Leipzig, 1873) II, 130.

a w imieniu Aleksandra, zapewnienie, że „cesarz postanowił nie cofać wojsk swoich z granicy polskiej i nie wątpi, że Hiszpania i Anglia uważać będą mogły krok ten za największy dowód zainteresowania dla sprawy hiszpańskiej.“<sup>1)</sup>

Tymczasem stanął w Petersburgu sam Lubomirski. Ukazanie się jego dość ostentacyjne, napełniło Rumiancewa, który niewątpliwie o misyi księcia musiał już się dowiedzieć, głębokiem niezadowoleniem, gdyż mógł w nim widzieć zwiastuna zupełnego zwrotu w polityce, a zarazem własny upadek, a bodaj czy nie upatrywał następcę Czartoryskiego. Zawezwął go więc natychmiast do siebie i zażądał, by złożył mu wszystko, co przywiózł ze sobą. Księżę temu żądaniu odmówił, wówczas kanclerz, doprowadzony do ostateczności, rzekł gniewnie: „Będziemy zatem mieć pokój z Turkami, ja umyvam od tego ręce, gdyż on przyniesie wojnę z Francją.“ W kilka dni po owej burzliwej audyencyi udało się Lubomirskiemu uzyskać posłuchanie u Aleksandra. Był u cesarza na obiedzie, poczem, przeszedłszy do gabinetu prywatnego cesarskiego, zdał w cztery oczy Aleksandrowi sprawę ze swej misyi. Nieznane są bliżej szczegóły owej konferencyi poufnej, nie dotarły one do uszu tajnych agentów angielskich w Petersburgu, którzy nic innego nie umieli donieść do Londynu ponadto, że Aleksander udzielił Lubomirskiemu odpowiedzi, podobnej do tej, jaką dano posłowi hiszpańskiemu. Na tem zakończyła się rola Lubomirskiego, jako pośrednika pomiędzy Rosją a Anglią.<sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> Précis of the negotiation of Don Francisco de Zea Bermudez, the Spanish Plenipotentiary at St. Petersburg (F. O. Russia, 77).

<sup>2)</sup> Tajne relacye pułkownika portugalskiego, tajnego agenta i szpiega angielskiego w Petersburgu, Guedes'a: St. Petersburg, 27 (15) novembre 1811. „Lubomirski... s'est trop ostensiblement prononcé en arrivant ici.“ St. Petersburg, 27 (15) novembre 1811. „J'ai lieu d'avoir pour positif que le moment de son arrivée, il (Lub.) fut mandé par R(omanzoff) chez lui et interrogé et requis de lui délivrer tout ce dont il serait porteur; cette leçon on assure il soutint avec dignité, et l'on assure encore (chose à peine croyable) qu'à la fin de cette scène R(omanzoff) lui dit: „Nous allons avoir la paix avec les Turcs,“ ajoutant „je m'en lave les mains, car elle nous donnera la guerre avec la France“ (F. O. Russia, 77).

Po powrocie swoim przystąpił Lubomirski znowu do robót komitetu polskiego i wygotował projekt organizacyi armii polskiej w 8 guberniach polskich pod berłem rosyjskiem, które miały być punktem wyjścia do dalszych obszerniejszych planów restauracyjnych (Ogiński do Aleksandra, St. Petersburg, 2 décembre 1811, załączając memoriał Lubomirskiego. Otieczestwien-naja wojna 1812 g., otd. I, t. VIII, 16 sq.).

Zupełne zbliżenie obu mocarstw, pomimo pomostu, rzuconego przez misję Lubomirskiego i wobec nieuniknionej już wojny z Napoleonem, nierychło jeszcze doszło do skutku. Zimą 1811 r. w Stockholmie za pośrednictwem szwedzkim zaczęły się rokowania pomiędzy posłem rosyjskim Nicolayem a angielskim Thorn-tonem, które utknęły, gdy rząd angielski odmówił przyjęcia na siebie pożyczki rosyjskiej w Holandyi, wynoszącej 4,000,000 funtów szterlingów, a obie strony nadto nie mogły dojść do porozumienia w sprawach handlowych, z powodu nowej taryfy celnej, wprowadzonej w Rosyi, wielce niekorzystnej dla Anglii. Dopiero 18 lipca, w trzy tygodnie zatem po rozpoczęciu kroków wojennych przez Napoleona, stanął w najogólniejszej formie zredagowany traktat przymierza pomiędzy Anglią a Rosyą i Szwecyą, związek przyszej, zwycięskiej tym razem koalicyi.

DR. EUGENIUSZ WAWRZKOWICZ.

# SATYRA

## na łamach „Monitora“ Bohomolcowego.

Zjawienie się „Monitora“ przypada już na zbliżający się jasny świt naszej literatury. Jest to niejako chwila przelomowa pomiędzy mrokiem czasów saskich a światłym wiekiem Stanisława Augusta. Już zaczynają się ukazywać te młode talenta, zapowiadające nową erę piśmiennictwa naszego. Jest to początek wieku oświecenia w Polsce. Nanowo nauka, sztuka, filozofia, znajdują swoich wielbicieli — swoich uczonych, filozofów, poetów, pisarzy. Na czele ruchu umysłowego stanie sam król... Reforma rozpocznie się na każdym polu—zarówno w życiu, w polityce, jak i w nauce i sztuce. Nastanie nowy, lepszy po strasznem zepsuciu smaku—okres, który da podwaliny nowemu życiu narodowemu, który odtańd zapanuje w drugiej połowie XVIII w., sięgnie i wywrze wpływ na wiek XIX. Śmiało można powiedzieć, że okres ten, biorący swój początek w drugiej połowie XVIII wieku, zwykle łączony z pierwszym wystąpieniem Konarskiego, przetrwał po dziś dzień z hasłem i celem swoim, którym było niesienie nowego światła.

Na każdym polu wiek Stanisława Augusta zostawił po sobie niezatartą pamięć, na polu czasopiśmiennictwa nie pozostał też w tyle od innych narodów.

Początkowo istnienie czasopism moralnych i literackich o podobnym mniej więcej zakresie, jak „Monitor“, było bardzo krótkie i nietrwałe. Mianowicie w obcych językach wydawane były przez Mitzlera de Kolof i Krystyana Bogumiła Friese'go: „Warschauer Bibliothek“, 1753—1765; „Acta litteraria“, 1755—1756; „Journal litteraire de Pologne“, 1754; oraz z polskich: „Nowe wiadomości

ekonomiczne i uczone,“ 1758; „Wiadomości literackie,“ 1760—1763 w Wilnie <sup>1)</sup>; „Magazyn wszystkich nauk, do szczęśliwego życia ludzkiego potrzebnych,“ 1758; „Patryota polski,“ 1761 <sup>2)</sup> oraz ów dawny „Monitor“ z r. 1763, którego ukazały się tylko cztery numery, a jak to wykazał Koppens <sup>3)</sup>, wyrażał jedynie plany reformacyjne partyi Czartoryskich i jej stronników. Ze śmiercią Augusta III zarówno więc owe plany upadły, jak i pismo, które je wyrażało.

Rok 1765 przynosi z sobą ukazanie się nowego czasopisma. Był niem „Monitor“ jezuita Franciszka Bohomolca. Pierwszy numer wyszedł dnia 21 marca 1765 r., aby odtąd przez lat dwadzieścia, do r. 1784 włącznie, wiernie służyć zajętemu stanowisku: „Osiągnąć zechcę w biegu pisma tego nie tylko co polepszenia się Rządów i natury onych tykać może, ale cokolwiek czerpając w źródłach moralności, nauk, obyczajności, *rozum wesełąc*, oświecać i umysłem do rozszerzenia się pole dać może, zaczęcia pochwałę mieć będę, wiem, że do wydoskonalenia tej myśli, veniet nie jeden po mnie melior me“ („Monitor“, 1765, nr. 1).

Na razie jednak „Monitor“ mógł być pewnym, że nie znajdzie współzawodnika, że ci, którzy przyjdą po nim, jak się wyrażał „melior me,“ i oni z uszanowaniem za zasługi jego pochyłą głowę w hołdzie uznania.

Naczelnym redaktorem nowego pisma był, jak wspomniałem, ks. jezuita Franciszek Bohomolec. Działalność jego, jako krzewiciela oświaty, ogólnie dzielią na dwa okresy: jeden, od r. 1751—1764, ogranicza się na przejęciu wzorami Konarskiego <sup>4)</sup> i drugi, przypadający od r. 1764—1784, to jest do śmierci, w którym już staje się więcej samoistnym, produkcyjnym, idzie o własnych zasobach umysłowych i na własnej drodze. Ten drugi okres przypada właśnie na czas redagowania „Monitora.“ Pomoc wielką w wydawaniu czasopisma znalazł Bohomolec w wykształconym i pełnym zapału cudzoziemcu, Mitzlerze de Kolof (um. w r. 1778). W drukarni tegoż odbijane były pojedyncze numery „Monitora.“ Z początku do nr. 7-go 1765 r. wychodził „Monitor“ raz na tydzień, potem dwa razy na tydzień do końca swego istnienia.

<sup>1)</sup> „Przewrót umysłowy w Polsce XVIII w.“ Smoleński. Kraków, 1891.

<sup>2)</sup> M. Kawczyński: „Moralische Zeitschriften,“ Lipsk, 1880.

<sup>3)</sup> Ze studyów nad znaczeniem czasopisma „Monitor.“ (Sprawozd. prywatnego gimnaz. O.O. jezuitów w Bękociach pod Chyrowem r. 1844 i 1845).

<sup>4)</sup> Biegeleisen Henryk: „Żywot ks. Franciszka Bohomolca“ (Album uczącej się młodzieży, poświęcone J. I. Kraszewskiemu). Lwów, 1879.

Prócz wydawcy, do redakcyi należało jeszcze czterech innych, jak objaśnia nas „*Monitor*,” 1765, nr. 2,—wspólnicy ci są: „Neokles, Filander, Imć p. cześniak Ochotnicki i pewna „duchowna osoba.“ Kto się ukrywa pod postaciami Neoklesa, Filandra etc., mimo, że „*Monitor*“ podaje krótką charakterystykę każdego z nich, trudno rozstrzygnąć, tak samo, jak trudno dociec, kto jest autorem tych wszystkich artykułów, umieszczanych w „*Monitorze*,” gdyż wszystkie są bez podpisu. Wiedząc jednak o tem, że „*Monitor*“ był organem uczestników obiadów czwartkowych, pozatem już z treści choćby jednego rocznika łatwo odgadnąć, kogo miał za współpracowników w tej pracy na polu reformy, szerzenia oświaty, szczenia nowych pojęć, ganienia obyczajów i starania się o poprawę własnego społeczeństwa. Współpracownikami „*Monitora*“ byli więc prawdopodobnie ci wszyscy, którym dobro narodu leżało na sercu, którzy dążyli do szerzenia nowego światła, którzy pragnęli wady wykorzenić i obyczaje zmienić, byli to stronnicy króla i rodziny, zwolennicy filozofii francuskiej, których imiona zajaśniały później sławą pisarską. Ci ludzie grupowali się koło „*Monitora*.“ Drukując pierwsze płody talentu swego na łamach tego pisma, wyrabiali swe pióra, aby później rozwinąć na szerszą skalę w utworach swoich talenta i zdolności. Można bez wahania powiedzieć, że cała grupa ludzi, występujących na arenę życia społecznego, naukowego i literackiego, na której czele stał sam Stanisław August, zasilana artykułami swymi „*Monitor*.“ Kto z nich był autorem tego lub owego artykułu, jest rzeczą mniej ważną, imiona jednak kilku współpracowników są nam znane, a nawet niektóre utwory ich pióra; a więc pierwszym, jak wspomniałem, jako redaktor, jest ks. Franciszek Bohomolec. Z innych Ignacy Krasicki, autor całego rocznika z r. 1772<sup>1)</sup>, mówi o tem Dmochowski<sup>2)</sup> oraz Minasowicz własnoręcznymi dopiskami w rocznikach „*Monitora*“ z lat 1765, 1768, 1772, 1773, 1776, znajdujących się w bibliotece Ordynacyi Krasińskich w Warszawie, to stwierdza. Dopiski te odsłaniają autorów wielu artykułów w „*Monitorze*“<sup>3)</sup>. I tak, Minasowicz wymienia, prócz siebie, Krasickiego, jak wyżej wspominałem, Bohomolca, Albertrandego, Józefa Koblańskiego, Załuskie-

<sup>1)</sup> Igu. Chrzanowski: „Z dziejów satyry.“ Warszawa, 1909.

<sup>2)</sup> „Pisma rozmaite.“ Fr. Ks. Dmochowski. Warszawa, 1826, cz. II.

<sup>3)</sup> Tow. naukowe i literackie w Polsce XVIII w. „*Ateneum*,” tom III, str. 109 — 151.

go, Gabryela Kasprowicza i wielu innych dziś mniej znanych lub zgoła nieznanych autorów.

Do tych współpracowników przybywa jeszcze jeden, t. j. ks. Gracyan Piotrowski—jak wykazał to prof. Chrzanowski.<sup>1)</sup> A więc, jak widzimy, cała ówczesna elita literacka zasilala swymi płodami „Monitora.“

„Pisarze bowiem drugiej połowy tego stulecia — mówi prof. Chrzanowski („Z dziejów satyry“) — nie błakali się samopas, jak to było w wieku XVIII, w czasach saskich, lecz zwartą ławą kroczyli ku jasno i wyraźnie wytkniętemu celowi; wypowiedzieli walkę z jednej strony sarnatyzmowi, a z drugiej, krzewiącemu się zepsuciu moralnemu stolicy. ...W „Monitorze“ skupiła się niejako ta walka...“

Wogóle na wiek XVIII przypada rozkwit czasopiśmiennictwa. Jedno z wybitnych miejsc zajmują czasopisma moralne. Wydawnictwo czasopism moralnych zainicjowała naprzód Anglia, za jej przykładem poszły i inne kraje. Powodzenie tych tygodników moralnych, jakiem się cieszyły wszędzie, łatwo objaśnić tem, że wśród publiczności rodził się głód romansu lub powieści obyczajowej, w którejby w żywych, naturalnych barwach przedstawione były obyczaje i życie społeczeństwa.

To, co tak czytelników „Monitora“ jak i innych czasopism satyrycznych najbardziej jednało i zachwycało, to właśnie ta galeria cała typów, prawdziwych, z ich wadami i przywarami; często nawet zapewne nie doszukiwano się morału, tkwiącego w satyrze, cieszono się jednak historyjami prawdziwemi, wziętymi z życia. Powodzenie „Monitora“ wśród społeczeństwa polskiego polega z jednej strony na talencie tych, którzy go redagowali i pisali, z drugiej jednak, na poszukiwaniu lektury, zastępującej powieść lub romans obyczajowy, którego Polska w połowie XVIII wieku jeszcze nie miała. To samo było w Anglii, Niemczech, Danii i Rosyi. Jedynie we Francyi, gdzie już w XVII w. były powieści, tygodnik moralny „Le Spectateur français,“ będący naśladowaniem „Spectatora“ angielskiego — publiczność francuska przyjęła obojętnie i wkrótce przestał wychodzić. Gdzieindziej inaczej było. I tak, w Anglii, kolebce czasopiśmiennictwa moralnego, pierwsze tego rodzaju wydawnictwo p. t. „The Tatler,“ to znaczy „Gaduła,“ spotkało się z przychylnem przyjęciem ze strony publiczności angielskiej. Pierwszy numer ukazał się d. 12 kwiet-

<sup>1)</sup> Z dziejów satyry. Warszawa, 1909. „Gracyan Piotrowski i jego satyr.“

nia 1709 roku; założycielem tego czasopisma był Ryszard Steele. Steele oddawna występował, jako moralizujący—napisał kilka komedyi, wystawionych z wielkiem powodzeniem, podobnie jak nasz Bohomolec dzielący twórczość swoją mniej więcej w ten sam sposób.

Po dwuletniem istnieniu „Tatler“ został zamknięty, aby przemienić się w większe czasopismo p. t. „The Spectator“ t. j. „Dostrzegacz“ (wychodziło od 1 marca 1711 r. do 6 grudnia 1712 r. i od 18 czerwca 1714 r. do 20 grudnia 1714 r.). Redaktorem jego był znów R. Steele, a pomocnikiem i jednym z główniejszych współpracowników—Addison, piszący dotychczas wiersze łacińskie i angielskie; przerzuca się on odtąd na pole satyry, w której miał prześcignąć innych. Ponieważ zasilali „Spectatora“ najlepsi z pisarzy angielskich, stanął więc on na wysokości swego zadania <sup>1)</sup>. Treść moralna przeważnie wypełnia całe czasopismo, poruszane są tam różne kwestye życia społecznego w krótkich i satyrycznych rozprawkach, jako to; miłość i małżeństwo, sztukę wychowawczą, skromność, ambicyę, skąpstwo, dumę, zbytek w odzieży i pojazdach, niemoralność pojedynku, występna grę, kokieteryę, politykomanię, brak wiedzy etc.

Pytania polityczne rzadziej tu rozbrzmiewają, ciekawsze są poglądy estetyczne w formie rozprawek o istocie i początku fantazyi, o sztuce tragicznej, humorze i dowcipie, które uważać trzeba za owocodajne zarodki badań estetycznych Hume'a i Burke'go.<sup>2)</sup>

Ukazanie się następnie w Anglii romansu rodzinnego i obyczajowego uważa Hettner za bezpośrednie następstwo danych w czasopismach moralnych do tego pobudek — u nas z satyrycznych rozprawek „Monitora“ wylęła się satyra polska XVIII w.

Wracając jednak do „Spectatora“,<sup>3)</sup> znalazł on tak ogromne powodzenie w Anglii, że, jak mówi Hettner (tamże), „każdy ukształcony człowiek w Londynie uważał za rzecz nieodzownie potrzebną, żeby mu codziennie wraz z herbatą przynoszono najnowszy numer „Dostrzegacza“; na prowincyi w każde popołudnie niedzielne odczytywano numer z przeszłego tygodnia; a prócz tego zbierano pojedyncze numera i w pewnych odstępach czasu puszczano w obieg nanowo, jako tomy oddzielne.“

<sup>1)</sup> Hettner Herman: „Hist. liter. angielskiej 1660—1770 r.“ w tłumaczeniu P. Chmielowskiego i E. Grabowskiego.

<sup>2)</sup> Hettner. Tamże.

<sup>3)</sup> Wyd. Amsterdamskie 1754 r., tomów 8. Przy pisaniu tej pracy używałem tegoż wydanie pierwsze 6 tomów.



Nie dziw zatem, że wywołał szereg naśladownictw, nie tylko w Anglii, ale i w innych krajach. W Niemczech ukazuje się pismo satyryczne „Der Vernüfftler,” naśladujące „Spectatora,” we Francji — „Le Spectateur français,” w Polsce — „Monitor,” w Rosji — „Wsiakaja Wsiaczyna” i wiele innych.

W krótkim czasie doczekał się „Spectator” tłumaczeń na obce języki; tłumaczeniem francuskim p. t. „Le Spectateur ou le Socrate moderne où l'on voit un portrait naïf des moeurs de ce siècle,” posługiwali się współpracownicy „Monitora” i sam Bohomolec, gdyż jak powiada: „Nie mam wprawdzie szczęścia umieć po angielsku, a przeto tych tylko znam angielskich autorów, których pisma na francuski język są przełożone.” („Monitor” nr. 94, 1768 r.) <sup>1)</sup>

Tak samo autorowie „Wsiakoj Wsiaczyny,” czasopisma o zakroju moralnym, naśladującym „Spectatora,” posługiwali się tłumaczeniem francuskim <sup>2)</sup>. Na zależność „Monitora” od „Spectatora” już współcześni zwracali uwagę; i tak Czartoryski G. Z. P. w swoich „Myślach o pismach polskich” wyd. r. 1801 pod pseudonimem A. Dantiscus'a mówi: „Ukazało się najpierwej pismo peryodyczne p. t. „Monitor,” które niczem innem nie było, jak tylko naśladowaniem równego rodzaju pisma angielskiego „Spectator.” Pierwszy nawet numer, czyli wstęp i uwiadomienie o rozkładzie tego dzieła, co do słowa wyjęte jest z „Spectatora”...“ To samo Dmochowski („Pisma rozmaite,” Fr. Ks. Dmochowski, Warsz., 1826, cz. II): „Wychodziło podówczas pismo peryodyczne, p. t. „Monitor” na wzór „Spectatora” angielskiego, którego w znacznej części było tłumaczeniem” (cyt. Koppeus. Ze studyów nad znaczeniem czasopisma „Monitor”). Zresztą „Monitor” bynajmniej się z tem nie kryje, wspominając na łamach swego pisma często o tem (1768, nr. 38; 1771, nr. 63; 1772, nr. 1; 1768, nr. 2).

Zależność ta „Monitora” od „Spectatora” angielskiego przy czytaniu obydwóch tych czasopism rzuca się odrazu w oczy, np. w roczniku z r. 1772, którego autorem, według Minasowicza, jest Krasicki. Zależność tę wykazał prof. Chrzanowski.

Poza „Spectatorem,” który niezaprzeczenie wywarł wielki wpływ na „Monitora,” sądzę, że były jeszcze inne wpływy. Ja-

<sup>1)</sup> Zwrócił już na to uwagę prof. Chrzanowski. „Z dziejów satyry,” str. 151.

<sup>2)</sup> „Wsiakaja wsiaczyna” i „Spiektator.” Żurnal Min. Narod. Proświeśczenia. Styczeń 1892, str. 125—156. W. Solncew.

kie—trudno dziś dociec. Może ów wspomniany wyżej „Gaduła,” który również ukazał się w tłumaczeniu francuskim p. t. „Le babillard anglais“ 1747 r. i inne <sup>1)</sup>). Porównawszy satyry na łamach „Monitora“ z satyrą na łamach „Spectatora,” widzimy, że satyra w „Monitorze“ jest obfitsza, bogatsza w treść i większą odznacza się różnorodnością, być może dlatego, że więcej w społeczeństwie naszym wówczas po czasach saskich było stron ujemnych, niż w społeczeństwie angielskim, częściej też rozprawka moralna w „Spectatorze“ znajduje swój oddźwięk w „Monitorze,” jako satyra. Nasuwa się stąd wniosek i ten jeszcze, że „Monitor“ pod względem satyrycznym zasilał się w mniejszym stopniu ze „Spectatora,” niż to czynił przypuścimy w innych swoich numerach poświęconych zagadnieniom estetycznym, moralnym, naukowym, filozoficznym. Potwierdza mój wniosek i sam „Monitor“ z r. 1772 nr. 1, pióra Krasickiego: „W przeciągu pism „Monitora,” dzieła tego współtowarzysze zaszczytali go pracą swoją własną, często jednak czerpały się *źródła cudze. Między innemi* Spektator Angielski...“ A więc między innemi źródłami i „Spectator“ angielski.

W każdym razie, że największy wpływ na „Monitora“ wywarł „Spectator,” temu zaprzeczyć nie można. W jaki sposób przerabiali i czerpali z niego treść i formę do swoich satyr autorowie „Monitora,” w dalszym ciągu tej pracy postaram się uwydatnić.

\*

\*

\*

*Satyra na łamach „Monitora“* rozpada się na dwie wielkie grupy, jak i wogóle cała satyra, której przedstawicielami są: Naruszewicz, Krasicki, Piotrowski — i komedia Bohomolca, Zabłockiego, z których jedna wyszydza francuzczyznę, naleciałość obcą, powierzchowną, druga chłoszcze własne rodzime, dziedzicznie przekazane wady, wyrosłe na gruncie swojskim, ogólnie znane pod nazwą sarmatyzmu, nakoniec do tych dwóch grup możnaby załączyć i trzecią niewielką grupkę wad, które również chłoszcze

<sup>1)</sup> Maks Kawczyński: „Studien zur Literaturgeschichte des XVIII jahr. Moralische Zeitschriften. Leipzig, 1880.“

„Monitor“ biczem satyry, lecz te złe strony charakteru i duszy ludzkiej są i były znane po wszystkie czasy, są dziś i były przed wiekami—nie są ściśle związane z epoką „Monitora,“ a temi wadami są: skąpstwo, pycha, duma, obłuda, pochlebstwo i inne im pokrewne. Trzeba jeszcze zauważyć, że satyra wymierzona przeciw sarmatyzmowi, pisana z większym talentem, werwą i rozmachem, jest ciekawsza, bardziej samodzielna, swojska, może dlatego, że powstała jedynie na zasadzie obserwacji, podczas gdy satyra na typy i wady powstała pod wpływem francuskiej mody i obyczaju, jest słabsza; obserwacji samodzielnej stawało widocznie na przeszkodzie już naśladowanie odpowiednich fircyków, modnych żon, modnych kawalerów i innych nowomodnych postaci, w jakie obfitował wiek XVIII w każdym kraju i które znalazły już swoje wizerunki w „Spectatorze.“

I rzeczywiście różnice pomiędzy modnymi kawalerami, modnymi żonami, modnymi ludźmi Anglii, Francji, Niemiec i Polski, nie były tak zasadnicze i różne — satyra więc, wymierzona przeciw francuzomanii, już miała być z konieczności odbiciem wtórnym, mimo własnej obserwacji, reprodukcją satyry, powstałej gdzieindziej przeciw tym samym wadom. Natomiast nasi Pijakiewiczze, nasi Zawadyaccy, Zabobonniccy, Staruszkiewiczze, są typami swojskimi, więc i satyra, przeciw nim wymierzona, stawiała się tem samem bardziej swojską, bardziej oryginalną.

Podzielmy więc satyrę na łamach „Monitora“ na wymierzoną przeciw:

- 1) cudzoziemszczyźnie
- 2) sarmatyzmowi.

Zajmiemy się teraz po kolei satyrą każdej z tych grup.

## I.

„Monitor“ chłoscze francuzczyznę ze stanowiska złego, jakie przynosi krajowi, i ze stanowiska poglądów staropolskich, którym ta naleciałość obca podobać się nie mogła. Występuje „Monitor“ przeciw wszelkim jej objawom, a temi są: marnotrawstwo, modne wychowanie, modne żony, modne damy, staruszki, chcące być ciągle młodemi, modna miłość, rozpusta, zepsucie obyczajów, gra w karty, tytułomania, używanie języka francuskiego, życie nad stan, zbytckowne prowadzenie domu na wzór szlachty francuskiej; roi się ta satyra od amantów, dworaków, fircyków,

karciarzy, zniewieściałych młodzieńców, próżniaków, pojedynkowiczów, blagierów, gazeciarzy, pseudo-filozofów, kokietek, modnych panien etc. etc.

Francuzczyznę całą podzielićby można na modne obyczaje, modne wychowanie i typy modne, nieznanne przedtem w Polsce, a zjawiające się po raz pierwszy w satyrach „Monitora.“

Już w pierwszym roczniku z r. 1765 spotkamy się z sarkaniem z powodu bezmyślnego wysyłania młodzieńców za granicę, wraz z guwernerami którzy nie wiele co umieją. Młodzieńcy owi nabywają zagranicą złych nałogów i zamiast wzbogacić swą wiedzę, powracają pełni wad do kraju, a przehulawszy ostatnie resztki majątku, nie mają żyć z czego, a pracować nie umieją. („Monitor,“ 1765, nr. 28).

*Marnotrawstwo* uważa „Monitor“ za skutek złego wychowania, wysyłania młodzieńców za granicę, wzorowania się na francuskich zwyczajach. Stąd pochodzi zbytek, marnowanie fortuny, aby pokryć szalone wydatki: „Czegoż po takim obywatelu spodziewać się może Ojczyzna?!—zapytuje „Monitor“—Oto obciążony wielkimi długami gotów jest najniegodziwszych chwycić się sposobów, którymi by się mógł uwolnić od przykrzających się nieustannie kredytorów. Pnie się do urzędów, nie przeto, iżby Ojczyźnie jaką uczynił przysługę, ale iżby ich użył do zysku i zarobku swojego. Tam u niego dobro Ojczyzny, gdzie jakąś dla siebie czuje zdobycz. Słowem niewolniczą i przedaźną staje się duszą.“ (1768, nr. 20).

Innym razem takie życie nad stan kończy się ruiną materialną zupełną, jak np. w satyrze Gracyana Piotrowskiego („Monitor,“ 1770, nr. 23), pisanej wierszem. Autor jedzie do Lublina, po drodze spotyka szlachcica

Boso bez czapki, chociaż już było po lecie,  
Sakwy tylko z szablikiem tłuką się po grzbiecie.

Autor zainteresowany losem szlachcica, prosi go do kolaski i zapytuje o przyczyny jego nędzy:

Zginęło, on odpowie. Nie wczas żal po stracie!  
Zjadło się, wypilo się, przegrało się w karty,  
Resztę zgryzły łakome ogary i charty.

Ojciec szlachcica żył skromnie, zostawił znaczną fortunę, którą rozdzielił pomiędzy

Czterech synów, dwie córki, sześć wiosek z karczmami,  
Dwa młyny i ośmdziesiąt tysięcy tyńfami.

Ale jak zaczęto hulać, używać, polować, gości spraszać,

Żonki też krotofilne na swe adryany,  
 Na wolanty, azusty, saki i robrany,  
 Na mankiety, manele, girlandy, salopy  
 Wyciągnęły z spichlerzów korce, z stodół snopy.

Skończyło się na tem, że w domu szlachcica

Bieda, nędza ostatnia i chudoba ciężka  
 Jedna tylko chałupka i to z komornikiem,  
 Kolacya kapustką, a obiad barszczykiem...

Podobny skutek życia nad stan, marnotrawstwa, kończącego się ruiną materyalną zupełną, kreśli Krasicki w „Monitorze,” 1772, nr. 99 <sup>1)</sup>. Oto treść tej satyry: „Dnia wczorajszego zrana przyszedł do mnie człowiek w wytartej sukni, z wielkiem zawstydzaniem prosząc o jakiegokolwiek zapomożenie; gdym mu się przypatrywać począł, poznałem, iż to był syn jedynak bardzo mającego sąsiada rodziców moich, niegdyś zawołany junak i bardzo modny kawaler. Spytany o przyczynę nędzy, z płaczem odpowiedział, iż go marnotrawstwo przyprowadziło do tak nędznego stanu; wspomogłem go wedle możności, a gdy odszedł, nader obfitą zostawił mi materyę do uwagi. Przychodziło mi na pamięć, jak przed lat dwudziestu nie można się było do niego docisnąć, takie mnóstwo zbieranej (jak mówią) drużyny napełniało pokoje jego. Najślawniejsi junacy, szulernie, pijacy, trefnisie, cisnęli się pod skrzydła protekcji dla wszystkich nie zbronnej. Nie raz, idąc piechotą przez ulicę, zbryzgany bywałem błotem od pływającej jego kawalkaty; przyszło do tego, iż ów poszostny panicz przyszedł do parokonnego szlachcica i ostatnią przyciśniony potrzebą, musiał się temu uniżać, na którego przedtem i patrzeć nie chciał.“

Na marnotrawstwo napada „Monitor“ kilkakrotnie, na wielkopańskie prowadzenie domu, trzymanie psiarni, kapeli, stu huzarów nadwornych, prowadzenie drogich stołów, karet paryskich, a zwykle zbytek taki kończy się ruiną, ucieczką za granicę przed dłużnikami („Monitor,” 1773, nr. 97) <sup>2)</sup> — napada też na nieznaną przedtem w Polsce zwyczaj zastawiania stołu wyszukanemi potrawami (1766, nr. 56); „cóż mówić o domach, w których droższe

<sup>1)</sup> „Spectator,” I, 65, przypiski.

<sup>2)</sup> „Spectator,” II, 19.

pokoje, jak przedtem wioski. Co o stołach, na których więcej teraz srebra, jak gotowego do obrony żelaza (1767, nr. 66) <sup>1)</sup>.

W ścisłym związku z marnotrawstwem stoi *karciarstwo*, zwyczaj również z Francji przyniesiony; kilkakrotnie w satyrze na modnych paniczów „Monitor“ o niem wspomina (1767, nr. 5; 1767, nr. 79; 1767, nr. 81; 1768, nr. 21; 1779, nr. 49).

Takim marnotrawcem, rozpustnikiem, próżniakiem i zniechęcałym bywa zwykle *modny panicz*, typ nieznanym dawniej, urobiony na francuskiej modzie, obyczajach, edukacji za granicą lub małpowaniu innych, pędzący życie na hulankach, próżniactwie, grze w karty. Jedną z tych satyr ma formę pamiętnika, a raczej dowcipnego, a krótkiego sprawozdania z sześciu dni w tygodniu od poniedziałku do soboty („Monitor“, 1767, nr. 5) <sup>2)</sup>. Poniedziałek: „Wstałem o godzinie 9-ej i piłem The (herbatę). Potem fryzowałem i ubierałem się aż do godziny 11-ej. Od godziny 11-ej aż do 2-ej oddawałem wizyty gotowalniane. Od 2-ej aż do 3-ej obiad jadłem. Po obiedzie grałem w karty aż do godziny 5-ej. Po 5-ej byłem na komedyi aż do 9-ej. Od 9-ej aż do północy byłem na assamblach. Po północy spać poszedłem.

„NB. Dnia tego byłem trzeźwy.“

Następne dni w tygodniu mało różnią się od poprzedniego; zanotuje „kawaler“ we wtorek: „o północy wróciłem do domu, dałem hajdukowi w pysk, bo byłem złego humoru po przegranej“; w środę „kawaler“ upił się, w czwartek z tego powodu choruje; w piątek czyta niejaką „Magellonę“ romans (rozumie się francuski); w sobotę znów gra w karty.

Innym razem „Monitor“ (1767, nr. 33) opisuje idealną postać kawalera, który nie hołduje modzie, francuzczyźnie, próżności, nie gra w karty, nie pije, losem chłopów interesuje się, czyta nie romanse, lecz naukowe dzieła, nie kupuje nic na kredyt, słowem jest wzorem obywatela, Polaka i człowieka. W satyrze tej nie chodzi korespondentowi „Monitora“ o główną osobę, o wzór doskonałości, ale o ośmieszenie tych wszystkich, co uważają podobne uczciwe prowadzenie życia za błąd; sam korespondent podaje się za jednego z takich, stąd źródło satyry.

Ganiąc ówczesne pojęcie honoru, zupełnie różne od dawnej staropolskiej cnoty, mówi (1767, nr. 81): „Nowomodny honor polega na tem u kawalera, że może on klamać, byle mu tego kto nie zarzucił, grać w karty, podług praw honoru nie potrzebuje długów płacić kupcom, może wyzuć kogoś z fortuny, choćby po-

<sup>1)</sup> „Spectator“, II, 70. <sup>2)</sup> „Spectator“, III, 64.

dejsciem, być hojnym dla płci pięknej, nakoniec ganić, cokolwiek się u nas w Polsce urodziło, a to chwalić, co z Paryża lub Londynu do nas sprowadzono.“

W satyrze na *zniewieściłość* przedstawia nam inny znów typ modnego panicza (1768, nr. 29): „Wyjeżdża z ciężkiej potrzeby w drogę staruszek lat dwadzieścia mający; trzeba go dobrze owinać w piernaty i karete zamknąć, żeby go wiatr wilgotny nie zawionął. Słaby nieborak! twarz blada świadkiem jest sił pierwszej starganych, niż nabytych doskonale.“ Biada „Monitor“ nad zanikiem rycerskości i chęci służenia w wojsku (1771, nr. 83): „Uchowaj Boże, żeby kto z tutejszej okolicy przystał do Regimentu, zaraz mu perswadują i najostatniejszych zażywają sposobów do utracenia mu, jeśli nie gustu i ochoty, to służby. Już mu przekładają podłość tego stanu, już jego trudy i prace, na których się sami cale nie znają, już nareszcie nie trzymają z nim kompanii, gardzą i posponują, jak najostatniejszym; jego munduru sukno przyzwoite randze Unter-Officera, lub kadeta odstręcza go od nich. Nie chcą na to pamiętać, że to proste sukno szamerowane zasługami daleko powinno być szacowniejsze, niż ich aksamity, nędzą ludzką galonowane; gardzą tym stanem, który ochrania ich majątki; przenoszą stan pychy, obłudy, nad stan posłuszeństwa i wierności.“ Takim jeszcze modnym kawalerem, późniejszym fircykiem, gdyż z tą nazwą fircyka w „Monitorze“ nie spotykamy się wcale, jest dworak (1771, nr. 16), który „rozumie, że dosyć jest, kiedy weźmie suknie à la mode, czuprynę wymyje, włosy w niej pod linię ułoży, brew wymuska, wąsiki na papilotki zakręci, wyczesze, wyszwarcuje; twarz, ręce, szyję, piersi, plecy wymydli, wypucuje, do Damy komplemencik wytnie, a czasem taki, jaki nie powinien być w ustach chrześcijanina; kilka razy na dzień, ba, i sto mało, będzie poprawiał wąsy, opasywał się, suknie obciągał, czuprynę głaskał, dla czego nosi zawsze przy sobie zwierciadło i w kościele nawet, gdy potrzeba galantomii, wyciąga, tak sobie postępuje, jak w domu. Więcej jeszcze na tem swoją dworakieryę zasadza, żeby każdego wyśmiać, wyszydzić, chytrze i obłudnie z nim postępować, miejsce koledze zepsuć, przy fłaszce zaś (którą powinien jaknajprędzej wysuszyć, a kieliszki gładziuteńko ścinać) najszczerzym przyjacielem pokazywać się.“

W innej jeszcze satyrze („Monitor“, 1772, nr. 55 <sup>1)</sup>) pióra Krasickiego, autorowi śni się, że jakiś anatom otworzył czaszkę mod-

<sup>1)</sup> „Spectator“, III, 39.

nego kawalera. „Gdyśmy każdą z osobna komórkę rewidować zaczęli, znaleźliśmy w jednej wiersze i piosneczki na honor Filidy, w drugiej historię o Koloandrze wiernym, w trzeciej bardzo piękną miniaturę, wymalowany portrecik pewnej damy; gdy się anatom ku czwartej schylił, kichnął; a to była tabaka maroco.“

Prócz wymienionych wad, które chłostał „Monitor“ w modnych kawalerach, należą jeszcze: bawienie się w modną miłość, junactwo, pyszałkowstwo, powierzchowna pseudo-wiedza i obłudza.

Kilka satyr poświęca „Monitor“ takim amantom i udającym zakochanych. Miłość ówczesna była też wzorowana na wersalskiej modzie wzdychania, robienia czułych oczów, sielankach i sentymentalizmie. Czasami jednak trwała zbyt długo, aż do przesady, nim się skończyła związkami małżeńskimi, a winne temu damy, jak twierdzi „Monitor“ (1772, nr. 9) <sup>1)</sup>, które czasami lata całe się namyślają. Jednym z przykładów takiej miłości jest list p. Mathuzalskiego do „Monitora“: „Nie wiem czy było wiadomo W. M. Panu przywiązanie moje do godnej osoby Imć p. Doroty na Grygach i Wykwintach Kryglewiczówniej. Nie wiem, czyli W. M. Pan słyszał przynajmniej, przez jakie mnie labirynty wiodła; 26 lat miałem, gdy się jej oddałem za niewolnika, więcej jak 30 strawiłem na jej usługach; tandem pojąłem siwiuteńką jak gołąbeczka. Nie spodziewając się na manki i niańki expensu, żałujemy upłynionego czasu, ale zważ W. M. Pan, jeżeli nie ona sama niebożatko winna. Spodziewam się, iż nam W. M. Pan powinszujesz, mnie osobliwie, żem przecież doczekał się nagrody statecznie wiernej, ale podobno już trochę niewczesnej miłości.“ To samo „kawalerowie modni, idący za hasłem nieprawej wolności, targnęli się na stan małżeński.“ „nie chcąc jednak uchodzić za dzikich i owszem szcząc się nader delikatną sentymentów czułością, wzięli sobie za maksymę patriarchy swego Don Kiszota przysłowie: iż kawaler bez Amantki, jest to samo, co drzewo bez liścia. Stąd i w damskiej płci nastał nowy rodzaj Dulcyneów, Klorynd, Fillidów etc.“ <sup>2)</sup> („Monitor“, 1772, nr. 52).

Gdzieindziej mówi (1767, nr. 16): „nie czyni wprawdzie miłość u nas w Polsce tak okropnych skutków, jakie na teatrach widzimy. Żaden tu dla niej w łeb sobie nie strzelił, żadna się nie truje; z tem wszystkiem wielką i nienagrodzoną szkodę młodzi naszej przynosi.“

Uwydatnił tę szkodę Gracyan Piotrowski w satyrze (1770, nr. 24) tracących pieniądze dla kobiet płytkich, lekkich obczy-

<sup>1)</sup> „Spectator“, II, 1.    <sup>2)</sup> „Spectator“, V, 49.



jów, nie dorównywających ni urodzeniem, ni wykształceniem zakochanemu. Oto zakochał się kawaler w Nigrynie, córce jakiejś praczki i oszusta, próżnującej, wyłudzającej pieniądze na swe stroje od głupiego amanta.

Powiedz sumiennie, wieleż w groszu i klejnocie  
Poszło na dar od ciebie Nigrynie niecnocie?  
Skąd trzewik złotem tkany, skąd robion nie wązki?  
Jak łąka w kwiat rozkwitły, skąd złote podwiązki?

Wszystko to za pieniądze zakochanego, który ostatecznie zrujnował się.

Niemasz grosza. Gospodarz, cerulik natrętem,  
Perukarz, szewc i krawiec chcą wziąć za rzemiosło  
Nagrodę. Szemrzą cicho i już się zaniosło  
Między nimi: by żaden na twój kontrakt prosty  
Nic nie robił...

Teraz więc zeń się kawalerze, wybucha autor, lecz cóż powiedzą twoi rodzice, przodkowie — kiedy im powiesz jakie „twojej Nigryny urodzenie, herb, posag...”

Lecz darmo usiłuję wstrzymać cię od zguby,  
Przeciw Nigrynie dyskurs zdaje ci się gruby.  
.....  
.....  
..... idź, idź, trudna to praktyka  
Bez postronka ślepego wstrzymać miłośnika.

Rezygnuje autor zupełnie z tego, ale zwraca się do innych, ostrzegając ich przed fałszywym krokiem w życiu:

Uciekajcie od Nigryn, Albin, jak od węża,  
Te bowiem wyprzątają kieski i szkatuły,  
Te sprawiają zacięty umysł i nieczuły,  
Te tracą gust do nauk, do prac i zabiegów  
O dalsze życie...

One nakoniec

..... solenne małżeństwa przysięgi  
Uprowadzają, za nimi pomsta niebios idzie,  
Kapieje życie potem w nędzy i ohydzie.<sup>1)</sup>

Innym znów typem modnego kawalera jest junak, zawadyka, pseudo-rycerz, często tchórz nawet.

<sup>1)</sup> O satyrach Piotrowskiego. Ign. Chrzanowski: „Z dziejów satyry.“

Za Sasów ginął powoli typ obywatela żołnierza, broniącego ongiś kresów wolnej Rzeczypospolitej, rycerska szlachta w czasach Sasów, nie mając ujścia dla rycerskiego rzemiosła, rozpiła się, jej rola w społeczeństwie obrońców Ojczyzny zredukowała się do burd, awantur i pojedynków, zajazdów, dlatego też pisze „Monitor“, że „są tacy, którzy pod ozdobą przewieszzonej junackim kształtem ładownicy, uzbroiwszy się niezwykłą łosicą, bohaterą okazując, Don Kiszotowie nowi, żadnej karczmy bez historii ominąć nie mogą, wybierają podatek nowego rodzaju, gdy jedni za gotowe pieniądze kupują od nich spokojność swoją, drudzy, osobiwie karczmarze, sowitym trunkiem grzbiet opłacają, każdy roztropny człowiek jak zapowietrzonych omija i woli uwłóczyć wygodzie swojej, niżli wpaść w tak sromotne i razem niebezpieczne społeczeństwo.“ (Monitor, 1766, nr. 75).

W innym numerze (1767, nr. 51) niejaki Śniatecki, idąc za prądem czasu, postanowił szukać sławy w pojedynku i za ofiarę swojej donkiszoteryi obrał sobie pewnego człowieka chudego, bladego, nie stworzonego na wygląd do rycerskiego rzemiosła. Rozpoczął od zaczepek, ten mu ustąpił, wówczas powiedział parę grubijaństw. Od słowa do słowa przyszło do pojedynku, skończyło się tem, że szczupły człowieczek „ciął go przez pysk, aż się szabla na brodzie oparła. Odtąd ma naukę, aby nie wszczynać awantur i pojedynków.“

Pojedynki, burdy i awantury rozpowszechnienie swoje znajdowały w zupełnej bezkarności. Napada „Monitor“ na sądy, skazujące za zabójstwo w pojedynku na banicyę, z której zazwyczaj banita nic sobie nie robił (1773, nr. 6—7), kreśli (tamże) typ takiego junaka, pojedynkowicza, skazanego na banicyę. „Raz, prawi, idę sobie ulicą: aliści spotykam się z pewnym junakiem. Widzę, że wąsy kręci i na mnie marsem spogląda, hop go tedy bez ceremonii w pysk, a potem do pałasza. On, gdym go w ciasnym kącie zachwyił, nie mogąc uciec, również do pałasza, chcąc się bronić, ja nie czekając, nim mi się złoży i nie sądząc za potrzebę zachować ustawy pojedynku, ponieważ sekundantów nie mieliśmy, tak dobrzem go po karku liznął moją kochaną szlifowaną szabelką, aż się głowa na ziemi oparła i on cały za głową poszedł; kończyłem moją drogę z tryumfem, szablę ze krwi ocierając i po kamieniach nią krzesząc, zostawiwszy bez głowy i bez duszy tamtego junaka.“ Skarży się „Monitor“ (1767, nr. 66), że „przedtem mocą wojska i liczbą ludzi wojowali Polacy, a dziś sam à sam jeden z drugim potyka się gracko.“

Obok modnego kawalera, fircyka, należy postawić modną damę dworską, która rozumie tylko, „aby się pięknie ufryzować i wieżę Babilońską, którą modnym kornetem zowią, ze wstążek i koronek misternie wystawić sobie na głowie, pięknie i gustownie ubrać się, uperfumować, u gotowalni więcej czasu trawić, potem albo wizyty oddawać, albo siedzieć w oknie i gachów wyglądać. Gdy zaś ci się poschodzą, wybierać w nich jak w uleżalkach: ten piękny, ale nie polityk; ten polityk, ale niezgrabny; ten odludek małowowiący; ten nadto gadatliwy; ten niczego, tylko że za niski; ten wysoki, ale chudy; ten i piękny, i wysoki, i tłusty, cóż kiedy chudypacholek. Rzeknijże W. M. Pan do niej: „A gdyby też Mościa Panno wziąć jaką książeczkę?“ Odpowie: „Pfe! albo ja to mężczyzna? co mnie po takiej zabawie? — ale prócz tego ja czytam Kolloandra, Chryzeidę, Magellonę, Baniałukę. — Czyliż to nie dosyć?“ Raziły „Monitora“ te wszystkie nowomodne dany, zepsucie kobiet, swoboda towarzyska, emancypacya, wykwintne stroje dam, edukacya dziewcząt na wzór francuski, używanie bielidła i barwiku, biadał nad zanikiem onych staropolskich matron, pełnych cnót, których miejsca zajęły podeszłe staruszki o wątpliwych wdziękach, chcące być zawsze młodemi, Cała to galerya postaci niewieścich; nie dziw, że przeszły z czasem do satyr Naruszewicza i Krasickiego oraz do komedyi Bohomolca i Zabłockiego; spotykamy się z niemi jeszcze w XIX wieku u Fredry.

W jednej z satyr, zatytułowanej „Manuskrypt chiński“ (1765, nr. 58, 59, 60, 62, 66, 67, 70) kreśli obraz podróży po Polsce i wrażenia, jakie odbiera niejaki Incip. mandaryn chiński; wybrał się on w podróż siedmioletnią na zwiedzenie krajów europejskich, a to w tym celu, aby poznawszy umiejętność Zachodu, mógł je przenieść na grunt swojski i co dobrego w nich znajdzie i w swojej Ojczyźnie mógł zaprowadzić. Co sześć miesięcy ów mandaryn przysyła cesarzowi chińskiemu sprawozdanie ze swej podróży; jakimś szczęśliwym trafem „Monitor“ otrzymuje kopię tego manuskryptu w którym jest opis podróży po Polsce. I oto przez usta mandaryna chińskiego „Monitor“ będzie wypowiadał swoje uwagi i spostrzeżenia o Polsce, utrzymując całość w ramach satyry. A więc o *wychowaniu kobiet* „powszechnie jest rozumienie, że córki wcale nie potrzebują nauki lub wydoskonalenia rozumu, ale że dość na tem, że są skromne, przystojnie się sprawną i gospodarstwo dobrze znają, jakby ta płeć niewieścia z przyrodzenia do nieumiejętności była stworzona.“ Potem, rozumie się

źle wychowane—są złemi i rozpróżnionymi żonami i matkami, oddając się bezczynności i żyjąc z zaciągniętych długów męża.

Satyra na modne wychowanie dziewcząt („Monitor,” 1772, nr. 11—„Spect.” I, 53). Matka uważa w córce za wadę, że czytna nie umie przewracać, że wzdychać nie chce, chodzić po modnemu, mówi to, co myśli, a przyczyna tego, jak sądzi matka, to „wieśniackie grubijaństwo, iż lubo od 6-iu miesięcy bawi się ze mną w tem stołecznem mieście, jeszcze gotowa się zapłonić i oczy spuścić.“

Skarży się „Monitor“ na tak pojętą edukację: „Jest nad czem ubolewać, iż osobliwie w edukacji płci damskiej wszyscy się teraz do światowości i mody garną. Ułożenie powierzchowne celem jest teraz i najpierwszym i czasem jedynym wychowania panińskiego („Monitor“ 1772, nr. 11—„Spect.” I, 53).

Kreśli „Monitor“ obrazek jednej z takich kobiet: „Chlorindzie przynoszą kawę do łóżka i to dopiero o godz. 10-ej — ma wedle siebie dwie dziewczyny pokojowe i siedzi aż do godziny pierwszej przy zwierciadle lub gotowalni. Po obiedzie gra do godziny piątej, albo też jedzie w odwiedziny lub one przyjmuje, ku wieczorowi udaje się na operę lub komedję, nie żeby się czego nauczyła, albo żeby po utrudzeniu gospodarskiem rozrywkę sobie uczyniła, ale żeby się z wszystkim strojem swym popisała. Powróciwszy do domu pyta się dziewczki, wiele na jutro pieniędzy na wydatek potrzebuje i te sługa sama ze szkatuły weźmie, napotem posili się, rozebrać się każe i po północy idzie do spoczynku, przed którym naprzód mężowi pilnie zaleci, aby nazajutrz to a to dla niej ze sklepów przynieść kazał. Do dziełek swych małych ledwie raz na tydzień zajrzy, gdyż krzyku dziecinnego znieść nie może, tymczasem dziatki pospolicie najgorzej wtenczas krzyczą, gdy ona do izby ich wnidzie, przeto że matki nie znają. Gdybym był w Chinach, pod ten czas, gdy był mandarynem, o takowych niewiastach dowiedział się, pewniebym one przed sąd zaważać kazał, takowe albowiem osoby w nieszczęście wprowadzają domy całe, domów zaś wielu zniszczenie jest, stanowi i dobru pospolitemu nader szkodliwe“ (1765, nr. 58).

W pamiętniku pewnej damy (1767, nr. 36)<sup>1)</sup> — satyrze pokrewnej i pisanej na wzór dyaryusza zabaw pewnego kawalera (1767, nr. 5), ośmiesza „Monitor“ pustą i wietrzną damę, która prócz strojenia, hołdowania modzie, uważająca na ówczesny „bon

<sup>1)</sup> „Spectator,” III, 66.

ton,“ niczem się nie zajmuje. Oto przykład: „*Środa*. Wstałam o godz. 10-ej i postanowiłam cały dzień bawić u siebie incognito. Od 11-ej do 12-ej, zamknawszy się w moim gabinecie, układałam sobie minę i uśmiech p. Umizgalskiej. NB. trzeba się dowiedzieć, jakiej ona wódki używa do utrzymania gładkości twarzy. Od 12-ej do 2-ej naradzałam się z krawcem, jakiego koloru mam sobie robron sprawić, ale i dotąd jeszcze nie jestem determinowana...“ „O godz. 4-ej odmieniłam przedsięwzięcie, pojechałam na assamble. Nie chciałam być na komedyi, dowiedziawszy się, iż miała być polska: trąci grubijaństwem języka i dowcipu polskiego. NB. Umizgalska miała gustowny garnitur.“ Inne niewiasty nazywa „Monitor“ Salamandrami, powstając na zepsucie kobiet (1768, nr. 3) <sup>1)</sup>. Taka Salamandra „przyjmuje w łóżku wizyty od mężczyzny, gra z nim w karty całe południe, przechadza się z nim dwie lub trzy godziny przy miesiączku, w ustronnem posiedzeniu szeptami się zabawia i bardzo się gorszy, gdy mąż tak nieroztropny, lub matka tak surowa, że zabraniają jej tak niewinnych swobód i rozrywek.“

Dalej szydzi „Monitor“ z modnych żon „gustu dobrego“ jak się wyraża („Monitor,“ 1767, nr. 71) <sup>2)</sup> w satyrze, przypominającej fabułą „żonę modną“ Krasickiego. Tak samo, jak tam, ożenił się zamożny zupełnie człowiek z damą ze świata, ta postanowiła wszystko w jego domu zmienić, stosując się do „gustu dobrego,“ a więc wydaje ogromne sumy na umeblowanie „à la Grecque,“ sprasza gości, urządza przyjęcia i co za tem idzie, rujnuje szlachcica.

Skargi małżonków na modne żony drukował chętnie „Monitor“ (1766, nr. 76) <sup>3)</sup>. Skarży się małżonek na żonę, że go rujnuje, że „dom jego stał się magazynem mód zagranicznych.“ „Gdybyś W. M. Pan wszedł do pokoju żony mojej, rozumiałbyś, żeś jest w Pekinie, taka w nim mnogość farfur, pagodów, parawaników etc. W każdym pokoju postrzeżesz W. M. Pan kosztowne, a na nic niezdatne fraszki.“ Inny małżonek stroskany pisze do „Monitora“ (1778, nr. 21): „...umyśliłem ją widzieć czasem zrana i przytomnością swoją przypomnieć jej prawa mężowe: wierzyć że W.M. Pan temu będziesz? Ile razy idę do niej, powiadają mi, że śpi. A jeżeli mimo tego wchodzę, woła z cholerą, czy umyśliłem przeskadzając snu, życie jej wydrzeć? Pyta się, czego chcę od niej—czego chcę od niej? Piękna kwestya. Powracam zmartwiony,

<sup>1)</sup> „Spectator,“ II, 66.    <sup>2)</sup> „Spectator,“ III, 69.

<sup>3)</sup> „Spectator,“ III, 69.

w nadziei, że przynajmniej, jak wstanie, szczęśliwy jej widzenia upatrzą moment, ale to są perukarze, norymberczyki, francuzki, krawcy, kupcy, którzy ją otaczają. Skoro się pokażę, rychtują rejestrami do mnie, że uciekać muszę.“

Jak satyry „o modnych żonach“ znalazły następnie artystyczne obrobienie i uwiecznienie w literaturze przez Krasickiego w „Żonie modnej,“ tak też wogóle każda z satyr na łamach „Monitora“ znajdzie prędzej czy później w literaturze pięknej swój wyraz. Tu na zakończenie przytoczmy jeszcze dwie tej samej treści. Jedną z nich pisze niejaki Ochotnicki (1769, nr. 51) (kto ukrywa się pod tym pseudonimem, niewiadomo). Ochotnicki był na wesołym zebraniu, na którym rozprawiano o niewierności małżeńskiej. Jako przykład wierności żon, jeden z kawalerów opowiada znaną historję o Konradzie III, który, oblegając pewne miasto, pozwoił niewiastom wyjść z niego wraz z tem, co mają najdroższego. Te na ramionach wyniosły swoich mężów. Ochotnickiemu po powrocie do domu śni się, że jedno z polskich miast (Warszawa) jest przez nieprzyjaciela obleganem i tak samo dowódcy nieprzyjaciół pozwalają wyjść niewiastom wraz z tem, co mają najdroższego. Cóż się okazuje? jedna z nich niesie wór na plecach pełny saskiej porcelany, druga gacha swego, trzecia ulubioną małpkę, czwarta pieska bonońskiego i t. d., jedna tylko dźwiga męża wraz z pudłem brabanckich koronek, ale i ta, nie mogąc tego podwójnego ciężaru unieść, męża zostawia, a pudło niesie na barkach.

Chcąc wyszydzić owe modne żony i modne stołeczne damy, „Monitor“ (1767, nr. 21) <sup>1)</sup> opisuje młodą mężatkę wychowaną na wsi, zestawia ją w zręczny sposób z różnemi damami stołecznemi, zarzucając jej, że nie mdleje, nie ma migreny, nie spazmuje, do amantów słodkich oczów nie robi, a „już sześć miesięcy mija, jak za mąż poszła, a jeszcze męża kocha, dewotka tej słabości podlegać może, ale nie w Warszawie mieszkająca dama,“ na domiar złego „siedzi w gotowalni, nie mając przy sobie kawalerów,“ słowem, wykracza przeciw modzie, a „w Warszawie łatwo grube występki przebaczone bywają, ale przestępstwa mody nigdy nie darują.“ Owa dama, wykraczająca przeciw tyłu przepisom mody, nie wie nawet, jak pomnożyć swe wdzięki, bo „są wdzięki zapachu, wdzięki w mówieniu, wdzięki utyskiwania na złe, które się cierpi i uskarżaniu na złe, którego nie cierpiemy — oto przy-

<sup>1)</sup> „Spectator,“ III, 30.

kład: „pół roku spędziła, nie skarżąc się na migrenę, to jeszcze daruję, ale że przez ten czas na spazmy, na wapory nie stękała, tego wybaczyć nie mogę; bo tak czynić, jest na złe używać zdrowia.“

Obok modnej damy i modnej żony należy postawić *modną staruszkę*, która chce być zawsze młodą, odbierać hołdy mężczyznom i stawać do recordu z młodemi damami. Pewien korespondent „Monitora“ znalazł się właśnie w towarzystwie dam, z których jedna ma lat 80, druga 60 lat, trzecia 40, a czwarta 22 — każda z nich gani starszą od siebie, że udaje jeszcze młodą, powierzając swe uwagi korespondentowi „Monitora.“ I tak 80-letnia dama twierdzi, że różnica wieku między nią a 60-letnią wynosi tylko dwa dni, 60-letnia mówi, że o pół roku starszą jest tylko od 40-letniej, nakoniec 40-letnia dama upewnia, że urodziła się w jednym i tym samym roku z 22-letnią swoją siostrzenicą.

Napada „Monitor“ na *gadatliwość kobiet* (1768, nr. 35):<sup>1)</sup> „Chwalono niektórych Oratorów, iż o każdej rzeczy mogli długi czas mówić. Trzeba w tem ustąpić honoru damom, między którymi wiele jest takich, które przez kilka godzin mogą mówić o niczem. Znałem jedną—mówi „Spectator“—która, nic nie pomyśliwszy, miała długą oracyę o jednej nitce.“ Rozróżnia „Monitor“ kilka gatunków takich oratorek, najpierwsze to te, które umieją pasye wzbudzać w człowieku, z tych rodzaju była żona Sokratesa, 2) te, które są doskonałe w ganieniu innych, 3) mają za cel świegotliwość, do 4) gatunku zalicza żartowniczkę, nowiniarkę, bajeczniarkę i inne tego rodzaju oratorki. Te same mniej więcej gatunki oratorek rozróżnia Krasicki („Monitor“, 1772, nr. 54) (nawiasem wspomnę, że obie satyry biorą źródło w „Spectatorze“<sup>2)</sup>), poświęcając dłuższy ustęp oratorkom t. zw. panegirycznym. „Trafiło mi się być słuchaczem jednej z tych oratorek (panegirycznych). Opowiadała więc przymioty wielkie sąsiadki swojej, przykładne nabożeństwo, uczęszczania do kościołów, rząd domu wyborny, skromność w stroju, wstrzeźliwość w słowach. Na tym punkcie gdy się zastanowiła, chcieliśmy już świętą ową matronę wykrzyknąć. Wtem westchnąwszy, oratorka nasza rzecze: żal się Boże! że zbyt w ścisłej konfidencji żyje z N.N. i lubo ja w tym nic złego nie widzę, przecież ludzie gadają, a niektóre wizyty skryte w miejscach osobnych, domowników na ten czas

<sup>1)</sup> „Spectator“, III, 27.

<sup>2)</sup> „Spectator“, III, 27.

pod różnemi pretekstami oddalenia, zamykania się nakoniec w jednym gabinecie, wszystko to sprawia podejrzanie. Niech mnie Bóg broni sądzić źle o bliźnim, ale radabym z serca, żeby tego niebywało, wszystkich zaś W. M. Państwa o sekret proszę: było zaś nas u stołu dwudziestu czterech siedzących, oprócz gromady słuchających pilnie domowników.“

Nie brak było i wśród mężczyzn takich oratorów, zajmujących się *obmową*. „Wyrwie się naprzykład który z nich, jak Imć p. Filip z Konopi na Imć p. Jakóba z tem słowem: O! jakaż to w tym człowieku wyniosłość! jaka pycha i duma! Patrzenie no W. M. Panowie, jak się to nadał w karecie, że ledwie nie pęknie.“ „Podobnież p. Franciszka będzie mówiła o p. Teresie: jakaż to zalotnica, jaka kręcicka, jaka umizgalska, wszędzie jej pełno, do każdego się umizga i wdzięczy“ (1771, nr. 62) <sup>1)</sup>.

Czasem, narzekając na zepsucie obyczajów, „Monitor“ (1771, nr. 78) bierze w obronę kobiety. „Nie ich to jest wina, na edukację i społeczność narzekać mamy. Damy, niech wybaczą słowu, są to małpy, które co w nas widzą, dla przypodobania się toż czynią. Gdyby nie więcej, prócz cnót i dobrych czynności w nas nie widywały, upewniam, żeby same poczciwemi były.“ Oburza się „Monitor“ na uwodzenie kobiet, na rzucanie tłustych i sprośnych paszkwilów, rzucanych na płeć piękną. „O, jak przykro uszom cnotliwym słyszeć, gdy jeden zacznie się szczyścić, jak podchlebnemi karesami nie na jednej damie wymógł więcej, niż sumienie pozwala.“ Dalej wyszydza *nowomodne stroje*, zarówno u kobiet, jak i mężczyzn, używanie woalki na twarz, noszenie brylantów w uszach, „czasem postrzegłem niektóre śród zimy z odkrytymi piersiami, a ręce w jakimś pokrowcu futrzanym trzymające; które z nich chcą się wdzięczyć, ściskają się tak mocno w stanie, że prawie jak w pół przecięte robaki wyglądają, do tego zaś zażywają jakiegoś narzędzia zdrowiu, moim zdaniem, wielce szkodliwego, który sznurówką zowią.“ „Tak samo strój męski się zmienił: dawny kontusz i karabele zastępują pończochy i szpadki, w towarzystwie źle traktują szlachcica (1768, nr. 5), dlatego, że w polskiej sukni chodzi, wychwalają tam strój francuski, mowę, język i obyczaje francuskie, a co polskie ganią.“ „Monitor“, 1780, nr. 72: „Pierwej ojczysty ubiór boki Polaków naszych okrywał, teraz jedwabiów, aksamitów pełno,“ „pierwej proste i rzadkie rydwany, częstsze siodła miasto poduszek w dro-

<sup>1)</sup> „Spectator“, IV, 7.



dze, teraz bez karet drogo zrobionych jeździć nie chcą.“ „Nie dopytasz się teraz w sukniach owego półgranacia, szkarłatu, fioletu, ani w materyach aksamitu półpalcowego, atłasu i adamaszku; zginęły i insze materye od farby i gatunku ucziwie i pracowicie przystojne“ (1769, nr. 75). Z innych też względów napada „Monitor“ na zwyczaj strojenia się, gdyż „jak wiele ta moda pieniędzy wyprowadza za granicę“ (1771, nr. 24), kilkakrotnie przygania (1769, nr. 73—74) nowej modzie strojenia się, szczególnie u dam, której „jeden strój kilkunastu z rodziny jest wsparciem (1772, nr. 65), wyszydza używanie bielidla i barwiku (nr. 102—103) <sup>1)</sup>.

Do cudzoziemszczyzny zaliczyć trzeba *tytułomanie*. Oburza się jakiś szlachcic (1775, nr. 23), że tytułują go W-nym, kiedy on „z dziada pradziada jest Jaśnie Wielmożnym. „Chciejże się W. M. Pan nauczyć, że ja listów nie przyjmuję takowych, w których jest umniejszono to, czegom wart z Antecessorów moich.“ Powstaje „Monitor“ na przywłaszczania sobie hrabiowskich tytułów. „Polski naród musi być naród grafów, ponieważ żaden Polak nie był widziany za granicą, któryby się nim nie mianował“ (1765, nr. 39).

Do cudzoziemszczyzny zaliczyć trzeba jeszcze *gazeciarzy* i *grafomanów*. „Nie masz, moim zdaniem, uprzykrzeńszego i brzydszego ludzi gatunku, nad onych, którzy gazetek zbieraniem bawią się i niemi kraj zarażają. Żniwo dla tych, gdy jaka rewolucya, wojna, zamieszanie, albo interesa między familiami, w domu, czy u postronnych wynikną. Wtenczas właśnie dla tego cechu wyborna pora do rozsiewania tysięcznych głupstw i plotek.“ Owi gazeciarze, t. j. nowiniarze, jak ich nazwać, są „gadułami,“ „natrętnikami,“ „szalbierzami,“ „wielką oni przynoszą szkodę publice.“ Na gazeciarzy również powstaje „Monitor“ w 1771, nr. 28. Jabłonowski w „Skrupule bez Skrupułu“ też im sporo miejsca poświęcił.

O *grafomanach*, Chwałpragnieniczach mówi „Monitor“ (1773, nr. 9), „że są podobni do kokoszy, która dla jednego jaja przeraża swym wrzaskiem całe sąsiedztwo, gdacząc z całej siły,“ lub do góry, „która ogromnem jęczeniem napełniła okolice rozległe, dając znać o swym połogu, lubo nie urodziła, tylko jedną mysz.“ Tak ci oni; uleże ten i ów dzieło najwięcej półtarkuszone, a duże libry wyszafuje na listy, donosząc o tem komu tylko może. „Oj,

<sup>1)</sup> „Spectator,“ I, 29; II, 33.

napisałem! Oj, już i wydrukowano.“ Wyperswadować zaś („Monitor,” 1772, n-r 77)<sup>1)</sup> złym pisarzom, żeby nie pisali, rzecz bardzo trudna, gdyż przekonać ich, że źle piszą, nie można, a odebrać im pióra, będą pisali po ścianach, zamknąć zaś i od społeczeństwa oddalić niepodobna, boby miasta opustoszały.“

Nakoniec i powierzchowną wiedzę, t. zw. pseudo-filozofów, wyszydza „Monitor“ (1765, n-r 68), poddając surowej krytyce ludzi, udających ludzi nauki, a w rzeczywistości posiadających wiedzę niegruntowną, powierzchowną: jeden z nich szeroko rozprawia o genealogii końskiej, drugi występuje przeciw zabobonom i strachom, trzeci jest zwolennikiem Voltaire'a. Wystarczy jednak, aby zwykły fakt, jak nadchodząca burza, przyprawiła ich wszystkich o strach. „Poprzysiężony nieprzyjaciel zabobonów wołał, aby psa wygnać z pokoju. Drugi prosił przez swoją wspaniałość o larendogrę, trzeci w zamieszaniu w dobrym porządku umknął za piec.“

Na cudzoziemszczyznę zapatrywał się „Monitor,” jako na zło, które przynosi narodowi, ganił i wyszydzał, mając dobro polskie na celu, z drugiej strony jego redaktorowi nie podobała się ta cudzoziemszczyzna, jako szlachcicowi starej daty. Przytoczę dłuższy ustęp, będący wyrazem stanowiska, jakie zajął „Monitor“ względem cudzoziemszczyzny: „Proszę być teraz człowiekiem starych obyczajów (których jedynie enota z poczciwością była wymiarem) w wesołym jakim posiedzeniu, upewniam, że zerwałby oba boki od śmiechu. Bo, że pomnę owe nieustannie czynione Bachusowi ofiary gęstem kieliszkowaniem; owe żwawe o pierwszeństwo zatargi w szalonym kołowaniu się,“ „owe nowomodne koperczaki; owe miłosne oświadczenia na urząd wypracowane; owe przed malowanemi nie bez obrazy Bożej obrazami, wzdychania, klęczki i czołobitności, z którymi się na tym placu rota smorgońskich gaszków i półgłówek popisuje.“ „Naprzód więc „staruszki podeszłe,“ usiłujące wszelką mocą „okazywać 15-letniej damy żywość i układać twarz zwiędłą do umizgów.“ „Gdy widzieć będzie damy i dameczki terażniejszej edycyi, w tysiącznych stawające bez stałości odmianach.“

„A cóż mówić o naszej gaszkowatej kawaleryi? która to z innym twarzy ułożeniem i kształtem postawy płaszczy się u nóżek bogiń swoich, z innym — umie ciepłym nadskakiwać wdówkom, z innym — formuje sobie powabne oczu rzucania, z innym —

<sup>1)</sup> „Spectator,” VI, 16.

dobywa zwierciadełek kieszonkowych, piórek do zębów, chustek pachnących, wódek gatunkami skropionych.“ Zdawałoby się owe-  
mu mężowi, że wpadł w jakieś towarzystwo, w którym wszystkie  
osoby są na śrubach, a członki na sprężynach.“ „Dziś świat—  
skarży się „Monitor“ — nie szanuje nic tak wysoko, jak zawsze  
odmieniające się zwyczaje, co *nową modą nazywa*.“

Zwróćmy się z kolei do drugiej grupy wad, znanych pod  
nazwą *sarmatyzmu*.

## II.

*Cóż to był sarmatyzm?* jakie jego objawy, na czym się zasa-  
dzała treść jego? Skupiał w sobie wszystkie złe pozostałości po  
czasach saskich, czasach upadku Rzeczypospolitej; wady te za-  
pewne gorsze były, niż cudzoziemszczyzna, bo obejmowały szersze  
warstwy szlacheckie, a więc nieuctwo, próżniactwo, zaścianko-  
wość, wsteczniactwo, przesady, ciemną wiarę w zabobony, wróżby,  
kalendarze, pijaństwo, prostactwo, słowem wszystko streszczające  
się w zasadzie: „Polska nierządem stoi.“ To w życiu. A w lite-  
raturze: panegiryzm, makaronizm, napuszoność języka. Miał co  
gromić „Monitor“ i obfity zbierał plon do swej satyry na *sar-  
matyzm*.

Zacznijmy od satyry na *anarchię, przesady szlacheckie i przy-  
wileje*. Karci „Monitor“ ostro tych, którzy na wszystkie sposoby  
poprawy Rzeczypospolitej z bierną i niemądrą rezygnacją powta-  
rzają: „Mospanie, dobrze nam tak, jak jesteśmy.“ Rozwijając my-  
śli swoje (1766, nr. 89), wyszydza owo klasyczne dla naszego  
krótkowidztwa „Polonia confusione regitur“ i odpowiada w tych  
słowach (1766, nr. 91) na ono „Mospanie, dobrze nam tak, jak je-  
steśmy“: „W wieku naszym, kiedy Francya o wzmocnienie sił  
i przymnożenie ludności myśli, kiedy się Anglia o nowe osady  
i ugruntowanie potęgi morskiej stara; kiedy Holandya handel  
swój coraz bardziej rozkrzewić pragnie; kiedy się wszystkie na-  
rody ku podźwignieniu zmagają; mówić, iż dobrze nam tak, jak  
jesteśmy, nie zdaje mi się rzeczą przyzwoitą.“ To samo wyrażają  
owe słowa: „Nie bywało tego przedtem“ (1773, nr. 3), są to wła-  
ściwe polskie słowa, ni skąd nie pożyczone, w Polsce się uro-  
dziły, w Polsce wzrosły i od niepamiętnych lat zadawnione  
panują.“ One są przyczyną wszystkiego złego w Polsce, sejmiki  
i sejmy rwą, rozkrzewiać się rzemiosłom i rękodzielom nie poz-  
walają, w pośmiech podają innym narodom. „Nasłuchać się mo-

zna wszędzie tych i tym podobnych piosnek: o tempora! o mores! Nie znali tego przodkowie nasi. Kiedy tego nie było, lepiej się nam działo. Jak Polska Polską nie widziano, żeby..." etc. etc.

„Oburzała się szlachta (1765, nr. 46) na książki mądre „O skutecznym rad sposobie," których autor wyraził swoje zdanie, że inaczej z nierządu i anarchii, pożerającej nas, nie wydobędziemy się, chyba się wrócimy ad pluralitatem, którą od wyleżenia się corruptae vocis veto porzuciliśmy byli na zgubę kraju i pierwszej sławy naszej wieczny upadek..." „jak Bożyszcze jakie szanowaliśny i w tem bałwochwalstwie zostawili nas jeszcze przodkowie nasi, że gdyby jeden sąsiad gorzał, a drugi zawołał, niemasz zgody ognia gasić, gotowiśmy byli z największą naszą szkodą ratunku odstąpić.“

Przeciwną była szlachta, aby dopuszczać mieszczan do urzędów i pod względem prerogatyw praw równać ją ze szlachtą (1765, nr. 6). „Odpowiesz mi W. M. Pan, że tam lubo mieszczan dopuszczono, szlachtę jednak nie ekskludowano. Ale czyż się przed tyimi Ichmościami szlachcic tam stawający będzie mógł docisnąć sprawki, każdy z pacyentów niezawodnie do nich udawać się będzie, bo im nizkie ichże urodzenie i do doskonalszego Prawa nauczania się i do punktualniejszego spraw dopilnowania więcej pozwala czasu.“ Bo szlachcic „musi przecież w karteczki pograć," „flaszkę wypić," „trzeba pójść do tej i owej," nie wspominając tych „nagłych wyjechania potrzeb bądź na wesele, chrzciny, zrękowiny, bądź na psy w pole.“

„Czyż już do tej teraz przyjdziemy niewoli — oburza się szlachcic-sarmata — że chcąc coś zarobić, będziemy musieli, tak jako mieszczanie, pilnie prawa się uczyć i z jak najusilniejszą przytomnością powierzone sobie czytać papiery.“

„Ach! niech zginie to Prawo, publikuj W. M. Pan, jak możesz, w swoich kartach najprędzej tę tak okrutną stanu szlacheckiego krzywdę, ażaz ziomkowie nasi, braterską zapaleni miłością, zniosą tak w niwecz obracającą konstytucyę, a uchwałą takową, ażeby odtąd ani wygodnie żyć, ani uczciwie chodzić, ani co zarobić nikomu nie wolno było, tylko jednemu szlachcicowi..."

Również chęć zaprowadzenia reformy włościańskiej wywoływała oburzenie i krzyki niezadowolenia — tak było na sejmie roku 1780, że cały projekt kodeksu, mimo starań króla, odrzucono z wrzawą: „nie masz zgody.“ W dyaryuszu zapisano rezolucyę: „niszczemy i tych praw wskrzeszać i aprobować nie będziemy.“<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Korzon: „Wewnętrzne Dzieje Polski za Stanisława Augusta" tom I.

Ośmiesza „Monitor“ poglądy szlachty na reformę włościańską kilkakrotnie. „Jak tylko się ta wieść po kraju naszym rozeszła, że J. W. Zamoyski ledwo nie za najpryncypalniejszy punkt szczęśliwości i obfitości kraju naszego, w prawach nowo ułożonych kładzie: uwolnienie chłopów od poddaństwa natychmiast, nic tu u nas w całej okolicy słyszeć się nie daje, jak tylko same narzekania,“ że „uwolnienie chłopów upadek Polski przyśpieszy,“ że „chłopi panami naszymi będą i rządzić się będą, jak im się będzie podobało“ (1778, nr. 81). Również szydzi „Monitor“ ze szlachty, która oburza się na to, że zabicie chłopu podlegać ma równej karze, jak za zabójstwo szlachcica (1778, nr. 23). „O to już przekłete zdanie, przeciw wolności i przywilejom szlachectwa polskiego! Możesz to być, żeby szlachcic za chłopu miał jakiej podpadać karze, albo żeby pan miał się ze swoim własnym prawować poddanym? Byłóż to przedtem kiedy? znam wielu panów, którzy za małą rzecz, bo za uderzenie psa, poddanych swoich zabijali, a przecie nikt im i słowa za to nie rzekł, cóż dopiero, żeby miał ich zapożywać?“

Wytyka „Monitor“ *nieuctwo, prostactwo, próżniactwo i lekturę kalendarzową*. Kalendarz była to jedyna zazwyczaj książka, którą, prócz książki do nabożeństwa, szlachcic się posługiwał; zawierała ona alfę i omegę jego wiadomości. Typowym obrazkiem tych wad jest satyra Grac. Piotrowskiego (1770, nr. 31). Autor zajmuje się nauką w bibliotece Załuskich, gdy w tem

Wchodzi słuszny rodak z pacholiki dwoma,  
 Wąsy kręci, to gwizdże, to sieje rękoma,  
 Ogląda szafy wszystkie. Rzekę, Bogu chwala,  
 Że mi się z człkiem słusznym tu pora dostała  
 Pomówienia; tymczasem napadł Herodota  
 Greckiego historyka. A to co, niecnota  
 Herod tu się znajduje (zawoła kochany  
 Mój lektor). Po żydowsku widzę drukowany,  
 Pewnie o Męce Pańskiej ta książka złożona  
 Przez Heroda szalbierza...

Rzekę: to historyka greckiego nazwisko,  
 Herodot-to, nie Herod...

Szlachcic pyta o herbarz, odrzuca nauki historyczne, nie zgadza się z autorem na naukę języków.

Widzę, żeś W. Pan zwąchał świeżo cudze kraje!  
 (On się na mnie obruszy i tak mnie wnet łaje)

W głowie się wam przewraca teraz, ludzie młodzi,  
 To uczenie języków, aż nadto wam szkodzi,  
 Nie znacie swojej matki Wolności i Prawa,  
 Poparłować, poszprachać mądrość się Wam zdawa.

A przyczynę tego upatruje szlachcic w upadku szkół, gdyż łaciny w niej nie uczą tak, jak dawniej, wyznaje nakoniec:

Wolę ja Okolskiego czytać herbarz złoty,  
 Przejrzeć się w Familiach...  
 Ale, ale nie masz tu kalendarzów zdawna  
 Pisanych o myślistwie...

Oto jedyna lektura szlachcica, będąca dowodem jego nieucstwa, na którą piorunuje „Monitor“: na ufanie kalendarzom, powoływanie się na nich w każdej ważniejszej chwili życia (1766, nr. 67). Oto np. p. Prostakiewicz nie jedzie na sprawę sądową, narażając się na grube nieprzyjemności z tego powodu, ponieważ kalendarz nie pozwala wówczas jechać. Pan Chałakiewicz, biedny szlachciura, nie korzysta z nadarzającej się mu sposobności oddania syna swego na służbę do możnego pana, ponieważ gdy udał się o radę do kalendarza swego, „ten go ostrzega, iż nie był dzień dobry do oddawania dzieci na służbę.“ Imć p. Gospodarski, „obietnicą kalendarza wiedziony, pewny był pogody, dni kilka trwać mającej,“ tymczasem naprzekór kalendarzowi deszcz, a więc stąd strata: wszystko siano zgniło.

Nakoniec p. Staruszkiewicz miał wydać córkę za p. Zalotnickiego. Umówili się, że ślub odbędzie się „w ten dzień, który najpierwszy podług kalendarza miał być pomyślny.“ Trzeba trafić, że kalendarz p. Zalotnickiego był inny, niż kalendarz p. Staruszkiewicza. Zjeżdża więc p. Zalotnicki po córkę p. Staruszkiewicza, aliści p. Staruszkiewicz „twierdzi przeciwnie swym kalendarzem, iż ten dzień był krytyczny“; małżeństwo nie przyszło do skutku.

W innej satyrze (1767, nr. 56) cytuje „Monitor“ przepowiednie i rady kalendarzowe: „Czas nie dobry, zaczem lekarstw i krwi zaniechaj; panów wielkich się strzeż, prawo na inszy czas odłóż, ognia przestrzegaj, alchimii nie stroj, ze swym równym przestawaj.“ Gdzieindziej znów mówi „Monitor“ (1773, nr. 29) „widziałem już foliały, zawierające w sobie niektóre wypiski z „Monitora,“ osobliwie, co się tycze kalendarza; przy każdym wypisku dodawano dwa arkusze dessertacyi z adnotacyami i przytaczaniem tekstów z najdawniejszych kalendarzy.“ Znajdowali się tak za-

żarci wielbiciele kalendarzów, jak p. Postękałski (1771, nr. 47), który posyłał po nie aż do Królewca, nie mogąc ich w kraju dostać; w następnym zaś roku, mając znajomego astrologa, namawia go do ułożenia kalendarza, „a gdyby go żadna w naszym kraju nie przyjęła drukarnia, do Amsterdamu swoim go nakładem w druk poszłę.“

Nie dziw więc, że przy posługiwaniu się tego rodzaju lekturą, ciasny horyzont myślenia jeszcze bardziej się zwiężał: „Zła u nich o obrocie ziemi za Kopernikiem idących rozumienia, bo się błędnemu Ptolomeusza o kryształowych niebach sprzeciwia zdaniu. Zła Newtona filozofia, bo się z chimerycznymi mniemanymi Arystotelesa naśladowców nie zgadza opiniami. Zła terazniejsza historia, bo od płonnych, dawnych dziejopisów oczyszczona bajek“; „słowem, zła u nich wszelka nauka, która się rozumu, nie fanatyzmu prawidłami rządzi“ (1768, nr. 25). Opinia szlachty była, że „w Warszawie piszą wiele bałamuctw, ale my dawni szlachta jesteśmy dobrzy politycy, a człowiek mający rozum przyrodzony nie potrzebuje czytania książek, które zdać się tylko mogą na zawinięcie kawałka pieczeni albo placka“ (1775, nr. 6).

Wobec takich poglądów nie dziwnego, że książek nie kupowano. „Niedawnemi czasy rozmawiając z księgarzami, chciałem się dowiedzieć, które też księgi u nas najbardziej popłacają? rozumiałem (wyznaję moją próżność), że moje „Monitory“ szczęśliwsze w tem były nad inne księgi. Alie mi odpowiadają, iż żadnej niema skupniejszej nad kalendarze, ponieważ ich co rok wychodzi więcej, niż dwadzieścia tysięcy“ (1768, nr. 1). Niejaki Literacki napisał pracę naukową, pracując nad nią kilka lat, zwraca się do drukarni, mówią mu, „że tej książki drukowanie będzie kosztowało najmniej 1,000 guldenów. Owóz całego roku moja intrata! Przekładam im obcych krajów w tem zwyczaj. Inna tu rzecz, odpowiedzą, u nas w Polsce. Tam drukarnia wybije 10 lub 20,000 egzemplarzy jakiej książki i za lat kilka wszystkie wykupią; u nas jeśli 500 egzemplarzy wydrukuje, trzeba czekać lat 50, ale i po tych upłynieniu jeszcze ich wiele zostanie.“ Skarży się „Monitor“, że „więcej u nas teraz bałamuctwa nawet cudzoziemskie ważą, niżli najpożyteczniejsze dzieła w Polsce urodzone“ (1767, nr. 72).

Kalendarze utrwały, rozumie się, zabobony, wiarę w czarownice, upiory. Jeszcze w r. 1766 obywatelka jakaś z pod Warszawy, sprowadziwszy sąd miejski, torturować kazała i tracić poddanki swoje, podejrzone o stosunki z szatanem.<sup>1)</sup> Na taką

<sup>1)</sup> Wład. Smoleński: „Przewrót umysłowy w Polsce w. XVIII.“ Petersburg, 1891.

ciemnotę, takie wyobrażenia musiała się oburzać filozofia, oparta na naukach przyrodniczych — nauce towarzyszyła publicystyka i sztuka, biorąca sobie za cel tępienie przesądów bez względu na ich formę. Wiarę w kalendarze ośmieszał „list o kalendarzodziejach wszystkich krajów dawnych, teraźniejszych i przyszłych.“ Wiarę w czary i upiory podkopywało dzieło ks. Jana Bohomolca p. t. „Dyabeł w swojej postaci“ (r. 1772).

Franciszek Bohomolec, redaktor „Monitora,“ ośmieszał zabobony w komediach swoich „Czary“ i w „Małżeństwie z kalendarza“; później pójdzie za nim Franc. Zabłocki. Ten ostatni w „Zabobonniku“ Anzelmie przedstawi typ takiego przesądnego starej daty szlachcica, o którym mówi Filutowicz, jego sługa, że

Prędzejby upartego można ochrzcić Żyda,  
I wygnać z opętanej baby złego ducha,  
Niż Anzelma przekonać...

Przez same tylko wieść się daje zabobony  
U niego nie z przypadku, lecz każde zdarzenie  
Albo dyabeł nasyła, albo przeznaczenie.  
Psy, kruki, wrony, sowy, pułacze i sroki,  
Wszystko są posły z piekła lub z nieba proroki;  
I co drugich światło rozumu przekona,  
Jego wycie psów, sowa, nietoperz lub wrona.

Jeden z korespondentów donosi „Monitorowi“: „Zaproszony na obiad do dobrego przyjaciela, zastaję dom cały w zamieszaniu, pytam się o przyczynę, powiadają mi do ucha, śniło się Imci, że jej ząb wypadł.“ „Jejmość, jak mnie tylko zobaczyła w czarnej sukni, w krzyk zawoła: wszakem mówiła, że nas jakieś nieszczęście czeka.“ Na domiar złego gość, sięgając po jakąś potrawę, wyrzucił solniczkę, „ręknęła na to Imć i już ledwie przy zmysłach zostając, do męża rzecze: pamiętasz, moje serce, tak dwa roky w wigilię św. Bartłomieja nasz sąsiad także był sól rozsypał, tego samego dnia odebraliśny wiadomość, że szarańcza na Podolu, a potem we dwie niedziele gumno zapalił piorun.“

Pan Staruszkiewicz, jadąc z Warszawy do Lublina, w drodze znosi męki i utrapienia, gdyż wyjechał w poniedziałek, przeżony jest, że zając mu drogę przebiegł, że pułacz w lesie się odezwał (1766, nr. 39). Imć p. Baśniowerski (1773, nr. 29) oburza się na „Monitora,“ że śmiał przeczyć powieściom o upiorach i strzygach, że w głos wykrzyknął: Ach! dla Boga. To on pe-



wnie powie, że i Boga nie masz: Ach, ja sam za lby z upiorem wodziłem się nieraz, a on mówi, że to bajka!“

Nieupiorowiarski niejaki pisze o zabobonach, dowodząc do jakiego ogłupienia wiara w upiory doszła, ilustrując przykładem podczas morowej zarazy na Wołyniu i Podolu: „wierząc tym zabobonnościami, w jednej wsi motłoch trojgu osobom z niewymownem okrucieństwem rydlami głowy poucinali.“ W jednym z miasteczek „także troje osób, podobnie spotwarzonych, żywcem spalono,“ dowodząc, że są to upiory, roznoszące zarazę. „Panowie zaś znaczniejsi, unikając zarazy, powyjeżdżali, którzy zaś pozostali posesorowie i dyspozytorowie, na toż zezwalali zdanie, a nawet niektórzy duchowni“ (1771, nr. 22).

Na próżniactwo i próżniaków oburza się często „Monitor.“ „Próżnowanie jest rzeczą tak godną i zacną, słusznie tedy swoich znajduje wielbicieli, wszak łatwy do niego przystęp, prędkie przywiązanie, żadną przykrością nie odstrasza, do pojęcia snadne i w każdym rodzaju hołdowników swoich raduje i cieszy (1765, nr. 12). Próżniactwo uważa „Monitor“ jako objaw gnuśności i ospałości szlachty: niejaki Leniowski (fikcyjny rozumie się) bierze w obronę próżnowanie i obojętność na wszystko, co się dookoła dzieje. „Lat temu około dziesiątka, jak powszechnie mówiono, że upada Ojczyzna. Porwało się wielu, lecz do imienia mego nie należących, ratować ją, jam sobie spokojnie leżał, kazano mi iść do ratunku, jam nie słucał i leżał, kazano więc koniom moim być obrońcami i pobrano mi je co do jednego, jam spokojniej jeszcze leżał, bom nie miał na czem za wrota wyjechać, wodzono ich potem odartych, jam nakryty leżał. Karmiono chlebem z clemrzyny, jam jadł chleb mój własny. I któż tu roztropniej uczynił? Powiadają teraz wszyscy, że oni ratując, zgubili Ojczyznę, a p. Leniowski leżąc, ani jej, ani sobie nic złego nie uczynił“ (1777, nr. 53).

Zaściankowość szlachty charakteryzuje też jej stosunek do stolicy; widać, że nie podobały się szlachcie nowomodne zwyczaje, życie wielkomięjskie, różne zupełnie od spokojnego trybu życia na wsi. Niechętnem widocznie okiem często spoglądała szlachta na Warszawę, jeżeli parę uwag temu poświęca „Monitor,“ ośmieszając podobne poglądy. Skarży się korespondent „Monitora“ (1771, nr. 41), że od czasu jak wrócił, po dłuższej nieobecności, z Warszawy na wieś, wszyscy go prześladują ziemianie, „którzy Warszawy nie znają, jakobyem całe stracił czoło i wymazał imię moje z rejestru poczcziwych, staroświeckich, szczerych, pobożnych ludzi przez zamieszkanie długie tu, w Warszawie.“

„Proszono mnie, abym się nie gorszył i nie uważał, widząc małżeństwo w jednym pojeździe po staroświecku jadące, w jednym stojące apartamencie, przeciw modnym ustawom warszawskim, i razem pożegnawszy gości do spoczynku zabierające. W wigilię zawczasu już mnie błagano, ażebym tę subiekcyę poniósł i gospodarzowi darował grubijaństwo, że nie chcąc on psować swojego domowego porządku i domowników pracowitych martwić, pół do dwunastej przed południem obiad, a pół do siódmej kolacyę dać rozkaże, gwałcąc poważne i arcymitę warszawskie zwyczaje, gdzie obiady o godzinie pół do czwartej poczynają się, a kolacye po północy trwają.“

Do sarmatyzmu zaliczyć trzeba niechlujstwo, złe zachowanie przy stole i pijaństwo, tak rozpowszechnione wówczas w Polsce wśród szlachty.

„U nas w kochanej Polsce—mówi „Monitor“ (1771, nr. 79)—po stołach szczwają łosie, sarny, zające“ etc. „Ja wiele razy byłem w takiej kampanii, wpadałem zawsze w zapomnienie, rozumiejąc się być w kniei, jak zaczęli trąbić, jedni w pięści i kułaki, drudzy główniejsi trębaczę w kieliszki i szklanki, szczwając, gonić, krzyczeć, strzelać czasem bez prochu; wtenczas i z owego zapomnienia i z potrzeby musiałem nos zatykać.“

„Między najprzykrzejszemi przeciw przystojności występkami kładę *nieochędństwo*, względem siebie samego arcyntagame, względem drugich nieznośne i lubo uchodzi czasem za poufałość i konfidencyę, nie może nigdy być usprawiedliwione“ (1765, nr. 54).

Obraz niechlujstwa i zachowania się przy stole podaje „Monitor“ (1765, nr. 64): „Będąc na odpuszcie licznie zgromadzonych parafianów znacznej kondycyi, po zakończonem nabożeństwie zaproszony zostałem od dziedzica miejsca tego wraz z innymi sąsiadami na obiad. Siadam do stołu z niemałym apetytem, lecz wejrzawszy na ilość potraw zbytęczą, tak że ledwie talerz gdzie zmieścić mogłem i na nieochędństwo półmisków, serwet, łyżek i nożów, obrzydliwość zajęła miejsce chęci do jedzenia, siedząc z zadumieniem w tej sytuacji, nie mogąc czem żołądka ukontentować, myśl uwagami napełniałem, widzieć mi się dało z jaką ochotą dla oświadczenia grzeczności, gdzie jeden drugiego o potrawę prosił, prosto z gęby wyjętą łyżką, natychmiast też samą z nałożeniem potrawy bez miary częstowali. Widelcami, którymi sobie dobiero zęby wykałali, tychże do rozbierania używali.“

Kończy się pierwsze danie, pije do mnie gospodarz wielkim kielichem, spodziewam się wypić, kiedy nie zjeść czysto; atoli mój dobrodziej resztę z opłókaných wásów zostawiwszy, dolewa

mi kielicha i oddaje; co widząc, ekskuzuję się, że nie pijam, czem nie mało uraziłem gospodarza. Mniej na to uważam, gotując się na drugie danie, aliści oczom moim prezentuje się okopcony kucharz, podobne sobie zostawując pieczyste. Jużem też to sobie wyperswadował, że głodny od stołu wstać muszę, i tak się stało.“

Pijaństwu też nie przebacza „Monitor“ (1766, nr. 14). „Pamiętam, że w pierwszych dyskursach życzył sobie, aby „Monitory“ mogły mieć swoje miejsce między kieliszkami, terażniejszemu tego nie życzę; taka albowiem jest moc trunku, iż go zapewne pokona, a praca moja na to tylko zda się, że pójdzie do flaszki na czopek.“

W innym numerze (1766, nr. 19): Bracia szlachta zebrani u jednego na jakiejś uczcie, pod wpływem przeczytanych „Monitorów“, jakoś nie śmieją sięgnąć kielicha, ale dyskurs, zabawa i ochota się nie kleją. „Rad nie rad więc gospodarz każe przynieść kielich. Naprzód zgodziliśmy się wszyscy, aby wypić za zdrowie „Monitora.“ Ach, mości dobrodzieju, gdybyś tam był, dopierobys zobaczył, jak w nas duch wstąpił; dyskursu się zaczęły, ci, którzy się ledwo znali przed pierwszą koleją, po trzeciej poprzysięgali sobie wieczną przyjaźń... Prawda, że dwóch z naszej kompanii zwadziło się ku wieczorowi i jeden drugiemu w pysk wyciął, ale gdyby byli trzeźwi, zapewneby się pozabijali.“

Narzeka szlachta sarmacka, że teraz w Warszawie pić przestali (1768, nr. 10—11). „Przedtem to, Mospanie, nigdzie lepiej nie można było napić się, jak w Warszawie. Bywałem tam często na pańskich obiadach, jak dadzą, Mospanie, kielich półgarncowy, to aż się serce radowało człowiekowi. A trzeba było, Mospanie, jednym tchem wypić. Jeden nad drugiego w tem przesadzaliśmy się, Mospanie. Ja nie chwalcę się, Mospanie, mówię, ale wiedzą wszyscy, że w tem nigdy nie zawiodłem. Skorom kielich przytknął do gęby, szust, już ci po nim. Teraz Warszawa sfrancuziała: nie pożywi się tam człowiek. Postawią karafineczkę. Jużci po ochocie, zginęły stare polskie zwyczaje, zginie i Polska, jeśli się w tem nie postrzeże.“

„Gdzieindziej—pisze „Monitor“—zsprzysiężono się na tem na złość Imci P. Monitorowi pić jeszcze lepiej i na ten koniec już po wszystkich hutach kazano robić szklanice większe, niż bywały dotąd, to jest dwugarncowe z napisem takim:

Znaj Monitorze! że...

Tem lepiej piją po Twojej przyganie.

Każdy cechowy gospodarz na pierwsze przywitanie gościa tym próbuje sygnałkiem, czyli nie został już Monitorskim, tak zowią tych, którzy nie chcą pijać (1773, nr. 29). O pijaństwie pisze „Monitor“ niejednokrotnie jeszcze (1765, nr. 59; 1767, nr. 9; 1771, nr. 32; 1777, nr. 88; 1781, nr. 57, 58; 1773, nr. 29).

Następnie ostatnia grupa satyr przeciw sarmatyzmowi odnosi się do makaronizmów, panegiryzmu, napuszoneści języka, długich i przewlekłych oracyi.

„Pisma w Polsce najbardziej po rękę latają te: Panegiryki lub mowy na czyją pochwałę, gazety i rozmaite bajeczne dzieje. Panegiryki są pospolicie tak szunne, podchlebne i tak wielu opaczniemi, a z prawdą niezgadzającemi się pochwałami, napełnione, że nie wiem, kto bardziej, czyli ten, co go pisał, czy też ów, na którego pochwałę jest pisany, wstydzić się powinien“— mówi „Monitor“ (1765, nr. 62).

Występuje „Monitor“ (1766, nr. 24) przeciw różnego rodzaju panegirystom, mówcom żałobnym i wogóle napuszonemu stylowi, twierdząc, „że każde pismo powinno być jasne, w ułożeniu porządne, bardziej wrodzone, niż sztuczne, samo dobrowolnie wpływające, a w tym naturalnym smaku i piszącemu sławę, i czytającemu korzyść przyniesie.“ „Dawniej (1767, nr. 68) największy był orator, który umiał napisać panegiryk łaciński, nie umiając, ani znając, co to jest łacina.“ Na napuszoneść i nienaturalność języka nietylko w piśmie, ale i w rozmowie narzeka również „Monitor“ (1767, nr. 83): „Korespondent znajduje się w pewnym towarzystwie, jedni zeszpecają język makaroniznami, drudzy to, co w kilku słowach zamknąć można, używają do tego całej mitologii greckiej. Jakiś kawaler rozmawia z damą w ten sposób: słyszałem, że ją raz magnesein, drugi raz bursztynem zrobił, z ciekawości przybliżyć się ośmieliłem... i na ten trafiłem komplement: Ty jesteś słońce na wypogodzonym Olimpie, które mocą przyzwoitej atrakcyi nikczemne do siebie pociągasz atomy.“

Po wielu cudzoziemszczyznach, makaronizmach, panegiryzmach korespondent usłyszał nareszcie, jak ktoś opowiadał starej daty polszczyzną zdarzenie: „Wiem ja gdzie waści za to uszyją buty i zaproszą na kwaśne jabłka, nie wykręcisz się waść sianem, nauczę waści po kościele świstać. Wytarłszy mu kapitułę dobrze, zaraz huże na niego, a on mnie brzdęk przez łeb, ja go za piersi chap, a on o ziemię klap, dopiero widzi, żem mu kurtę skroił i że to nie przelewki, powiedziawszy, jechał was sęk, fik, mik i do domu smyk.“

Zwraca również „Monitor“ uwagę na częste i niestosowne używanie przysłów (1775, nr. 8): „Żaden dyskurs nie obejdzie się bez przynieszenia onych, co tyle do dobrego gustu pomaga, jak potrawę najsmaczniejszą przesolić; tylko jeden pacierz tyle wymusza tu dla siebie honoru, że niemi nie jest zaprawiony“ (również „Monitor“, 1773, nr. 41). Z zadowoleniem pewnym stwierdzał jednak „Monitor“ już w r. 1773 (nr. 24), że „mało widać owych kabalistycznych poetów, albo i owych, co to „trzaskającym tonem torujących trypodów taryflę tryumfów głosili.“ „Nie lubimy już onych alluzyi, które to dawniej bywały najspeycyalniejszą okrasą wymowy, że *dewótki* od *wódki* zaczynają modły; u *damy* z wierzchu *lamy*, a na sercu *plamy*. Już nam te rekrutowane affekta nie do smaku.“ Zaniechano również panegirycznych i rozwlekłych oracyi do herbów. „Na koncepta, alluzye do herbów, olbrzymowate metafory nie tak narzekam, daleko ich teraz mniej, niż przedtem było“ (1780, nr. 3). To samo co do makaronizmów. „Makaronizmy nie są już więcej okrasą mów, jak bywały przedtem: owe też style nadęte, które pierwej miane były za specyał, już teraz nie mają ceny między statystami, którzy na sensach nie na słowach mądrość zasadzają.“

Oto i cała garść satyr przeciw sarmatyzmowi, cytować je wszystkie nie sposób, korzystałem tylko z tych, które charakteryzowały czynność „Monitora“ na tem polu.

\*

O artystycznej formie tych satyr nie wiele da się powiedzieć, nie chodziło zapewne „Monitorowi“ o piękne i artystyczne ich wykończenie; starał się przemawiać najprościej, trafiać do rozumu czytających jak najzwyklejszymi środkami. Wszystkie satyry pisane są prozą, prócz wymienionych wyżej Grac. Piotrowskiego (1770, nr. 24; 1770, nr. 23), pisanych wierszem i tłómaczonych z Horacego. Zarówno, jak co do treści zasilał się „Monitor“ ze „Spectatora“, tak samo i co do formy wzorował się na „Spectatorze.“ Przeważnie forma satyry to list korespondenta „Monitora“, podpisanego zazwyczaj fikcyjnem jakim nazwiskiem lub przyjaciela redakcyi. Przez usta tych korespondentów wypowiada „Monitor“ swoje uwagi, poglądy, wyszydza i gani.

Inną grupę korespondentów „Monitora“ zajmują ci różni Zabobonnicy, Staruszkiewiczze, Próżniakowscy, Pijakiewiczze, Zalotnickie, Umizgalskie etc. etc. — ci piszą zazwyczaj apologię swych wad i przywar, w naiwny sposób broniąc siebie. Prócz listu, wpląta się jakaś satyra w formie pamiętnika (1767, nr. 5; 1767, 36), czasami w formie snu lub wizyi; innym razem jako opowiadanie cudzoziemca (mandaryna chińskiego—„Manuskrypt chiński,“ 1765, nr. 58, 59, 60, 62, 66, 67, 70), kreślącego w opisie swym wrażenia i satyryczne spostrzeżenia z podróży; nakoniec w formie gazetki wyjdzie numer „Monitora,“ zawierający satyryczne korespondencye i doniesienia z różnych części kraju. To już i wszystko.

Najczęściej, czy to będzie list do redakcyi, czy ów manuskrypt chiński, wszystko bywa podane w formie opowiadania, krótkich spostrzeżeń, notowanych jak gdyby na prędcie; zarodków noweli trudno się tu doszukać, prędzej powieści obyczajowej Krasickiego, jak „Pan Podstoli.“ Typy zaś i postacie, występujące w „Monitorze,“ mają tak wiele cech typowych, że zarysowują się zupełnie wyraźnie. Z kilku satyr na modnego kawalera, fircyka lub p. Staruszkiewiczza, Zabobonnickiego potrafiny odtworzyć sobie żywą postać, nie dziwnego zatem, że z czasem odnajdziemy je w komedjach Bohomolca i Zabłockiego. Równie dobrze te typy umiał podpatrzeć „Monitor,“ jak i pierwsi satyrycy Krasicki i Naruszewicz, komedyopisarze Bohomolec i Zabłocki.

Komedia nasza XVIII w. przeważnie wzorowała się na Moliere, różnica zaś pomiędzy komedią Molierowską a satyrą XVIII w. nie tak była zasadniczą. O satyrach Krasickiego mówi B. Bielski,<sup>1)</sup> że podzielone na dyalogi, mogłyby wypełniać oddzielnie sceny jakiejś komedyi Molierowskiej. Pozatem jeszcze co tak zbliża satyry „Monitora“ do satyr Krasickiego, Naruszewicza, komedyi Bohomolca, powieści Krasickiego, to właśnie ta identyczność zasadnicza poglądów i poruszanie jednakich co do istoty kwestyi społecznych i obyczajowych.

To dążenie do reformy, krytycyzm, poszukiwanie nowych prawd na każdym polu, dążenie do zmian, poprawianie społeczeństwa i uczenie go nowych zasad życia cechuje wiek Stanisława Augusta. Na tej drodze spotkali się zapewne i Krasicki, i Naruszewicz, i Bohomolec ze swoim „Monitorem,“ i wielu, wielu innych.

<sup>1)</sup> O wpływie Moliera na rozwój komedyi polskiej. Rozpr. Akad. filolog., tom 42.

Za cel postawiwszy sobie zreformowanie społeczeństwa, nie schodzą z obranej drogi. Satyra była ważną bronią w ręku tych ludzi, „Monitor“ posługiwał się nią też tak często.

Trudno wyznaczyć granice w „Monitorze“ pomiędzy satyrą a traktatem moralnym; prawie zawsze satyra obyczajowa kończy się uwagami na końcu lub odpowiedzią „Monitora“ już w duchu moralizatorsko-społecznym, kaznodziejskim—oba te rodzaje stapiają się z sobą. Pogląd swój na satyrę i zadanie swoje jako „Monitora“, t. j. Napominacza, określał „Monitor“ kilkakrotnie, skarżąc się, że „satyry w Polsce nie popłacają, wszystkie prawie one paszkwilami zowią. To zaiste ucieszna jest, iż ci, co się tkniętymi być czują, utrzymać tego nie mogą, ale wraz narzekają i łają pisarzowi, który ich tak mało zna, jak mało oni tego szczerego prawdomówcę znają. Wielu jest, co się nie wstydzą podło sobie postępować, wstydzą się zaś, gdy kto, ani myśląc o nich, złe ich postęпки albo językiem, albo piórem dotknie.“ Stanowisko swoje określał „Monitor“ kilkakrotnie, twierdząc, że celem jego jest „ohydzić występki, a wielbić cnotę, zdrożności poprawić, stan zdrowemi radami wspierać, zastarzałe przewencye znosić, zgoła wszelkimi sposoby wieść do dobrego, bez względu na żadną szczególność osób lub okoliczności.“

„Cośmy zaś dawniej i nie raz oświadczyli, to i teraz jako najuroczyściej powtarzamy, iż cel nasz „*parcere personis, discere de vitiis*“ (1766, nr. 74). „Nie mam honoru znać całej Polski—mówi „Monitor“ (1765, nr. 51)—i tak rozumiem, że mnie setna część czytelników nie zna, niech zatem uważa, jak mam przymawiać wszystkim. Powstają i powstawać będą na łakomcę każdego, pijaka i złoczyńcę, ale palcem wytykać nikogo ani chcę, ani mam wolę.“

Że satyry i napomnienia owe skutkowały, dostarcza nam dowodów na to sam „Monitor.“ Cóż bowiem znaczą te wszystkie głosy oburzenia różnych próżniaków, pijaków etc. etc. jeśli nie to właśnie, że satyry „Monitora“ trafiały w sedno, że napomnienia były gorzkie, ale skuteczne, „kiedy pijak, kostera, kartownik, próżniak, dziwak, darmochwał etc. etc. swoje w „Monitorze“ przysady, chciałem rzec, przymioty przeczyta, w nim swój portret czyli wyobrażenie zobaczy, cóż też podobnym sposobem temu „Monitor“ winien? który przy delikatności swojej, ten zwyczaj zachowując zwykł zawsze, *parcere personis* a tylko *discere de vitiis*“—powtarza jeszcze raz „Monitor“ (1765, nr. 64).

Niezadowolonym daje taką odprawę (1771, nr. 64): „Złośliwe mowy malkontentów mniej mają mocy, niż trzeba do wynisz-

czenia we mnie tej konsolacji, którą ja mam z przysłużenia się pismami mojemu Publico: o którego wielkiej części nie wątpię, iż im praca moja przynajmniej nie obmierza, jeżeli nie ze wszystkim szacowna.“

Przez 20 lat (1765—1784) poprawiał obyczaje „Monitor“; czytany był i rozpowszechnienie swoje znajdował nie tylko w Warszawie, ale i na prowincyi w większych miastach: „Monitora“ wkrótce będzie można mieć w najpryncypalniejszych pocztamtach, to jest w Krakowie, Poznaniu, Piotrkowie, Lublinie, Zamościu, Wilnie, Lwowie i Grodnie“ (1765, nr. 3). Tak długo żadne z późniejszych czasopism XVIII w. nie utrzymało się i takim powodzeniem się nie cieszyło. Czem później dla nowej ery XIX w. i Wilna były „Wiadomości brukowe,“ bądź co bądź wstępujące w ślady „Monitora,“ tak pod względem treści, jak przyswajania sobie prac obcych, głównie „Spectatora“<sup>1)</sup>, tem dla XVIII w. „Monitor“ Bohomolca. Czasopismo to było jednym z pierwszych inicjatorów mądrego postępu, pomagało i torowało ono drogę innym na polu oświecania, szczepienia nowych pojęć, chłostania wad przestarzałych i nabytych pod wpływem obcych prądów.

Słusznie więc mógł „Monitor“ po 15 latach istnienia swego wyrzec o sobie (1774, nr. 48): „Prawdziwa chwała z tego dzieła“<sup>2)</sup> na wiele osób uczonych i skutecznych obywateli, „Monitora“ pisarzów płynie; najwięcej zaś na fundatora, któremu późne potomstwo dopiero za „Monitora“ podziękuje, z wysokim szacunkiem kwiat cisnąc na jego mogiłę.“

WACŁAW ORŁOWSKI.

<sup>1)</sup> Józef Biełiński: „Szubrawcy w Wilnie.“ Warszawa, 1910, str. 65.

<sup>2)</sup> T. j. „Monitora.“



## *Malarstwo historyczne.*

Niedawno, bo zaledwie trzydzieści do czterdziestu lat temu, szanującego się malarza obowiązywała koniecznie kompozycya historyczna, jako rodzaj za jedynie dostojny w dostojnej sztuce uznany. Toż rzeczywiście każdy niemal wybitniejszy artysta żywił górne ambicje posiadania w dorobku swoim bodaj jednego utworu o mniej lub bardziej zdecydowanych cechach historyczności—utworu, któryby mu zdobył ostatecznie najwyższą w hierarchii malarskiej rangę.

Spełniało się to, co prawda, dość często bez wewnętrznej potrzeby estetycznej, a nawet niekiedy wbrew najistotniejszym skłonnościom wrodzonym, spełniało jednak stale i nieodzownie dla panującego w owych czasach zbyt arbitralnie — nazywając rzecz po imieniu — przesądu estetycznego.

A przesąd był doprawdy szeroko i głęboko zakorzeniony. Kiedy się dziś ogląda owe osławione, a niekiedy poprostu opłakane „obrazy historyczne“ artystów, którzy przecież później zasłynęli, jako wybitni pejzażyści, portreciści, dekoratorzy, lub malarze rodzajowi, łatwo się zgodzić, że tak silnie zakorzeniony przesąd był dla rozwoju ich niebezpieczny. Artyści ci wyrządzali sobie krzywdę niewypowiedzianą, naginając się do rodzaju, który nie lażał bynajmniej w ich przyrodzeniu. Czuć tam okropną mękę gwałtownego zmagania się ze sobą samym—mękę najzupełniej płonną, gdyż rezultaty tych zmagania najczęściej nie przynosiły najmniejszych korzyści ani historii, ani malarstwu historycznemu, ani temu wszystkiemu, co z pojęciem malarstwa tego jest związane. Ludzie pozbawieni specjalnego, że tak powiem, zmysłu w tym zakresie, wyprawiali akrobatyczne łamańce z własną indywidualnością, ażeby ją zmusić do powolności uprzedzoniom

estetyki obowiązującej i jakąś naiwną anegdotę dziejową opowiedzieć zgodnie z ustalonymi w danym rodzaju wymaganiami.

Ktoby znał, dajmy na to, Żmurkę, Axentowicza lub Wyczółkowskiego wyłącznie tylko z ostatnich czasów ich działalności, mógłby się zdziwić poważnie, dowiedziawszy się, że malowali niegdyś obrazy, wymagające, jeżeli nie zaciekłych badań archeologicznych, numizmatycznych, heraldycznych, to przynajmniej do różnych studyów nad kostyumem, architekturą i obyczajami jakiejś dość odległej epoki — studyów, do których nie mają może w usposobieniu swoim ani koniecznej zaciekłości, ani dość zdecydowanego przekonania.

Niektórzy z nich, dzięki wyjątkowej intuicji artystycznej, wychodzili czasem jeszcze dość szczęśliwie nawet z zadań dla siebie niewłaściwych; gorzej było z tymi, którym intuicja nie dopisała i nie pozwoliła zręcznym efektem malarskim zamaskować braku rzeczywistych w danym zakresie kwalifikacji.

Dawało to wyniki bardzo niepożądane. Przed kilku miesiącami mieliśmy w Tow. Zachęty wystawę zbiorową jednego ze starszych, dobrze sztuce polskiej zasłużonych artystów. Wśród licznych portretów, wcale nieprzeciętnych, a zwłaszcza pięknych bardzo akwarelowych studyów pejzażowych, było też kilka takich właśnie typowych, niezmiernie dla epoki swej znamienitych kompozycji historycznych. Otóż owe nieszczęsne obrazy, komponowane według modły obowiązującej, w sposób fatalny obniżały poziom całej wystawy, psując reputację dobremu portreciście i bardzo sympatycznemu twórcy drobnych widoczek.

Widoczki te, malowane wprost z natury, posiadały dużo sentymentu i szczerości i doprawdy, mimo swych drobnych rozmiarów, przedstawiały wcale niemałe wartości artystyczne. Tymczasem owe nieszczęsne obrazy historyczne, poza zimną, nudną i naiwną banalnością opowiadania, poza sztywnym, szablonowym, pełnym lichej teatralności układem, raziły jeszcze mnóstwem anachronizmów historycznych.

Zresztą w całym naszym ówczesnym malarstwie tego gatunku pokutowały niezmiennie tradycje poczciwego Szmuglewicza, który przy swej zacności i chęciach jaknajlepszych odznaczał się nader podrzędnym talentem. Uchodził on przecież za pierwszego wiarogodnego ilustratora dziejów Polski, a cykl jego rysunków z tego zakresu za poważny materiał do inspiracji kompozycyjnych. Stąd długo powtarzano za mistrzem wszystkie najbardziej rażące błędy i niekonsekwencje w przedstawieniu charakterystyki dawnych ludzi i rzeczy — powtarzano te niesłychane niedorzecz-

ności w rekonstrukcyi bohaterów historii naszej, ich stroju, otoczenia, akcesoryów, architektury, jednym słowem, te wszystkie naiwności w pojęciu i ujęciu, które sprawiły, że rzekome ilustracye dziejów w świetle nauki dzisiejszej wyglądają, jak nieco humorystyczna, rozbrajająca swą prostotą improwizacya maskaradowa.

Już to stosunek Szmuglewicza do samodzielnych badań archeologicznych i historycznych musiał być, mówiąc grzecznie, nadmiernej pedanteryi pozbawiony. Przyjmując od króla Stanisława Poniatowskiego zamówienie na cykl kartonów, ilustrujących dzieje Polski, poszedł snadź po linii najmniejszego oporu i fantazyował sobie przeszłość dość dowolnie. Wytworzył on, dajmy na to, pewien typ kostiumu polskiego, zapewne na zasadzie najbliższych epoce swej skojarzeń i typ ten z małemi nader zmianami stosuje do wszystkich czasów. Równie luźny do sprawy owej stosunek zachował Oleszczyński, a po nim większość „akademików“ polskich, którzy niedokończone dzieło profesora wileńskiego w dalszym ciągu prowadzić postanowili. W obrazach podobnych spotykamy naprzykład stale szlachcica w żupanie i kontuszu, ze łbem zamasyżycie podgolonym, niezależnie od tego, czy rzecz się dzieje na dworze Sasów, Jagiellonów czy Piastów.

Elementarny błąd ten powtarza się uparcie do dnia dzisiejszego. Na urządzonej obecnie w Tow. Zachęty wystawie dzieł, nadesłanych na konkurs „historyczny“, widzimy kompozycyę, przedstawiającą „przyjęcie posłów polskich“ niewątpliwie w Paryżu w r. 1573. Świadczy o tem strój większości osób działających, to jest strój, przypominający kostiumy operowe z „Hugonotów.“ Jednocześnie zaś z kąta obrazu wygląda podgolona głowa szlachcica w kontuszu i żupanie, co znowu żywo przypomina opowieści I. M. P. Chryzostoma Paska. Podobnie jaskrawy anachronizm nieufnie usposabia nawet mniej wyrobionego widza do historyczności utworu. Dzieło rehabilitują niezależnie od tego wartości czysto artystyczne — świetna technika malarska, piękny, soczysty koloryt i kilka głów niezmiernie ciekawych przez dosadną i przenikliwą charakterystykę i ostatecznie... pal licho anachronizmy...

Nie zawsze przecież tak bywa. Utwory, zwłaszcza owych naszych „akademików“ z przed lat kilkadziesiątu, wykazywały zazwyczaj dość podejrzaną historyczność bez równoważników w odpowiednio wysokich zaletach malarskich. Stąd niechęć, jaka wśród artystów następnych pokoleń rozgorzała przeciw malarstwu historycznemu wogóle, zwłaszcza że przedstawiciele rodzaju

tego był legion, a dzieł, w duchu tym poczętych, zaprawdę ilość nadmierna.

Zaznaczyć tu należy, iż przepotęźna twórczość Jana Matejki jest zjawiskiem wyodrębnionem i wyjątkowem. Nie stoi ona, ściśle biorąc, w zależności od linii rozwojowej malarstwa historycznego w Europie, ani nie jest jednym z koniecznych, normalnych etapów w ewolucyi naszej sztuki rodzimej.

Malarstwo historyczne, jako kierunek estetyczny, zrodzony z pewnej doktryny szkolnej, przeżywszy swój okres właściwy, paść musiało pod naciskiem jakiejś nowej doktryny, a raczej zbiegu doktryn przenajróżniejszych, które przyniósł, tak zwany, modernizm. Z kolei w rzeczy porządku odwiecznym zjawić się musiała reakcja, która, jak zazwyczaj bywa, tem gwałtowniej i bezwzględniej przeciw dawnym poglądom wystąpiła, im poglądy owe szerzej w umysłowości ogółu zapuściły były korzenie.

Wystąpiono też niesłychanie gwałtownie przeciw nadużycaniu w malarstwie anegdoty już nie tylko historycznej, ale wszelkiej innej. Pamiętne są homeryczne boje, stoczone ongi na szpaltach czasopism przez zastępy młodego, jakoby rewolucyjnego realizmu, z pretoryańskimi kohortami zachowawczych idealistów. Młodzi bez zastrzeżeń potępili w obrazie wszelką fabułę, wszelką tendencję, wszelką myśl, wszelką ideę bądź to patryotyczną, bądź społeczną czy moralną, wszelką treść, któraby się nie wykladała przez kształt, barwę i światłocień. Uznali oni kategorycznie, że wszelka, jak się mówiło, treść uboczna w obrazie obniża jego wartości czysto malarskie, lub przewagą swoją w oczach najszerszego, nieprzygotowanego do sztuki ogółu, brak owych wartości przysłania, sprowadzając tem samem nieskończone nieporozumienia estetyczne.

W namiętnych tych walkach o światopogląd dostały się też porządne cięgi i Matejce, jako twórcy anegdot historycznych w malarstwie. Matejko wszakże anegdociarzem nie był ani trochę, a wielkość swoją, swoje wyniesienie ponad wszelkie porównania, swoje wyjątkowe stanowisko w sztuce nietylko polskiej i nietylko współczesnej, zawdzięcza właśnie malarstwu historycznemu w jego całości najbardziej integralnej.

Matejko, jako twórca samorzutny i ze wszech miar oryginalny, jako zjawisko wyodrębnione, nie może ponosić odpowiedzialności za to, jakim łożyskiem płynęła malarska twórczość polska przed jego w tej dziedzinie działalnością, ani też za to, jakim, po jego wieloletniej i tak zdumiewającej pracy, popłynię. Nie był on wytworem żadnej szkoły, przedtem istniejącej, ani

sam szkoły nie wytworzył. Nie zostawił uczniów, epigonów, naśladowców, którzyby dzieło jego w dalszym ciągu prowadzili, to jest zdumiewali świat równą potęgą podobnych jemu koncepcji historycznych w malarstwie.

Było to poprostu niemożliwe. W obrazach mistrza krakowskiego zdumiewała nie ich historyczność sama przez się, nie treść uboczna, jakby to określił realista epoki pomatejkowskiej, ale historyczność, przez którą się wyrażał najistotniej geniusz artysty— owa moc niepojęta a szczególna, stanowiąca zasadniczą treść jego talentu, jego idywidualności twórczej.

Tego niestety najulubieńszemu uczniowi, nawet jedynemu wybranemu z wybranych, przekazać niepodobna. Bardzo być może, iż właśnie tak niestychanie bujne, wyolbrzymione, olśniewające zamanifestowanie się genialnej twórczości w zakresie malarstwa historycznego na długo rodzaj ten uczyniło niedostępnym. W Polsce, gdzie tworzył mistrz tej miary, dla ludzi miary mniejszej lub tylko innej, wprost niebezpiecznie było podejmować się utworów, któreby w jakiegokolwiek mierze nastroczały materiały do wniosków porównawczych. W Polsce zatem jaskrawiej, niż gdzieindziej, zaznaczył się zwrot krańcowy w tej dziedzinie.

Po śmierci wielkiego mistrza krakowskiego promienne słońce polskiego malarstwa historycznego zapadło w czarną noc niebytu zgoła bez łagodnych przejść zmierzchu i krwawych blasków zachodu. Zresztą gdzieindziej podobne słońce w czasach nowożytnych nie świeciło nigdy z równą siłą, ale też nie wygaszło równie bezwzględnie. Historyczne malarstwo francuskie posiada dotąd wybitnych przedstawicieli w osobach Jean-Paul Laurens'a i Rochegrosse'a. Niektórzy członkowie angielskiego bractwa pre-rafaelitycznego stale podejmują tematy historyczne, uwzględniając z niestychaną, iście angielską skrupulatnością wyniki najnowszych badań naukowych. Warto się przyjrzeć, z jaką ścisłością w obrazach swoich szczegóły stroju, uzbrojeń, oręża i akcesoryów starożytnych odtwarzają: Madox Brown, J. E. Millais, James Collinson, E. Burne-Jones, W. Bell Scott, W. Fettes Douglas Prinsep, Burton i inni. Świadczy to o gruntownych studyach archeologicznych, jakie podejmują malarze, a świadczy także i o tem, że idea malarstwa historycznego bynajmniej się nie przeżyła i choć przeżył się przesąd co do pewnej w sztuce wyższości hierarchicznej, znajdują się zawsze ludzie, którzy rodzaj ten uprawiają z zamiłowaniem i pożytkiem.

Ma swego Pradillę Hiszpania, mają swoich historyków-malarzy Włochy, Niemcy, Szwecya i inne narody, które też zazwy-

czaj na wszelkich wystawach wszechświatowych mogą wystąpić z jakimś płótnem, odnoszącem się do własnych dziejów.

Co prawda, nowe, ogromnie zróżniczkowane w swych dążeniach kierunki artystyczne, wprowadziły znaczny w poglądach zamęt. Niesłychany, że tak powiem, liberalizm pewnej estetyki rozluźnił w sposób drastyczny stosunek artystów do malarstwa, jako zawodu. Produkcya w tym zakresie stała się łatwa i dla wszystkich dostępna. Rozlała się też szeroko, ale zarazem przerażająco płytko. Spływając leniwie po nizinach, zabiera ze sobą lotne piaski dyletantyzmu, które zamulają sobą niegdyś głębokie i wartkie nurty sztuki prawdziwej.

Ze wszech stron dają się słyszeć utyskiwania na taki stan rzeczy, rodzą się jeden za drugim coraz mniej szczęśliwe plany zaradzenia złemu, to znów ktoś z powagą tragiczną uderza w wielki dzwon na trwogę. *Eau, gaz et... coloriste à tous les étages*—drwi znowu felietonista paryski.

Istotnie—wszyscy dziś malują. Meżatki, wdowy, panny na wydaniu i panny, które o wydaniu się zrozpaczyły, panny dorastające i zgoła niedorośle, chłopczyki w wieku nieskończenie chłopięcym i staruszkowie zgrzybiali, królowie, mężowie stanu, mężowie zdradzani, mężowie zdradzający, dziennikarze, publicyści, poeci, przemysłowcy, bankierzy, lekarze, adwokaci...

W roku zeszłym adwokaci paryscy rzeczywiście urządzili zbiorową wystawę prac swoich... malarskich. Wystawa cieszyła się kolosalnem powodzeniem, znacznie większem podobno niż doroczne salony na polu Marsowem. Z równym skutkiem mogliby swoją wystawę malarską urządzić komiwojażerowie, przekupnie z za Żelaznej Bramy, zamiatacze ulic, froterzy, bo w gruncie rzeczy dlaczegoż między nimi nie miałyby się zdarzyć talenty samorodne, które, jak chce owa estetyka, objawią się tem ciekawiej i artystyczniej, że nie skrępowane żadnym przymusem szkolnym, nie obciążone wielowiekową tradycją naszej zmurszałej cywilizacji, że nie siodłane i nieokiełzane rygorami wymagań zawodowych. Ale inna estetyka ma już dosyć tych śmiałych manifestacji bezpośrednich kolorystów wszelkiego autoramentu i z niejaką tęsknotą ogląda się za dobrą tresurą szkolną i pewnem wysubtelnieniem kulturalnem.

Nie wiem, jakie motywy skłoniły mecenasa Papieskigo do przeznaczenia tysiąca rubli na konkurs malarski, ogłoszony przez komitet Towarzystwa Zachęty w roku zeszłym, wiem natomiast, jak w kołach malarskich konkurs i warunki jego komentowano.

Sensację przedewszystkiem sprawiała ta okoliczność, że miał to być konkurs na obraz historyczny. Dla wielu artystów naszych historyczność owa wydała się szkopułem nie do przebycia, z góry też zwątpili o możliwości swego zwycięstwa na tem polu. Wogóle nie wierzono w powodzenie podobnego turnieju. „Zatruciliśmy — mówili — zmysł kompozycyi historycznej. To już wyszło z mody.“

Jest to niesłuszne. Malarstwo historyczne, jak zresztą każdy inny rodzaj w sztuce, nie jest wynikiem mody, lecz wewnętrznego usposobienia danego artysty, który w tym właśnie, a nie w innym rodzaju, czuje się najlepiej i najpełniej wypowiedzieć potrafi. Było ono wprawdzie dość długo oficjalnym tematem akademickim i wtedy istotnie jako objaw, wynikający z przymusu szkolnego, nosiło na sobie wszystkie owego przymusu cechy znamienne, skoro jednak ustał wszelki pod tym względem nacisk zewnętrzny, malarstwo także zrodzić się może, jako wewnętrzny nakaz twórczy danej organizacyi artystycznej, jako najistotniejszy, najszczerzy wyraz potrzeby estetycznej danego osobnika.

Oczywiście, zjawiska podobnego nie mogą wywołać na żądanie ani umyślne konkursy podniecające, ani celowo obmyślane zachęty, ani programowo prowadzone propagandy. Przyczynia się do tego w pewnej mierze, słusznie tak przez Hipolita Taine'a określony, „stan ogólny,“ to jest pewien nastrój w umysłowości środowiska, niejako przygotowujący odpowiednie podłoże uczuciowe, podatne do uprawy danego rodzaju sztuki.

Ale nie jest to wszakże warunek nieodzowny. Mocne organizacje artystyczne wytwarzają sobie same nastrój potrzebny. Prawdziwe, szczerze malarstwo historyczne jest wynikiem właściwej niektórym jednostkom zadumy o przeszłości. Jednostki takie rodzą się we wszystkich czasach i pod wszystkimi stopniami szerokości i długości geograficznej. Utrzymywać, że czasy obecne nie sprzyjają stanowczo objawieniu się tych skłonności w malarstwie, znaczyłoby to samo, co twierdzić, że minął czas na badania historyczne w nauce, bowiem uczeni nowożytni, zgodnie z duchem epoki, poświęcić się powinni wyłącznie awiatyce, lub poznawaniu ciał radioaktywnych.

Uwagi powyższe nasuwa otwarta obecnie w Towarzystwie Zachęty wystawa prac, na konkurs przez mecenasa Papieskiego ogłoszonego, nadesłanych. Nie o wystawę wprawdzie tu chodzi i nie o konkurs, którego plon, nawiasem mówiąc, jest dosyć ni-  
kły i tylko w nieznaczej mierze historyczny, ale o wpływające z tego źródła idee i poglądy. Z tonu i charakteru rozmów, pro-

wadzonych obecnie w artystycznych i z niemi związanych kołach społeczeństwa naszego, wnoszę, że doprawdy dokładne określenie malarstwa historycznego, jako szczególnego rodzaju artystycznego, jest sprawą bardzo na czasie.

\*

\*

\*

Dosłowne brzmienie regulaminu wspomnianego konkursu jest następujące:

„Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem zgodnie z intencją mecenasa Leona Papieskiego, który zdeponował na ten cel kwotę tysiąca rubli, ogłasza niniejszem konkurs na obraz olejny dowolnych rozmiarów, osnuty na tle, mającem związek z dziejami kultury polskiej w jak najszerszem tego słowa znaczeniu, więc bądź z zakresu nauk, literatury i sztuki, bądź z zapoczątkowań naszych wielkich statystów w dziedzinie urządzeń oświatowych, społecznych lub politycznych.“

„Nagroda pierwsza (ofiarodawcy) rb. 1000.“

„Nagroda druga (Tow. Zach.), rb. 500.“

„Nagrody przyznane będą za dzieła, odznaczające się wybitnemi zaletami artystycznymi.“

„Nagrody nie mogą być dzielone i t. d.“

Jak z powyższego widać, omówienia zadań konkursowych są nader szerokie i, że tak powiemy rozciągliwe. Rzeczywiście nie wyłączają one od współzawodnictwa bardzo wielu rodzajów malarstwa, bo jedynie wybitne zalety artystyczne decydować mają o zwycięstwie.

Jest to słuszne. Nie temat, nie bajka, anegdota, dobre chęci i szlachetne tendencje stanowią o wartości dzieła sztuki, ale właśnie jego zalety artystyczne. Pocóż tedy owe niebezpieczne wyszczególnienie w zastrzeżeniu o tle „mającem związek z *dziejami* kultury polskiej.“ Wielu artystów zrozumiało to jako zupełnie kategoryczne od współzawodników wymaganie historyczności, co ich właśnie od udziału w konkursie odstraszyło.

Nie wszyscy jednak tak redakcyę regulaminu zrozumieli, świadczy o tem okoliczność, że na konkursie znalazły się utwory nie absolutnie z dziejami jakimikolwiek wspólnego nie mające.



Więc przedewszystkiem Stanisława Lenca obraz przedstawiający złożoną z jedenastu osób grupę założycieli Warszawskiego Towarzystwa Naukowego. Jest to niewątpliwie płótno nader cenne ze względu na stanowisko autora, w sztuce polskiej i na stanowisko osób portretowanych w polskiej nauce, obraz jednak z charakteru swego należy do rodzaju, który w dziedzinie sztuki nazywa się portretem zbiorowym. Obraz ten otrzymał pierwszą nagrodę.

Portretem fantastycznym znowu jest Wyszyńskiego utwór pastelowy wyobrażający Słowackiego. Pastelowość owa jednak, jak mierniam zgodnie z regulaminem powinna go postawić poza konkursem bezwzględnie, gdyż warunki konkursowe wyraźnie zastrzegają, że ma to być „obraz olejny.“

Do kategorii obrazów historyczno-rodzajowych należy kompozycja Gramatyki „Inicyaliści.“ Ściśle już historyczne byłyby ze względu na treść, dwa inne jego utwory, gdyby treści odpowiadało historyczne opracowanie.

Historycznym natomiast bez wszelkich zastrzeżeń jest obraz prof. Aksentowicz. „Przyjęcie posłów polskich.“ Jakkolwiek autor uogólniając tytuł dzieła, nadał mu pewne cechy rodzajowości, przecież znaczenie tego momentu dziejowego jest ściśle określone i w przedstawionych na obrazie figurach, możemy domyślać się znanych w historii naszej postaci, jak: z jednej strony króla Henryka Walezyusza, a z drugiej biskupa Poznańskiego Adama Konarskiego, Mikołaja Krzysztofa Radziwiła, Łaskiego, Zborowskiego, Zamoyskiego, Herburtów i tych wszystkich naszych wybitnych statystów, którzy w swej pamiętnej misji do Paryża jeździli. Wprawdzie powołanie na tron księcia Andegaweńskiego, a zwłaszcza smutna jego elekcya, jako źródło i prawzór późniejszej anarchii szlacheckiej i korupcyi wyborczej, jak najzgubniejsze dla narodu i kultury jego skutki mieć mogło, przecież, jak wiadomo, występujący w Paryżu przedstawiciele Polski, zadziwili Francuzów nietylko bogactwem i barwnością swych strojów, ale także wiedzą, wykształceniem, ogładą towarzyską, jednym słowem wysoką swoją kulturą, której paryżanie ówcześni, mogli jeszcze północnym przybyszom zazdrościć.

Tym zapewne motywem kierował się artysta, stojąc z „Polakami Polskimi“ do konkursu na obraz „osnuty na tle, mającym związek z dziejami kultury polskiej w jak najszerszym tego słowa znaczeniu.“

Również wymownym nader wyrazem kultury czy kulturalności polskiej mogą być owi dwaj wytworni, mieszczanie lwow-

scy, paktujący z dzikim watażką kozackim Chmielnickim na obrazie Antoniego Piotrowskiego.

Jak zapewnia nieoceniony historyk tego miasta W. Łoziński, patrycyat lwowski do końca siedemnastego wieku odznaczał się nadzwyczajną dbałością o swoją kulturę umysłową. Kształcono synów w uniwersytetach zagranicznych i nie jeden ze zwykłych kupców stojących za ladą sklepową, mógł poszczycić się tytułem doktora lub magistra. Cóż mówić o tych, którzy rej wiedli w magistracie i skabinacie.

Takich eleganckich, wykształconych, odzianych hiszpańską, czy jak się u nas mówiło, szwedzką modą humanistów, przedstawił artysta w obrazie „Z dziejów Lwowa,“ słusznie sądząc, że malarskie zadokumentowanie obecności tego rodzaju ludzi w Polsce, w wieku XVII, będzie miało związek z dziejami kultury polskiej.

Oczywiście znaczenie obu omówionych wyżej wydarzeń dla dziejów istotnej kultury polskiej, nawet w najszerszym słowa tego znaczeniu może być przedmiotem długich, niewyczerpanych, nigdy nie rozstrzygniętych ostatecznie dyskusji. Ale też stanowczo niepodobna bez dyskusji, odmówić związku z dziejami kultury polskiej, obrazowi Borucińskiego, „Śmierć Warneńczyka.“

Władysław Warneńczyk w dziejach naszych jest niejako usymbolizowaniem tej misji kulturalnej, którą Polska przez wieki spełniała w świecie cywilizowanym, jako przedmurze chrześcijaństwa.

Nie trzeba zapominać, że w owej nieszczęsnej wojnie z półksiężycem, młodociany król Polski, podmówiony przez legata papieskiego Cesariniego, walczył ożywiony duchem krucyatycznym i że pod Warną padł, jako prawy rycerz krzyża.

Z tego stanowiska obraz przedstawiający śmierć bohaterską rycerskiego króla „za wiarę,“ może mieć w treści swej zasadniczą myśl przewodnią nieco inną niż zwykły utwór batalistyczny i że zatem, ze względu na myśl tę wcale nie trudno związać go z dziejami kultury polskiej, czyli przyznać mu wszelkie, stosownie do warunków konkursowych, prawa i przywileje.

Dodać trzeba, że utwór p. Borucińskiego jest pięknie stylizowany w duchu prerafalitecznym i że z tego powodu zajmuje wogóle w malarstwie, a zwłaszcza w malarstwie historycznym, stanowisko zupełnie specyalne.

Pozwoliłem tu sobie na bardzo może pedantyczną klasyfikację utworów malarskich, podług treści, ale uważam to za konieczne dla orientacji. Jeszcze przed kilkunastu laty klasyfikacya

podobna wywoływała wśród wyznawców, owej przyjętej wówczas powszechnie zasady estetycznej, że wszystko jedno, co się maluje, byle się malowało dobrze—głębokie oburzenie. Twierdzono, że malarstwo, mając do rozporządzenia jako jedyne czynniki twórcze kształt i barwę, a za środek zwykłą farbę fabryczną, z jednakową dostojnością wyraża jabłko, czy kartofel, jak głowę świętego lub bohatera. Z tego założenia wychodząc, usuwano ze sztuki hierarchiczność tematów, wbrew właśnie poglądom akademickim, które wszelkie honory i zaszczyty malarstwu historycznemu, względnie religijnemu, przyznawało.

Odrzucając ideę jakiegokolwiek hierarchii w tym zakresie; stwierdzając najbardziej stanowczo, że dobra „martwa natura“ może posiadać stokroć więcej bezwzględnych wartości artystycznych, niż licha kompozycja o najbardziej pretensjonalnej treści, zgodzić się przecież trzeba, że w malarstwie, jak w każdej innej sztuce, istnieją bardzo charakterystycznie, różniące się między sobą rodzaje i że o istnieniu ich w wielu okolicznościach zapomnieć nie podobna. Różnicowanie się objawów sztuki jest naturalnym odpowiednikiem różnicowania się charakterów, temperamentów, humorów i usposobień ludzkich.

Malarstwo historyczne jest odrębnym, posiadającym swoje własne odmienne warunki istnienia, rodzajem artystycznym nie dla tego tylko, że się różni od innych charakterem opowiedzianej „anegdoty,“ ale także i dla tego, że powstaje z innych, bardzo swoistych podniet twórczych, które się znowu zjawiają na tle szczególnych temperamentów, upodobań i predyspozycji psychicznych, a dalej jeszcze dla tego, że wymaga ono zupełnie specjalnych uzdolnień i przygotowań. Poza konieczną, obowiązującą każdego malarza, umiejętnością wyrażenia jak najbardziej ludzaco trójwymiarowej bryły na dwuwymiarowej płaszczyźnie płótna, malarza historycznego obowiązuje jeszcze historomatyka czy, jak to Lelewel nazywa, historyka, to jest sztuka historyczna z jej propedeutyką, heurystyką i historyografią, którą właśnie będzie obraz czy szereg obrazów, wynikający z umiejętnego poznania nauk pomocniczych i umiejętnego z nich korzystania.

Wielki nasz Matejko historomatykę ową posiadał w stopniu bardzo niepospolitym. Umiał on źródeł szukać i metodycznie z nich korzystać. Jak wiadomo wcześniej bardzo, bo między dwudziestym a dwudziestym trzecim rokiem życia przygotował samodzielnie dzieło bezwzględnie ogromnej doniosłości, a dla siebie niesłychanie mocną podstawę w przyszłych kompozycjach. Mówię tu o albumie ubiorów w Polsce.

Stanisław Witkiewicz z powodu dzieła tego czyni następującą uwagę o Matejce: „Jest to jeden z objawów jego olbrzymiej zdolności pracy, a zarazem trwałości i ciągłości, z jaką trzymały się jego umysłu zagadnienia, których urzeczywistnienie stało się raz jednym celem jego życia. Matejki praca artystyczna komplikowała się wskutek tego, że oprócz koniecznych studyów dla rozwinięcia swoich środków artystycznych i technicznych, musiał on jeszcze odbudować kształty życia, które już dawno zaginęły, musiał swoim postaciom nadać formę, której nigdzie nie mógł obserwować na ludziach żywych, w codziennem z nimi obcowaniu. Kształty te jak odciski szkieletów, jak skamieniałe małżowiny lub zwęglone pnie paproci w pokładach geologicznych, pozostały na płytach starych nagrobków, w figurach pomników, w szklach barwnych okien kościelnych, w miniaturach starych kronik, w ocalałych po lamusach starych dworów, strzępach szat starych zbroi i broni, których rdza nie przeżarła. W te skamieniny dawnego życia Matejko musiał włożyć życie duszy i życie ciała, nadać im ruch, wtłoczyć w ich płaskiej powierzchni lub w ich zeszytniałych fałdach ruchliwą formę życia, złączyć je napowrót z żywym ludzkim ciałem i z ich użytkowem przeznaczeniem.“

Tak czynił Matejko, ale też tak mianowicie poczynać sobie musi każdy malarz historyczny, jeżeli na miano to w historii zasłużyć pragnie. Na to trzeba być zaciekłym starożytnikiem, rozumieć język dokumentów dziejowych, ich wymowę, często niedołączną i prostaczą, pełną jednak treści mocnej i dosadnej, trzeba znać osobliwości pierwotnych wyobrażeń ikonograficznych i pod dziwactwem ich formy umieć odnaleźć formy rzeczy prawdziwych—z błędów i nieudolności epok odległych restytuować kształty poprawne, jakich wymaga epoka dzisiejsza.

Zwłaszcza punkt ostatni jest niesłychanie ważnym, a specjalnie dla malarza-historyka, dostępnym polem badań i niezmiernie wdzięcznym źródłem najbardziej wiarogodnych odtworzeń wybitnych postaci historycznych.

Niewątpliwie, owe naiwne, niezgrabne, grube wizerunki książąt i panów wycięte bez wszelkiego pojęcia o poprawności rysunku na starych pieczęciach, monetach, tablicach grobowcowych są jednak dość wiernymi portretami osób, które wyobrażają. Wiemy to z doświadczenia, że wielu ludzi zupełnie nieprzygotowanych artystycznie, potrafi jednak wyrazić podobieństwo wprost uderzające w bardzo nieudolnym rysunku. Jest to sprawą, szcze-

gólniejszego daru wrodzonego—daru, który rozwinięty i wykształcony odpowiednio, tworzy znakomitych portrecistów. Niema racji przypuszczać, ażeby dar podobny nie objawiał się sporadycznie wśród ludzi wszystkich epok. Owszem z świadectw historii wnosić wypada, że artyści tacy zawsze istnieli, bo zadziwiali współczesnych, odtwarzając ich wizerunki „jak żywe.“ Oczywiście książę panujący, szukając majstra, któryby mu wyciął pieczęć majestatyczną, wybierał takiego, który dar ów posiadał w stopniu między współzawodnikami najwyższym. Chodziło wszakże o to, ażeby lud rysy pana swego, na pieczęci lub na monecie wyróżnione poznawał. Podobieństwo zatem, owe uderzające, grube podobieństwo było w tych wypadkach warunkiem nieodzownym. Toż z całą pewnością twierdzić można, że najstarsze nawet, a ztąd, pod względem rysunkowym najbardziej niedołęzne, wizerunki królów, wodzów, dygnitarzy świeckich i kościelnych, na starych pieczęciach, są portretami, w których artysta współczesny uchwycił i wiekom przekazał najbardziej charakterystyczne, najbardziej dla danej osobistości istotne rysy indywidualne. Artysta dzisiejszy, obdarzony szczególniejszą w tym zakresie intuicyą plastyczną, umie portret taki, że tak powiem, odczytać i na język nowożytny przetłómaczyć.

Z czynności tej wyniknie odbudowanie w kształtach dokładnych, do wymagań dzisiejszych środków plastyki odpowiednich, portretu postaci żyjącej w bardzo odległej przeszłości. Że portret taki może być prawdopodobny, więcej powiem — prawdziwy, mówią za tem z niesłychaną siłą przekonania restytucye Matejki. Kto, obdarzony jakim takim zmysłem plastycznym, porównał kiedykolwiek materyały, z których mistrz powoływał do życia bohaterów swych dramatów historycznych, ten nie może nie wierzyć, że wskrzeszenia jego są poprostu cudowne. Zwłaszcza, jeżeli się zdarzyło, że Matejko miał do dyspozycyi kilka jednej i tej samej osoby wizerunków rozmaitych, robionych różnemi czasy i przez różnych mistrzów, wtedy buduje już swoją postać z całą pewnością w najdokładniejszych szczegółach charakterystyki indywidualnej.

Czuć tam wtedy, jak twarde, suche, sztywne, martwe simulacrum średniowiecznego rzemieślnika, pod ręką mistrza obleka się w żywe, tętniące, krwią czerwoną ciało, w jednostkę czującą i myślącą, miotaną potężnemi namiętnościami, żyjącą pełnią szalonego temperamentu, nie tracąc nic absolutnie ze swego zasadniczego, utrwalonego, przed wiekami przez kogoś nieznanego zasadniczego rysu charakterystycznego.

To ten człowiek! Taki musiał mieć nos, oczy, czoło, usta, a przede wszystkim taki, a nie inny wyraz. Majster średniowieczny w portrecie swoim nos nad miarę wydłużył; nie znając skrótów perspektywicznych, wadliwie wyrysował chorągiewki, oczy z tego samego powodu, źle rozmieścił i zbytnio je otworzył, przyczem głowę całą zgniółł, wypaczył, upotwornił, że straciła możliwie ludzkie proporcje. Ale mistrz dzisiejszy, malarz-archeolog, plastyk-historyk zna te błędy; wie z kąd pochodzą, co mają znaczyć, dlaczego w ten a nie inny sposób wypaczają kształty, zmieniają wymiary, psują harmonię konstrukcyjną. On po szeregu żmudnych badań, po przejrzeniu swem przenikliwym okiem malarza, setek pieczęci podobnych z tej epoki, zrozumiał dokładnie, jakie tendencje kierowały dłonią owego majstra cechowego z XIV czy XV wieku, jakie miał przesady, nawyknięcia, a jakie braki w swoim wykształceniu zawodowym, potrafi więc odrzucić plewę błędów i wyłuskać dla swoich celów jędrne ziarno istoty rzeczy. Po tem zaś, panując potężnie nad formą i środkami swej sztuki wysoce wyrobionej, buduje z tych wskazań odległych, głowę harmonijną, prawdziwą, taką, jaką być powinna, jaką była niewątpliwie w rzeczywistości.

Dalej powstaje cała postać. Mistrz przywdziewa ją w szaty, zgodnie ze wskazaniem kronikarzy, pamiętnikarzy, zgodnie z wzorami, które odszukiwał we wszystkich muzeach i bibliotekach europejskich. Wreszcie odnalazł gdzieś kawałek zbutwiałego falendyszu, kęs muchajeru wypłowiałego, i znanymi sobie sposobami docieka ich barwy, z czasów, kiedy jeszcze świeciły całym blaskiem swej świetności.

Pogniecione, potrzaskane, odcisnięte na różnokolorowym wosku, a wiszące u starych pergaminów pieczęcie, fragmenty tablic grobowych, medale i monety, szczątki oręża i ozdób metalowych, to jeszcze materiały obfite do nowych odkryć i nowych rekonstrukcji, nowego malarstwa historycznego. Można się do tego roznamiętnić, jak do każdej innej pracy i nie ubliżając godności malarskiej, zdolności malarskie w tym kierunku wyzyskać z całą pasją odtwarzając w sposób oryginalny i osobisty odwieczne tragedje dziejowe.

„Między Matejką, a tym światem, który on malował—pisze Witkiewicz—leżała nietylko pustka przeszłości, nietylko mrok niepamięci, ale leżało jeszcze coś gorszego:—konwenans złej sztuki, która wszystko, co on zamierzał malować, już przeżyła i, jakby oślinione swoim niedołęstwem, postawiła między wyobraźnią dzisiejszych pokoleń—a przeszłością. Wszystko to Matejko mu-

siał odrzucić i, z krytycyzmem nowoczesnego badacza, z pasją malarza, dążącego do drgającej życiem prawdy, z wyobraźnią wielkich paleontologów, z bezwzględnością wiertnika, prującego ziemię dla zdobycia skarbów, wgryźć się w pokłady kultury, którą czas i zdarzenia roztrąciły w ruinę, rozszarpały na strzępy i zsypały w chaotyczną mogiłę. Matejko musiał własnymi oczami zobaczyć to dawne życie, które zamierzał malować.“

Mogliby dzisiejsi, malarze historyczni z równą słusnością powiedzieć, że między nimi a przeszłością stanął Matejko, ze swojemi potężnemi ewokacyami. Wprawdzie, nie jest to „oślinione niedołęstwem,“ lecz wręcz przeciwnie, wyolbrzymione genialnością wielkiego mistrza, nie mniej przecież, dla tego właśnie, że tak wyolbrzymione, przesłania sobą owe dalekie horyzonty.

Niepodobna dziś patrzeć oczami Matejki, a ktoś ktoby owe dawne życie zapragnął malować, musiałby je jak on, zobaczyć własnymi oczami.

Wtedy powstałoby nowe malarstwo historyczne. Nie wywoła go oczywiście konkurs, choćby najponętniejszy, ale zaiste zjawisko samo nie jest bynajmniej z granic możliwości usunięte.

A skoroby się istotnie zjawilo kiedyś piękne jego światło na horyzoncie sztuki polskiej, sądzę, że należałoby je nazwać po imieniu szczerze i prosto.

Myślę, że właśnie pewna wstydlivość, podyktowała w redakcyi warunków konkursu omówienia, które się stały przyczyną wielu nieporozumień.

T. JAROSZYŃSKI.

# Kuch literacki we Francyi.

## POWIEŚĆ.

(J. J. Tharand. — A. de Châteaubriant. — M. A. Leblond. — Cl. Farrère. — Robert Randau.)

„Do czego służy powieść, jeżeli nie jest zabawną?“ Na to pytanie, zawierające dość powszechnie przyjętą opinię, daje odpowiedź Maurycy Barrès w swym nader zajmującym artykule, poświęconym rozbirowi powieści Jana i Hieronima *Tharaud*, p. t.

„La Maîtresse servante.“

„Bawić, zabawa, zabawny, — mówi znakomity pisarz francuski — nie znam wyrazów bardziej podejrzanych. Co to wszystko ściśle znaczy? W życiu widziałem zawsze, że poza obietnicą zabawy kryje się nieznośny przymus. Niech was Bóg chroni od „zabawnych“ dzienników, gier zabawnych i wogóle od wszelkich dni zabawy! Wolę szeroką i spokojną nudę.“

„Opowiadanie powieściowe, powieść, jest to dla mnie wrażenie, otrzymane przez świadomość, przez wyobraźnię, przez ludzką istotę, którego ta mi udziela; to dusza, która myśli, która daje mi wzruszenie, uczucie, jakich sama doznała od faktu. Idzie o to, by autor doznawał wzruszenia i dał mi je odczuć; trzeba, by wprawił mię w usposobienie, w jakim sam się znajduje, by mi pozwolił wziąć udział w swej duszy, w stanie swego geniuszu. Niech użyje sposobu, jaki mu się podoba, ale trzeba by zawładnął mem sercem lub mą wyobraźnią, aby mię podniósł do wysokości, do jakiej sam wznieść się jest zdolny.“

„Są tysiące rodzajów powieści. Jedne malują obyczaje jakiegoś społeczeństwa lub jaki typ wyjątkowy; inne wykładają nam pewną doktrynę; inne jeszcze wzniecają w nas miłość lub



nienawiść do jakiegoś ideału. Wszystkie rodzaje umysłu, wszelkie ambicje pisarskie znalazły w powieści nieporównany środek wyrazu. Co do mnie, żądam od niej, by nie zwracała się tylko do mego rozumu, lecz żeby była iskrą, tryskającą z zetknięcia mej wrażliwości głębokiej z mem najbardziej przenikliwym doświadczeniem. I wtedy tylko jestem zadowolony, gdy myśl, którą sprawdziłem, którą uważam jako prawdę, porusza się we wnętrzu mej istoty, pod wpływem długich, mnie samemu nieświadomych starań i gdy idzie mi do serca, jak uczucie, gotowe stać się pieśnią. Ale, jakiegokolwiek miałyby się pojęcie o powieści, celem jej, zawsze jednakowym, będzie rozszerzyć duszę.“

I tak też rzecz się ma z powieścią braci Tharaud. Zabawną ona nie jest, śmiechu ani wesołości nie wzbudzi, ale daje, przy ograniczonej do minimum fabule i akcji powieściowej, nadzwyczaj ciekawie zaobserwowaną charakterystykę całej zanikającej obecnie we Francyi grupy społecznej — szlachty wiejskiej, która, zwłaszcza w pewnych prowincjach, trzyma się dotąd ziemi swych przodków, zamieszkując w coraz bardziej ścieśnionych warunkach, dość gęsto spotykane w tych okolicach dwory. I charakterystyka ta znajduje wyraz sama przez się, służąc za tło dla nader szczupłego przy swej szczególności epizodu, który stanowi osnowę tego utworu.

Ale to wszystko razem ukazują autorowie nie z zewnątrz, jako obraz życia roztoczony przed czytelnikiem, lecz z wewnątrz poprzez pryzmat wrażliwości osoby, grającej w tym epizodzie rolę główną.

W ten sposób dramat życiowy przedstawia się nam tutaj pod pewnym kątem subiektywnym. Ale subiektywizm to sui generis, wymagający od autora zupełnego wczucia się w duszę i umysłowość zaobserwowanej przez się postaci, a zatem zapomnienia i wyrzeczenia się uczuć i sądów własnych. Z tego też względu bracia Tharaud przypominają zarazem wielkich obserwatorów, jak Balzak i Flaubert, i analistów, jak Benjamin Constant lub Fromentin. Urobione pod wpływem tych mistrzów francuskiego romansu właściwości te, bracia Tharaud, znani dotąd tylko z nagrodzonej lat temu kilka na konkursie Goncourtów powieści p. t. „Dingley, le grand ecrivain,“ oraz nowelek, charakteryzujących życie prowincjonalne i obyczaje tejże szlachty wiejskiej, doprowadzają w swym ostatnim utworze „La Maitresse servante“ do prawdziwej doskonałości tak w oddaniu głębokiej prawdy uczuć, jak i w uderzającej trafności zaobserwowanych rysów, oraz w wysokiej równowadze trzeźwości i jasności stylu. Przy trakto-

waniu przedmiotu ściśle realistycznym, niema tu nic z drobiazgowej szczegółowości naturalizmu.

Treść anegdoty poznajemy z opowiadania samego jej głównego bohatera, rodzaju spowiedzi, rzutu oka wstecz, na całą przeszłość, z wypełniającemi ją wydarzeniami, ukazującemi się w oświetleniu motywów wewnętrznych, które były ich powodem lub na rozwój ich wpływ swój wywarły. W formie tej autorowie nie tłumaczą, nie pokazują wszystkiego, lecz pozostawiają czytelnikowi szerokie pole jego własnemu poczuciu lub uczuciu, które poruszywszy z pewnej strony, nadają mu impuls w pożądanym przez się kierunku. Zobaczmy, jak w krótkich słowach potrafią oni niezmiernie obrazowo wydatnić pewne rysy charakterystyczne sfery, której badaniu poświęcili się ze szczególną predylekcyą.

„Wszędzie widzi się tam (na pograniczu prowincyi Limousin i Périgord), w przejeździe, poza naszymi drzewami, na naszych wzgórzach, obszerne budynki folwarczne z gołębnikiem, rudere, opatrzoną wieżyczkami. Wiele z tych starych budowli służy obecnie za śpichrz lub stodołę, jeśli nie stały się przytułkiem dla nocnego ptactwa. Dręczeni żądzą z bogacenia się, panowie zrobili to samo, co ich dzierżawcy—wynieśli się i oni również do miasta, gdzie najchętniej przyjmują te zajęcia wędrowne, agentów ubezpieczeń, przedstawicieli fabryk automobilów, które mają coś z charakteru polowania i gry i każą im żyć w kawiarni. Ci, którzy pozostają, którzy pędzą jeszcze żywot pośród naszych płotów, obsadzonych dębami, nadają cechę okolicy, czynią z niej kraj od-rębny, archaiczny i bajeczny. Wszyscy niemal prowadzą oni życie wiejskiej cyganeryi. Gdy sprzedali bydło, zboże lub drzewo, jadą na hulankę do Périgueux albo do Limoges, co trwa dopóty, dopóki starczy pieniędzy. Poczem powracają do domu, gdzie żyją cały rok jarzynami i drobiem lub zwierzyną w czasie polowania. Oto prawdziwy nasz szlachcic wiejski.“<sup>1)</sup> Ale obraz, ukazujący w licznych szczegółach rodzaj życia tych ziemian, prze-ważnie zubożałych, staje się widocznym wśród wydarzeń dziwnego dramatu rodzinnego, zbyt zapewne wyjątkowego, by nie miał być historią prawdziwą, w tym celu przez autorów użytą. Obok tych ogólnych rysów obyczajowych, ów dramat rodzinny zawiera historię indywidualną jednego z przedstawicieli tej klasy, który, wyróżniając się znacznie wśród niej, posiada jednak

<sup>1)</sup> Hobereau.

dość cech wspólnych, by go można uznać za postać do pewnego stopnia typową.

Autorowie odsłaniają mechanizm wewnętrzny tego człowieka, który zużył się w walce z własną naturą, w sprzeciwianiu się swym istotnym dążeniom, w uprzykrzeniu życia sobie i drugim dlatego tylko, że ani drugich, ani siebie samego—swej istoty głębszej nie potrafił zrozumieć ni odczuć, aż do chwili, gdy po niewczasie otworzyły mu się oczy po to tylko, by stwierdzić skutki popełnionych błędów, bez możliwości ich naprawienia, i wynikłą stąd gorzycz i pustkę serca. Należy on, według słów Barresa, „bardzo wyraźnie, z całego swego wzięcia, do klasy ludzi wolnych, istot nie ujarzmionych, których jednakże nowożytna cywilizacya okiełznała i których krępuje i wykrzywia.“

Po dzieciństwie bezwzględnie wolnem i szczęśliwem, spędzonym na łonie natury, i późniejszej niewoli szkolnej, granicząca ze swawolą, pozbawiona wszelkiej kontroli niezależność życia studenckiego w stolicy pociągnęła go bardzo silnie. Świetność wielkomijska, z którą zresztą, jako obcy, szczupłych środków młodzieniec, wiele styczności nie miał, olśniła go swym mylnym urokiem, otaczając, jak mu się zdawało, jego własną osobę pewną aureolą. Pod wpływem tego, powrót do wiejskiego zacisza domowego musiał mu się wydać niepodobieństwem. To też, pomimo nieustannych wezwań matki, na którą po śmierci ojca spadł cały ciężar zarządu majątkiem, postanowił do domu nie wracać. Dopiero okoliczność śmierci starego ekonoma, bez którego matka nie mogła sobie dać rady z gospodarstwem, zmusiła go do zmiany tego postanowienia. Jeżeli z początku nie łatwo mu przyszło pogodzić się z tą myślą, to jednak, po raz powziętej decyzji, spostrzegł bardzo szybko, że naprawdę niema czego żałować, że był tu niczem, gdy w swym zakątku prowincjonalnym ma z natury rzeczy, jako dziedzic, stanowisko pierwszorzędne; że nic tu poza sobą nie zostawia, bo nawet swą metresę Mariettę zabierze do siebie na wieś i osadzi w domu, zajmowanym poprzednio przez ekonoma, nie bacząc na zgorzenie, jakie to wywołać musi w okolicy i na opozycję matki, która naturalnie się temu sprzeciwiła. Wszelki opór, jakiego doznał z tego powodu, utrwalił go tylko w tym szczególnym zamiarze, który też, bez względu na nic i na nikogo, do skutku doprowadził, pomimo nawet perswazyi samej Marietty, rozumiejącej fałszywość tego położenia, ale zbyt słabej i nadto przywiązanej, by oprzeć się skutecznie woli przyjaciela. Matka, której chodziło przedewszystkiem o to, by ściągnąć syna do domu, w obawie, aby się nie rozmyślił, przystała w końcu na

ten ubliżający dla siebie warunek, zapewne z ukrytą nadzieją, że znajdzie na to sposób. I rzeczywiście znalazła go, zamieniając potrochu, przy pomocy zręcznych zabiegów, biedną Mariettę na swą służącą, by tem odstręczyć od niej syna.

Pomimo scen, jakie to wywołuje ze strony tegoż, wytrwałość jej zwycięża, do czego przyczynia się zresztą głównie fakt, iż sprowadzenie Marietty było z jego strony raczej skutkiem kaprysu, brawury i uporu w pogardzie dla opinii, aniżeli istotnych uczuć głębszych. To też, po przemienieniu pierwszego gniewu, zamyka on oczy na to, co się dzieje, czując, iż wskutek tego zwolni od przymusu i skrepowania siebie i nieszczęsną Mariettę, której życie samotne zaczyna być nieznośnem, tem bardziej, iż zdaje sobie sprawę z obojętności kochanka i opuszczenia, w jakim ją pozostawia. Ale Marietta, cierpiąc nad tem, w swem do niego przywiązaniu, woli raczej zostać służącą jego matki, i żyć bądź co bądź w jego blizkiem otoczeniu, pomimo istotnego rozłączenia, jakie to sprowadzić musi, aniżeli rozstać się z nim raz na zawsze i nigdy więcej go nie zobaczyć, jak gdyby rozdzieliła ich śmierć. I to jest pierwszy tryumf matki. Ale na tem ona nie poprzestaje, chce zwycięstw swemu zapewnić trwałość, zagrozić synowi drogę odwrotu, i w tym celu, przy pomocy pewnej dalekiej krewnej, sparaliżowanej, dokonywującej żywota w klasztorze w Périgueux, której specjalnem zajęciem jest kojarzenie małżeństw, znajduje mu żonę w domu szlacheckim z dalszej okolicy, gdzie jego skandaliczna historia nie jest znana. Marietta zostaje wyprawiona do pobliskiego miasteczka. Tu jednak nie kończą się utrapienia biednej matki, bo będąc przyzwyczajoną do absolutnych rządów domowych, wchodzi bardzo prędko w zatarg z synową, dobrą i kochającą, ale która chce też być panią w domu męża i zatarg ten dochodzi do punktu najwyższego, gdy ta dowiaduje się o Mariecie, do której w swych żalach obecnych zwróciła się jej teściowa i odwiedza ją w miasteczku. Wynika stąd wielka scena w rodzinie. Synowa chce wracać do domu swego ojca, ale powoli daje się przekonać i udobruchać, bo kocha męża. Kończy się to na zupełnem ustąpieniu z domowego królestwa matki, która, nie mogąc scierpieć panowania innej, wynosi się do drugiego folwarku. Ale ta abdykacja kosztuje ją niezmiernie. Czując postępy starości i potrzebę wyręczenia się oraz towarzysztwa na tem wygnaniu, sprowadza sobie Mariettę, która dziwnem zrządzeniem losu z utrzymanki syna staje się już nietylko służącą, ale prawą ręką i powiernicą matki i do tego stopnia zyskuje łaski staruszki, iż ta zapewnia jej testamentem miejsce we włas-

nym grobie, co zresztą później cofa, zapewne z powodu poczucia hierarchii, ale wzamian za ten zaszczyt pośmiertny zapisuje jej ów folwark. W chwili, gdy bohater tej powieści opowiada wszystkie wydarzenia swego życia, Marietta, która zamknęła oczy swej pani, jest właścicielką folwarku, pilnie zabiegającą około gospodarstwa, poza czem nic ją już teraz nie obchodzi. Stosunek ich, gdy się niekiedy z konieczności spotykają, jest też taki, jak gdyby nigdy nic bliższego ich nie łączyło.

Zona jego umarła przedwcześnie i teraz sam jeden, czuje on dopiero całą wartość przywiązania, jakim go otaczano, a którego cenić nie umiał. To też, pomimo ciemnych barw, w jakich widzi życie i ludzi, zakończy swoją spowiedź tym krzykiem serca: „Ile życzliwości skłaniało się nad mą głową! Jaka obfitość uczucia znajduje się wszędzie w życiu! Sądzę, że gdyby każdy obejrzał się w koło siebie toby się zdumiał, iż tyle istot przywiązywało do jego osoby tak wielką wagę“. I w tych jego słowach, brzmiących oskarżeniem siebie samego, oddaje on zarazem sprawiedliwość naturze ludzkiej, której miłość jest odkupieniem.

Taka jest treść anegdotyczna powieści „La Maitresse servante.“ Wszystko to, opowiedziane przez człowieka zgorzkniałego, rozczarowanego, który, wyznając własne błędy i zawody, czyni do pewnego stopnia odpowiedzialnym za nie całe swe otoczenie, przedstawia charakterystykę typów i stosunków raczej ze strony ujemnej. Ale w tej surowej krytyce własnej sfery daje się odczuć rozmyślna przesada pesymizmu, podobna do tej, jaką się spotyka u ludzi, znajdujących jakieś gorzkie zadowolenie w oskarżaniu samych siebie. Uwydatnienie stron ujemnych nie wyklucza tu dodatnich, lecz je pozostawia w cieniu, dając czytelnikowi możność dopełniania istotnej całości na podstawie rysów, ukazanych i podkreślonych z niezmiernie plastyczną siłą.

Razem wzięwszy, rzecz ta jest nacechowana tradycjonalizmem. Autorowie odczuwają wybornie życie prowincyi i, pomimo krytyki obyczajów, odnoszą się z wielką sympatją do tych zwłaszcza jego objawów, w których odbija się najsilniej charakter atawistyczny, łączący pokolenia dzisiejsze z minionymi. Stopniowy zanik szlachty ziemiańskiej jako oddzielnej kategorii społecznej i jej wady, zanik ten przyśpieszające, konstatuja oni nie z zadowoleniem rewolucjonistów, lecz z żalem, że prowincya zatracca wskutek tego jedną ze swych cech najbardziej charakterystycznych.

Bracia Tharaud są nie mniej czuli na piękno przyrody, to też z prawdziwym artyzmem umieją oni wywołać w kilku rysach zasadniczych żywe i barwne obrazy widoków i scen wiejskich,

roztaczających się na jej tle—polowań, dożynek, obrzędów religijnych i wielu innych szczegółów z życia szlachty i ludu wiejskiego i czynią to bez długich i pretensjonalnych opisów, jednym trafnym określeniem dając odczuć ich nastrój lub znaczenie głębsze. Za przykład niechaj posłuży ustęp o niedzieli Kwietniej (Palmowej): „Więcej jeszcze niż Boże Narodzenie lub Wielkanoc, niedziela Kwietnia jest na wsi wielkiem świętem. W dniu tym procesya okrąży kościół. Niema nic tak miłego, tak pełnego wdzięku, jak ta przechadzka drobnym krokiem wzdłuż murów, które otaczają cmentarz. Z poświęconą różdżką w rękę kraży się pośród cierni i okrytych już pączkami gałęzi, które zawadzają w przejściu. W miarę zbliżania się do szeregu swych mogił, chłopci opuszczają pochód, by pójść pomodlić się za umarłych. Tu i ówdzie czepki pochylają się nad żałobnymi ogródkami. Woń kadzidła, wosku i bukszpanu miesza się z zapachem łąk. Dookoła ciągną się pola, takie puste, takie ciche w niedzielę, które głosy i śpiewy czynią pustszemi jeszcze i bardziej milczącemi.“

Tę samą sferę szlachty ziemiańskiej przedstawia powieść młodego autora, *Alfonsa de Châteaubriant*, pierwszy i nagrodzony na ostatnim konkursie Akademii Goncourtów jego utwór p. t. „Monsieur des Lourdines.“ Ale tu autor cofa się o siedemdziesiąt lat wstecz, dzieło jego nie ma zatem tego znaczenia dokumentu współczesnego, jak „La Maitresse servante.“ „Monsieur des Lourdines,“ to również portret duchowy szlachcica ziemianina z r. 1840 i zarazem obraz ówczesnego życia i stosunków wiejskich, na którego tle rozgrywa się dramat rodzinny—utwór o tendencyach tradycjonalistycznych, napisany bez żadnej sztuki, ale swą chwytającą szczerością, głębokiem odczuciem natury ludzkiej i przyrody wywierający bardzo silne wrażenie.

Jest to historia smutna, bolesna nawet, serca szlachetnego, nie znajdującego oddźwięku tam właśnie, gdzie umieściło wszystkie skarby swego najczystsze uczucia, a zarazem obraz dobrowolnej ruiny rodów szlacheckich, których potomkowie, jakby w obłądnie samobójczym, dokładają wszelkich starań, by zniszczyć własne gniazdo i co zatem idzie całe swe znaczenie społeczne i stanowisko w narodzie. Jedną z cech tej powieści jest miłość przyrody, pojęta na sposób pokrewny sentymentalizmowi Jana Jakóba Rousseau lub Bernardina de Saint-Pierre, która wszakże nie sprzeciwia się tu, lecz łączy ściśle z uczuciem przywiązania do ziemi ojczystej, pochodzącem z innego źródła—nie z uczuciowości sztucznej, nakazującej nam widzieć w świecie roślinnym i nieożywionym istoty zdolne nam współczuć, lecz z tradycyi, która wiąże jakiś zakątek świata zewnętrznego z naszymi

wspomnieniami osobistemi i wspomnieniami naszych przodków, którzy pozostawili tu ślady swego bytu i swej czynności. Te to wspomnienia, więcej niż piękno przyrody, sprawiają, iż zakątek taki jest nam drogi, co też powiększa jeszcze poczucie własności, nie z powodów wyłącznie utylitarnych, ale dlatego, że co jest własne, to tem samem jest z nami najbliżiej związane i z konieczności bierze bliższy udział w naszym życiu, niżeli to, co do nas nie należy.

U pana des Lourdines, bohatera powieści, która nasuwa nam te uwagi, te dwa sposoby odczuwania natury godzą się zupełnie, i wiążą go węzłem tem ściślejszym z dziedzictwem przodków, obszernemi włościami, których za żadne skarby by nie opuścił. Ta łączność dwóch sprzecznych światopoglądów, objawiająca się tu zresztą nie w ideach, lecz w uczuciach indywidualizmu i tradycjonalizmu, łatwo się zresztą tłumaczy u niego tem, że będąc, jako potomek zdawna osiadłego szlacheckiego rodu, tradycjonalistą z urodzenia, ujrzał świat ten pod koniec wieku XVIII-go, a więc należał do pokolenia, które wychowało się wśród świeżych jeszcze wpływów genewskiego ideologa i dojrzało w chwili, gdy te dosięgły w romantyzmie swego wyrazu najwyższego. To też postać pana des Lourdines ma w sobie wiele cech romantycznych, prócz jednej w każdym razie—egoizmu. Jest to dusza nadszła, przesadnie delikatna i dlatego zamknięta w sobie, jak najmniej ujawniająca się na zewnątrz z obawy urażenia się, a bardziej jeszcze — urażenia drugich; natomiast zawsze gotowa do poświęcenia, w sposób tak dyskretny, że ci, którzy zeń korzystają, nie domyślają się go nawet, a więc i nie cenią. Dusza z gruntu uczciwa i szlachetna, sama w ciocie niewzruszona, ale nie dość silna, by prowadzić, stawić czoło i zwyciężyć. Dusza kochająca, która przepelniające ją uczucia musi ukrywać. Dusza artysty, która z tego nadmiaru uczuć dobywa piękno, upaja się niem w samotności i szuka w niem pociechy, jak pijak w trunku. Pan des Lourdines wychował się prawie samopas, w pierwszych latach swego dzieciństwa, na folwarku u jednego z dzierżawców ojca, podczas gdy rodzice jego byli na emigracyi. Wtedy to w wieku, gdy pierwsze, a więc najsilniejsze wrażenia utrwalają się na całe życie, żył się on na zawsze z ziemią i przyrodą, którą poznał w niezliczonych jej szczegółach. Zaraz też, po przejściu nauk szkolnych, powrócił do odziedziczonego już, bo rodziców utracił, majątku, złożonego z kilku pięknych folwarków i obszarów leśnych. Tu osiadł w starym dworze pańskim i oddał się wyłącznie zajęciom gospodarskim i życiu w blizkiej styczności

z naturą. Po paru latach takiej pustelni ożenił się z panną z dobrego domu, która obdarzyła go synem. Syn ten, imieniem Antym, jednak, stał się okiem w głowie rodziców, a był dla nich jednym z cudów świata. To też niczego nie umiano mu odmówić. Chłopak stał się wkrótce małym despota, nie znającym innego prawa, prócz swej zachcianki i nadużywał swych przywilejów, bo rodzice nie potrafili mu nic zganić, licząc na dobrą naturę, która to wszystko naprawi. Rzecz prosta, że w tych warunkach daleko więcej okazywał pasyi do koni, których miał, ile chciał, niż do nauk.

Po ich byle jakim ukończeniu, rodzice pragnęli zatrzymać go przy sobie na wsi, ale Antym uparł się pojechać do Paryża, aby poznać życie światowe, skąd po paru latach powrócił z długiem 250 tysięcy franków do uregulowania, który zaciągnął, pomimo nader dostatniej pensyi, pobieranej z domu.

Pan des Lourdines wpadł w wielki gniew—po raz pierwszy widziano go w uniesieniu, ale dług zapłacił, w nadziei, że teraz wreszcie syn zostanie w domu. Ten wszakże, pod pozorem, iż się obraził na ojca, odjechał do Paryża, zapowiadawszy, że więcej nie wróci. Wprawdzie pan des Lourdines miał sposób zatrzymania go i ukrócenia jego fantazy—nie dać pieniędzy. Ale na użycie tego sposobu nie mógł się zdobyć—zdawało mu się, że byłoby to z jego strony niegodnem nadużyciem i zresztą obawiał się gorszych jeszcze tego następstw. Odtąd więc stosunek jego do syna ograniczał się do dostarczania mu w określonych terminach pieniędzy. Poza tem Antym dotrzymał słowa — od lat całych już się nie pokazał i nie dawał żadnego znaku życia. Rodzice zasłyszeli coś o nim od czasu do czasu tylko przez trzecie osoby lub we wzmiankach gazet o powodzeniu jego koni wyścigowych. Prócz tego scena ta pomiędzy ojcem i synem przyprawiła panią des Lourdines o atak, który pozostawił ją odtąd nawpół sparaliżowaną. Oboje oni cierpieli głęboko w duszy nad tą niewdzięcznością jedynaka, ale nie wspominali o nim nigdy, aby nie poruszać sobie wzajemnie tej bolesnej rany serca. Nadto pani des Lourdines stała się w tej chorobie niezmiernie despotyczną i drażliwą tak, iż nawet obecności męża nie zawsze dłużej mogła znieść—jedna tylko ze służebnych potrafiła jej dogodzić i ta jedynie miała jej łaski. To też w tych warunkach nawet przed tą, która w duszy dzieliła jego smutek, nie mógł się on wynurzyć, i z czasem, wiedząc, że obecność jego w pokoju, z którego nigdy nie wychodziła, niecierpliwiła ją często, ograniczył przebywanie u niej do minimum, t. j. do krótkich odwiedzin zrana i wieczorem.



Niekiedy kaprys jej zmuszał go do przykrych ustępstw z własnych upodobań, jak np.: gdy kazała ściąć starego wiąza, który zasłaniał widok z okna jej pokoju. Tu, po raz pierwszy w życiu, pan des Lourdines starał się oprzeć w sposób zresztą najbardziej delikatny jej życzeniu, ale bezskutecznie, bo chora popadła zaraz w rozdrażnienie, że śmia się sprzeciwiać jej woli, i biedak, który to drzewo, zdolne żyć jeszcze wieki, uważał za swego osobistego przyjaciela, musiał pokierować jego egzekucją. Od tej to właśnie sceny ścinania owego wiąza zaczyna się powieść. Autor prowadzi nas następnie wraz ze swym bohaterem w pole, do folwarków, a zwłaszcza do lasu, gdzie ten czuje się najbardziej w swoim żywiole, który przebiega pieszo sam jeden, zdala od ludzi, zbierając grzyby, do czego mu dopomaga tresowany umyślnie w tym celu pies, bo pan des Lourdines nie poluje, zapewne dlatego, że żalby mu było zabić żywe stworzenie, jeżeli uszkodzenie rośliny boli go, jak krzywda, wyrządzona żywej istocie. Towarzystwo drzew jest mu miłsze, niż towarzystwo ludzkie, a z pośród ludzi, woli ludzi prostych, jako bliższych tej umiłowanej natury, a więc w jego przekonaniu szczerzych, lepszych. Z nimi też głównie przestaje i ma to szczęście, dzięki pewnemu optymizmowi autora na tym punkcie, iż jest otoczony ludźmi przeważnie dobrymi, którzy go cenią i szanują, jako pana ludzkiego, sprawiedliwego i przystępnego.

W pamiętnym dniu ściecia wiązu, po odbyciu takiej kilkogodzinnej przechadzki, pan des Lourdines poszedł o zwykłej porze odwiedzić żonę, bardzo właśnie zajętą układaniem spisu sprawunków, po które woźnica miał jechać do Tours przed wschodem słońca, z powodu dużej odległości, jaka dzieliła ich majątek od tego miasta. Szczególnie zaś chodziło jej o to, ponieważ był to dzień targowy, by kupiono krowę taką, jaką sobie życzyła—czernono-graniastą, bo te, które były na miejscu, nie dawały dość mleka. Na kupno tej krowy kładła szczególny nacisk, z manią osoby chorej, która do swych zachcianek przywiązuje szczególną wagę, i poleciła powierzyć tę czynność najwięcej zaufanemu z pośród dworskich parobków. Ściecie wiązu wprawiło ją przytem w wyjątkowo dobry humor. Zmysł praktyczny nie dozwalał jej podzielać roślinnych sympatii męża, to też z wielkiem ożywieniem wyrażała mu swe zadowolenie z powodu usunięcia tego drzewa i tłumaczyła odniesione stąd korzyści, nie zdając sobie nawet sprawy, w swym najwnym egoizmie, że mu tem robi przykrość.

Wśród rozmowy pani des Lourdines przypomniała sobie, że ma dla niego list, który przyniesiono z poczty w czasie jego nie-

obecności, doręczyła go więc teraz mężowi, jak rzecz obojętną, nie przestając mówić o sprawach domowych, które w warunkach życia, jakie prowadziła, były jej światem.

Pan des Lourdines spojrzął na kopertę i widząc pismo sobie nieznaną, wsunął list do kieszeni i wkrótce o nim zapomniał. Po pewnym czasie, pożegnawszy żonę i czując się usposobionym melancholijnie, wziął skrzypce, w których, w chwilach silniejszych wzruszeń, smutku i tęsknoty, szukał zwykle pociechy i ukojenia. Nie będąc skończonym wirtuozem, miał on wielkie poczucie harmonii i umiał w chwilach natchnienia dobyć ze strun czarodziejskiego instrumentu przedziwne, chwytające za serce tony. Dawniej, żona lubiła go słyszeć, ale od czasu choroby, muzyka działała jej na nerwy tak, iż, chcąc zagrać, musiał szukać schroniska, skąd dźwięki nie dochodziłyby do jej pokoju. Schronisko takie znalazł pan des Lourdines w sali, która niegdyś służyła za kaplicę, najbardziej oddalonej i oddzielonej częścią niezamieszkałą zbyt obszernego dla nich dwojga domu. Tam więc poszedł i tym razem, by w długiej, natchnionej improwizacji ulżyć wezbranemu sercu. Poczem uspokojony, jakoby odrodzony po tem uzewnętrznieniu tłoczących go uczuć, których nie miał komu powierzyć, udał się już o późnej godzinie na spoczynek.

Wtedy to przypomniał sobie o liście, który miał w kieszeni i zabrał się do odczytania go, bez pośpiechu, bez ciekawości, w przekonaniu, że może to być tylko coś obojętnego. Tymczasem, w miarę czytania, nogi zaczęły się chwiać pod nim, wiadomość, którą tu znalazł, była tak niespodziana, iż spadła nań, jak grom z jasnego nieba. Oto bankier jakiś pisze do niego z żądaniem zwrotu pożyczonych jego synowi w różnych okolicznościach sum, które razem składają się na piękną cyfrę—600 tysięcy franków! To ruina! Ale pan des Lourdines nie chce wierzyć w możliwość czegoś tak potwornego. Natychmiast przyszła mu myśl, której się czepił, jak ostatniej deski ratunku. W Tours ma on dalekiego krewnego, który zajmuje wysokie stanowisko w sądownictwie. Od niego zasięgnie rady, on mu dopomoże, wskaże sposób wyjścia, bo z pewnością jest to sztuka lichwiarska, oszustwo, próba wyzysku.

Aby nie alarmować żony swym nagłym wyjazdem, pan des Lourdines powiadamia ją bilecikiem, dając do tego zmyślony powód, bo za wszelką cenę trzeba oszczędzić jej tej wiadomości, i, nie czekając dnia, jedzie do Tours. Niestety, rozmowa z kuzynem utwierdziła go tylko w przekonaniu, że chociaż niewątpliwie jest tu wyzysk lichwiarski, jednakże wobec legalnych dowo-

dów, syn jego jest za tę sumę odpowiedzialny i, co gorsza, posiadanie tajni wyścigowej, mającej według prawa charakter przedsiębiorstwa handlowego, grozi mu, w razie niewypłacalności, więzieniem. I niema na to żadnej rady. Pan des Lourdines nie waha się ani chwili. Pomimo całej niegodziwości syna, nie dopuści tej hańby na swe nazwisko i dług zapłaci.

Natychmiast tedy poleca notaryuszowi sprzedaż swych dóbr, po których ocenie wypada, iż pozostanie z tego wszystkiego drobny folwarczek, mogący dać rocznego dochodu najwyżej 3 tysiące franków. W jednej chwili z człowieka bogatego staje się on, dzięki ukochanemu jedynekowi, biedakiem — z fortuny pańskiej, pozostaje mu chłopska zagroda. Gdybyż jeszcze chodziło o niego samego! Tak mało mu potrzeba. Ale pani des Lourdines tego nie przeżyje.

A Antym? Dla niego będzie to ze wszechmiar zasłużoną, ale najcięższą karą, bo on, młody, ma całe życie przed sobą, przyzwyczajony do zbytku i pańskości, w jaki sposób potrafi się zastosować do warunków, które sam wytworzył? Tymczasem pan des Lourdines w swem rozdrażnieniu tracąc właściwą miarę, zabrania kupna owej krowy, o którą tak chodziło jego żonie, w przekonaniu, że obecnie jest to zbytek, na który nie może sobie pozwolić. Niebawem, ale po niewczasie, będzie tego żałował, bo i cóż znaczyła ta krowa wobec utraty całego majątku? A byłby oszczędził chorej przykrości i pierwszego powodu podejrzeń, że się coś stało. Jednakże czy tak, czy inaczej, musi się ona prawdy dowiedzieć. Trzeba nawet ją do tego przygotować. Niemniej niezrozumiałe dla niej cofnięcie kupna krowy przyprawiło ją o wielkie rozdrażnienie, przytem zmiana w zachowaniu się męża, którą spostrzegła, zaniepokoiła ją. Szukając napróżno przyczyny tego wszystkiego, doszła aż do przypuszczenia, że zwaryował. Ale uspokoił ją co do tego doktor, którego mąż jej przysłał, by zręcznie ją przygotował do przyjęcia prawdy, której miała się dowiedzieć. Po doktorze, przybył w tym samym celu proboszcz, u którego się wypowiedała. Ale te przygotowania w aluzyach i podobieństwach zaniepokoiły jeszcze bardziej panią des Lourdines, aż wydarła zeznanie mężowi, poczem dostała ataku, z którego nie miała się już podnieść. Wezwany czem prędzej Antym zastał ją już nieżywą.

Śmierć matki sprawiła na nim w pierwszej chwili silne wrażenie. Pomimo to jednak, po dopełnieniu smutnego obrzędu, myśl jego zaraz uleciała tam, gdzie czekali go towarzysze, wyścigi, metresa, bo o fatalnym liście lichwiarza nic dotąd nie wiedział,

jak też zapewne nie domyślał się, do jakiej sumy urosły jego długi. O tem wszystkim miał się on jednak dowiedzieć z ust ojca, który, zaprowadziwszy go do miejsca swych częstych pielgrzymek, gdzie na pagórku, otoczonym lasem, wznosi się kamienny krzyż, przedstawił mu położenie, nie mówiąc jeszcze, do jakiego stopnia jest zrujnowany, i dla wypróbowania go, wynurzywszy przed nim własne cierpienia, ciężkie osamotnienie, tęsknotę, jaka go trawi i ból, jaki mu sprawia obojętność i niezrozumienie ze strony syna, objawia mu nadzieję, że teraz z nim zostanie. Ale Antym, więcej zafrasowany kłopotami osobistemi, niżeli wzruszony wynurzeniami ojca, odpowiada przecząco.

Wtedy dopiero ten, poruszony w głębi serca niegodziwością syna, piętnuje go i pokazuje całą ruinę, do jakiej doprowadził go i samego siebie. Teraz Antym czuje się przybity, całe jego dotychczasowe życie, poza którym nie może sobie wyobrazić istnienia, jest w jednej chwili rozwiane, jak dym. Oschłe jego serce porusza się nareszcie, ale łyzy, które stają w jego oczach, wyciska mu żal nad samym sobą. Jednakże jedna myśl zaczyna mu być nieznośną: czy matka jego wiedziała, co się stało? czy to on ją zabił? Więc z trwogą zapytuje o to ojca. Ten waha się chwilę, ale się cofa przed wymierzeniem winowajcy tej ostatecznej kary. Zresztą nie zmniejsza to rozpaczy Antyma, tak, iż w nocy postanawia się zabić. Bierze więc pistolet i aby nie wywołać alarmu wystrzałem, wychodzi do pokojów niezamieszkałych, gdy naraz uderzają słuch jego jakieś niewyraźne, przytłumione dźwięki. Zdziwiony, idzie w stronę, skąd zdają się one dochodzić i powoli zaczyna rozróżniać muzykę. Co raz bardziej zaciekawiony, dochodzi, skradając się, aż do dawnej kaplicy i ukrywszy się w kącie, za paką, którą tam złożono, spostrzega swego ojca z twarzą jakoby przemienioną, smutną, ale promienną, pogrążonego całkowicie w tonach, płynących z pod jego smyczka. Dziwny czar tej muzyki, dobywającej się z tajnych głębin serca grającego, przykuł Antyma do miejsca, w którym się ukrył. Brzmiała w niej skarga, tęsknota i uniesienie do wyższych sfer ideału, gdzie ból jest tylko wspomnieniem, a skarga oddalonem echem—coś, co przeniknęło do serca Antyma, co je stopiło, jak wosk, kazało zapomnieć o sobie i wycisnęło z oczu łyzy współczucia dla tego ojca, którego tak ciężko skrzywdził, dla którego był tak niewdzięcznym i którego nareszcie zrozumiał i pokochał. I dokonał się cud przemiany jego serca, niestety, zapóźno, by naprawić dopełnione bezpowrotnie klęski. Ale odtąd pau des Lourdines odbywał swe wycieczki poprzez pola i lasy,

z których tylko drobna cząsteczka pozostała jego własnością, w towarzystwie syna i ofiara jego wydawała mu się lżejsza.

W powieści tej, napisanej bez pretensyi do sztuki, bez żadnej właściwie akcji, ale dającej odczuć głębsze znaczenie życia w pewnych jego okolicznościach, odkrywamy zestawienie własności dość rozmaitych, które czynią z niej utwór wyróżniający się wrażeniem, jakie na nas sprawia.

Widzimy więc tu realny obraz obyczajów i charakterów, obserwowanych z zewnątrz, obok ciekawej, w niezmiernie delikatnych odcieniach uchwyconej charakterystyki psychicznej głównego bohatera — żywo oddany, szczery patetyzm naturalny, oraz przygnębiająco ponury w swej prostocie tragizm. Poza tem obie rozbierane powyżej powieści: „La Maitresse Servante“ braci Tharand i „Monsieur des Lourdines“ Alfonsa de Châteaubriant, mają jedną znużającą, jako u autorów młodych, cechę wspólną — zupełny brak erotyzmu.

\*

\*

\*

Romans egzotyczny, któremu Piotr Loti dał najpiękniejszy wyraz i najwięcej rozgłosu, ustępuje coraz bardziej miejsca w ostatnich latach, pod wpływem nowych ekspansywnych dążeń Francyi, romansowi kolonialnemu.

Zamiast fantastycznych ewokacyi dalekich, tajemniczych krain, odrębnych i dziwnych obyczajów, przeważnie wysnutych z wyobraźni autorów, romans kolonialny postawił sobie za zadanie dać rzeczywisty obraz życia, stosunków i natury w koloniach — obserwacyę obyczajów, charakteru i ducha, możliwie ścisłą i realną, spotykanych tam ras.

W tej kategorii obok nazwisk *Wiktora Barrucand*, *Jana Rodes*, *Ludwika Bertrand*, *Piotra Mille*, *Pawła Claudel* i wielu innych, wyróżnili się, jako powieściopisarze, bracia *Marius-Ary Leblond*, *Klaudyusz Farrère* i *Robert Randau*.

Bracia Leblond, urodzeni na wyspie Réunion, mają tę wyższość nad ogółem autorów egzotycznych i kolonialnych, że z natury rzeczy świat, który opisują, nie jest dla nich zagadką i mogą o nim mówić, jak o rzeczy wybornie sobie znanej, z którą się zrosili od dzieciństwa. Rodzina ich wyspa dostarczyła im

głównie przedmiotu, który zużytkowali w powieściach: „Le Zézère“, „La Sarabande“ i „Les Sortilèges.“ „Le Zézère“ — to historia biednej dziewczyny kafryjskiej, naiwnej, dziecinnej, bezbronnej, która, dostawszy się do miasta, wykoleja się, wpada w prostytucję, co ją przyprawia o chorobę i śmierć. Jest to prawdziwe studjum psychologiczne rasy czarnej, która w styczności z cywilizacją niszczy i ginie, jak éma w ogniu.

„Le Zézère“ uchodzi wogóle za najlepszy utwór braci Leblond, obok „Les Sortilèges,“ który w czterech nowelkach charakteryzuje w rysach z życia codziennego cztery rasy spotykane w koloniach francuskich — Chińczyków, Malgaszów, Kafrów i Indyan. Do tego dołączyć trzeba studjum o Madagaskarze „La grande île de Madagascar“ i powieści ostatnie, którym za tło służy metropolia, właściwie jej centrum i stolica — Paryż, ale zawsze poświęcone elementom egzotycznym, mianowicie kreolom z kolonii francuskich, przybyłym tu dla studyów. Powieści te — „En France“ <sup>1)</sup> i jej ciąg dalszy „Les Jardins de Paris,“ ukazują deformację moralną, jakiej przeważnie ulegają młodzi ludzie, wyrwani z właściwego im otoczenia i warunków i przeniesieni do środowiska, w którym, nie mogąc się zorientować i tracąc grunt wyniesionych z domu zasad, błądzą łatwiej, aniżeli w dziewiczych lasach i puszczech stref tropikalnych. Prócz dzieł powyższych bracia Leblond są jeszcze autorami powiastki na tle stosunków algierskich p. t. „L'Oued“ — utwór, który, obok pewnych aluzji do kwestyi, dotyczących organizacji i przyszłości francuskiej Afryki północnej, oraz styczności elementu napływowego z ludnością miejscową, odznacza się raczej charakterem fantazyjnym. Oni też ułożyli najbardziej wyczerpującą Antologię kolonialną.

Klaudyusz *Farrère* (pseudonim oficera marynarki francuskiej) dał się poznać głównie przez swą powieść, nagrodzoną przez Akademię Goncourtów, p. t. „Les Civilisés,“ która miała na razie pewien rozgłos. Podobnie, jak bracia Leblond czynią to dla kreolów przeniesionych do Paryża, autor tej powieści stara się pokazać deformację moralną i umysłową, której ulegają Francuzi w koloniach Indo-chińskich. W koloniach tych, w których Francya prawdziwych kolonistów nie posiada, wszyscy zamieszkali tam Francuzi są członkami administracyi. Będąc istotnie uprzywilejowanymi wobec ras miejscowych, uważają się oni za rodzaj

<sup>1)</sup> Nagrodzona na konkursie Akademii Goncourtów.

arystokracji, ale arystokracji bez tradycyi i obowiązków. Przeważnie są to ludzie, którzy w ojczyźnie albo nie potrafili zdobyć sobie stanowiska, albo też coś zbroili, co zmusiło ich szukać go w dalekich krajach. Są to więc niedołęgi, albo łotry, czasem jedno i drugie. Jednem słowem szumowiny, które odrzuca metropolia. Wobec tego trudno mówić o deformacyi, bo są to przeważnie indywiduala już duchowo ułomne, gdy tu przybywają. Autor przytacza na przykładzie sposób, w jaki obsadzają się posady administracyjne w Kochinchinie. Żona wpływowej osobistości politycznej w Paryżu, byłego i przyszłego ministra, ma kochanka, który, dzięki temu, zyskuje korzystne stanowisko. To trwa dopóty, dopóki nie zostaje on zastąpiony przy owej pani przez kogo innego. Ale odrażony i pozbawiony sytuacji nie daje za wygraną—grozi skandalem i, jeśli to nie pomaga, idzie powtórzyć to mężowi. I mąż znajduje najlepszy sposób pozbycia się natręta—wysłać go do kolonii. Dzięki jego poparciu wzgardzony kochanek otrzymuje, jako indemnizację, posadę w koloniach, mniej lub więcej intratną, stosownie do mniejszej lub większej czelności, z jaką potrafi pretensye swe postawić, i bez żadnego względu na kwalifikacye, jakie posiada lub nie posiada. I od takich to ludzi zależą wogóle losy francuskich posiadłości zamorskich! Rozumie się, jest w tem, jak w całej tej powieści, spora przesada, ale przesada rysów charakterystycznych rzeczywistych, jak w karykaturze, w której podobieństwo jest zachowane. Autor przedstawia istotnie towarzystwo francuskie w Saigonie w barwach nieco ciemnych. Od najwyższych dygnitarzy do najskromniejszego urzędnika, wszyscy dbają tylko o napełnienie kieszeni wszelkimi środkami i o otoczenie swego bytu największym zbytkiem, w czem zwłaszcza celują kobiety, nie gardząc w tym celu sprzedają swych wdzięków. To też zwyczajną jest rzeczą, że mężowie tych pięknych i eleganckich dam sami zapraszają upatrzonych kandydatów, pod pozorem obiadu i t. p., by w stosownej chwili oddalić się do swych nie cierpiących zwłoki obowiązków, zaś miejscowy „savoir-vivre“ wymaga od mężczyzny, bywającego w domu takiej damy, by, podczas wizyty, zapomniiał od czasu do czasu swego pugilaresu. I to wszystko odbywa się z całym honorem i kurtuazją, z zachowaniem wszelkich form towarzyskich. Tak przynajmniej twierdzi autor powieści „Les Civilisés.“ W Saigonie zresztą panuje, mówi on, szczególna atmosfera sprośności, wywierająca silny wpływ na europejczyków—pobudza, ale zarazem rozstraja i wyniszcza mężczyzn, kobiety zaś czyni nienasyconemi. Wpływa na to, jego zdaniem, zarazem klimat gorący

i udzielająca się naturalna, niczem nie krępowana lubieżność ras miejscowych, oraz wynikające ze spotkania się różnych wierzeń i sprzecznych moralności tychże wzajemne zneutralizowanie.

Powiedzmy, że autor, który tego wpływu być może doznał do pewnego stopnia sam na sobie, lubuje się w tej sprośności i opisie orgii specjalnych, w których pogrążają się z upodobania i „zasady“ trzech główni jego bohaterowie—doktór Mévil, inżynier Torral i porucznik marynarki de Fierce, nazywający się „cywilizowanymi“ dlatego, że odrzucili wszelkie reguły etyki uznanej, nie zachowując ich nawet dla pozorów, jak to czyni ogół, którym gardzą, i zastąpili je jedną jedyną — kierować się w życiu tylko tem, co nam osobiście jest przyjemne lub pożyteczne, z odrzuceniem wszelkich obowiązków względem drugich oraz wszelkich sentymentów—jak najwięcej użyć, bo na tem polega cała wartość życia, po którym następuje nicość. Jak widzimy z tego, ci „cywilizowani“ nie zdobyli się na nic nowego, chociaż ich doktryna wydaje im się oryginalną. Formę użycia zresztą pozostawiają oni do woli i upodobania każdego, jednakże w ich rozumieniu i jak tego dają sami przykład, ma ono znaczenie wyłącznie zmysłowe i materialne. Tak więc namiętnością d-ra Mévila są kobiety, których usiłowanie jest dla niego grą pewną, dzięki urokowi jego postaci, zręczności, sławie Don-Juana, a także stanowisku i hojności. Inżynier Torral, ich teoretyk, umysł matematyczny, człowiek wielkich zdolności, nie kryjący swej pogardy całemu urzędowemu światu i towarzystwu saigońskiemu, bo wie, że jest tu niezastąpionym, oddaje się rozkoszom więcej specjalnym. Porucznik de Fierce jest wśród nich nowicyuszem, dającym się jeszcze nieco powodować swym inicjatorom, biorącym udział w organizowanych przez tychże orgiach z całym zapalem młodego wieku. Wszyscy trzech szukają też sztucznych wrażeń w opium i alkoholu. Jeżeli autor wyróżnił tych trzech „cywilizowanych“ z pośród towarzystwa francuskiego w Saigonie, to nie dlatego, by inni nie prowadzili życia mniej więcej podobnego, lecz ponieważ ci czynią to z przeświadczeniem, a pod względem pieniędzy należą do kategorii tych, którzy dają, nie zaś tych, którzy biorą i to już ich stawia bądź co bądź powyżej ogólnego poziomu. Zresztą jeden z nich, porucznik de Fierce, odgrywa w następstwie rolę główną w romansie o charakterze idyllicznym, zakończonym tragicznie, który autor umieścił, jako kontrast, na tle tego błota i znikczemnienia. W istocie de Fierce jest człowiekiem bardzo jeszcze młodym, którego do sceptycyzmu, a stąd do moralnej dezorientacji, popchnęły okoliczności przypadkowe zaraz od pierw-



szych lat życia. Oto, gdy miał lat pięć, zdarzyło się, iż, pozostawiony chwilowo sam przez piastunkę, pobiegł niespodzianie do pokoju swej mamy, którą ujrzał w objęciach jakiegoś pana. Przestraszony cofnął się, ale widok ten utkwiał mu na zawsze w pamięci. Z czasem dowiedział się i widział wiele więcej w stosunkach, panujących w swem najbliższem otoczeniu, o prowadzeniu się obojga rodziców, z których każde ze swej strony dogadzało bez skrupułu swym kaprysom i namiętnościami, czego on nie mógł w żaden sposób pogodzić z przepisami katechizmu i moralności, które napróżno starał się mu wszczepić ksiądz-korepetytor. Szkoła i pierwsze osobiste doświadczenia życiowe dokonały reszty. Wojskowa dyscyplina służby morskiej, której poświęcił się wskutek atawistycznego upodobania—wielu jego przodków w niej się odznaczyło—utrzymała go w korbach, ale nie zniszczyła zaszczytnej w ten sposób duchowej anarchii, którą pobudziły na nowo stosunki z „cywilizowanymi“ kroju Mévila i Torrala. Wśród tego jednak, de Fierce poznał zamieszkałą wraz ze ślepą matką w Saigonie, ale trzymającą się zdala od miejscowego towarzystwa młodą panienkę, czystą, jak lilia, wyrosła na bagnisku, pobożną i pełną entuzjazmu dla szlachetnego powołania żołnierza, córkę pułkownika, który zginął bohaterką śmiercią w walkach afrykańskich. Młody porucznik, który, skutkiem szczególnych warunków swego wychowania, po raz pierwszy miał sposobność zbliżyć się do dziewczyny gruntownie dobrze wychowanej, szlachetnej, szczerzej i pełnej ufności, bardzo szybko uległ jej niewinnemu urokowi, zakochał się i w jednej chwili, pod wpływem nieznanego mu dotąd uczucia, stał się innym człowiekiem. W czystej atmosferze, w której, jak w odosobnionej oazie, oddychały te uczciwe kobiety, świeży idealny powiew rozwiały natychmiast sztuczne sofizmaty, którymi nasycił go Torral, a wspomnienie wstrętnych, upadających orgii napełniło go obrzydzeniem. De Fierce przestał widywać dawnych przyjaciół i wkrótce został szczęśliwym narzeczonym, dzięki poparciu swego admirała, który go lubił i wierzył w szlachetność jego uczuć. Ale zaledwie zdolał zaznać nowego szczęścia, wypadło mu rozstać się z ukochaną z powodu służby, która powołała jego eskadrę do Tonkinu, zresztą na krótko.

Stąd niebawem wysłano go z marynarzami wewnątrz lądu, dla ukrócenia buntu, wynikłego skutkiem nadużyć przy ściąganiu podatków. Po dokonaniu tego niełatwego zadania, porucznik de Fierce powrócił do Saigonu, lecz tu dowiedział się, że narzeczona wyjechała z matką i wróci nazajutrz. Tedy, nie mając co ro-

bić, udał się on dla zabicia czasu do Mévila, którego już dawno nie widział. Tu zastał obu „cywilizowanych,“ którzy w części perswazyą, w części szyderstwem namówili go, by spędził z nimi wieczór, co przecież do niczego go nie obowiązuje i o czem zresztą narzeczona się nie dowie. Udali się przeto do teatru, po przedstawieniu, by zabrać dwie znajome dobrze artystki i pojechali we czworo, ukrywszy de Fierce'a w głębi powozu, do pewnej zamiejskiej restauracyi, miejsca schadzek. Tu wytrwał on aż do końca, pomimo nagabywań kobiet wszystkich ras, jakie spotyka się w miastach dalekiego wschodu. Gdy wreszcie zabrali się do odwrotu, był już dzień. Mévil, pijany, po wszelkiego rodzaju nadużyciach, leżał w powozie bez duszy. Torral snuł w milczeniu ponure, wywołane przez alkohol, medytacye. De Fierce, zły i zmęczony, wtoczył się w kął, jedna z kobiet spała, a druga, odurzona trunkiem, pół-senna, otoczyła go nagiemi ramionami. W tejże chwili, gdy porucznik robił wysiłki, by się jej pozbyć, nadjechał powóz, w którym siedziały dwie kobiety. Jedna z nich uniosła się nieco, tak, iż spojrzała mu w oczy i z krzykiem padła na siedzenie. Była to narzeczona de Fierce'a.

Młody człowiek zrozumiał, że wszystko skończone, że całe jego wymarzone szczęście runęło w gruzy. Nie myślał nawet iść się tłumaczyć. W końcu napisał list, który mu odesłano wraz z pierścionkiem. Wtedy postanowił się zabić, ale nim dokonał tego zamiaru, otrzymał wezwanie powrotu do eskadry i nominacyę na dowódcę torpedowca.

Wojna z Anglią wybuchła nagle; flota nieprzyjacielska zbliża się. De Fierce widzi w tem sposobność odkupienia się w oczach ukochanej. Obejmuje dowództwo torpedowca i, wysadziwszy wprzód angielski statek admirałski, ginie, jak ginęli niegdyś jego przodkowie, podczas, gdy tam, w panińskim pokoiku, ze ściśniętem sercem, z oczyma we łzach, modli się biedne dziewczę za tych, którzy walczą na morzu.

Tę ostatnią scenę bitwy morskiej wywołał autor z dokładnym, szczegółowym i tchnącym prawdą realizmem i uwydatnił całą wstrząsającą jej okropność.

Chociaż Klaudyusz Farrère lubuje się w opisach sprośności, co czyni dość zręcznie, by powiedzieć wszystko, nie nazywając rzeczy po imieniu; chociaż z jakimś dzikiem zadowoleniem podkreśla i przeczernia obraz znikczemnienia obyczajów kolonialnych owych „cywilizowanych“ i cywilizatorów, to niemniej widzimy, że ich nie pochwała, ani nie stara się ich usprawiedliwiać, przeciwnie, potępia je w sposób tem jaskrawszy, że im przeciwsta-

wia obyczaje i ideały ludzi uczciwych, jak życie normalne, życiu obłąkanych. I z tego względu książka ta jest w konkluzjach moralna w znaczeniu tradycyjnym. Poza tem można przyznać słusznosc krytykom, zarzucającym autorowi młodzieńczą naiwność ucznia, który wyrwał się na swobodę, w koncepcyi tych „cywilizowanych—nadrudzi, posiadających wyrozumowaną doktrynę, którzy widzą szczyt „użycia“ w tych codziennie powtarzanych, zawsze jednakowych orgiach, w których rujną zdrowie bez żadnego celu. Również słusznym jest zarzut, mniej nas tu obchodzący, niepoprawności języka. Razem wzięwszy, jest to utwór nierówny młodego i niewprawnego autora, ale zajmujący i nie bez wartości. Z tych samych względów zwraca też uwagę inna książka tegoż autora p. t. „Fumées d'opium.“

Do nielicznych posiadłości francuskich, które zasługują na nazwę kolonii, w znaczeniu ściślejszem, należy, jak wiadomo, przedewszystkiem Algerya, co zawdzięcza niewątpliwie, obok dobrych warunków klimatycznych i naturalnego bogactwa, zwłaszcza swej niewielkiej odległości od metropolii. To bowiem położenie, pozwalające na względnie łatwą i szybką komunikację z ojczyzną, więcej zachęciło nieskorych do opuszczania domowych progów Francuzów do osiedlania się w tym kraju, niżeliby to sprawiły widoki większego nawet zysku w stronach bardziej oddalonych. Przytem masa kolonistów algierskich nie składa się z samych Francuzów, lecz stanowi zbiór imigrantów ze wszystkich narodów, zamieszkujących wybrzeża morza Śródziemnego i należących do tak zwanej, dość nie ściśle, rasy łańskiejszej, ze względu na ich mowę, pochodzącą od języka łańskiego. Wszyscy, poszczególnie, zachowują wprawdzie swój język ojczysty i odrębne obyczaje, niemniej razem wzięwszy, pracują oni, świadomie lub nie, na korzyść Francyi, która tym krajem włada. Tak jest dotąd, ale jak będzie w przyszłości? To pytanie, które nasuwa się wobec dążeń, jakie zaczynają się objawiać wśród mieszkańców Algeryi pochodzenia europejskiego. Oto ni mniej ni więcej, tylko nie chcą oni stanowić kolonii, lecz uważając się za naród oddzielny, dążą do niepodległości. O ile te dążenia separatystyczne są istotne, a nietylko mrzonką jakiejś grupy i czy mają widoki urzeczywistnienia, nie będziemy przesądzali. Trzebaby mieć do tego dane ściślejsze. Jednakże, ponieważ ten stan umysłów, te aspiracye znajdują wyraz w powieściach, o których wspominałyśmy, zatem pozwolimy sobie zauważyć, że jeżeli „Algeryanisci“, jak się nazywają dla odróżnienia od Algeryanów pochodzenia miejscowego, powodują się tu historycznym przykładem dwóch

Ameryk, to znajdują się oni w położeniu zupełnie różnem. Najpierw bliskość metropolii odbiera im wszelką możność oderwania się za pomocą buntu, jak to uczynili Amerykanie. Następnie, w przypuszczeniu, że Francya dobrowolnie uznałaby ich niepodległość, to byłoby to dla nich wyrokiem zagłady, gdyż ludność muzułmańska, liczna, fanatycznie przywiązana do swych ideałów, silna moralnie słuszością swych praw, pamiętna swych krzywd i nienawidząca intruzów, natychmiast zrobiłaby z nimi obrachunek z chwilą wycofania francuskich armat, które ich bronią.

Jakie są ich argumenty, które mogliby przeciwstawić tym uwagom, nie wiemy—zatem dyskusyi niema. Skądinąd mają oni wszakże słuszość, gdy powstają przeciw rządóm osobistym, sprawianym z Paryża, przez zmiennych ministrów, nie mających wyobrażenia o stosunkach afrykańskich, a mimo to nadających administracyi algierskiej kierunek polityczny, stosownie do swej własnej fantazy i wymagań wewnętrznej polityki francuskiej; — gdy występują przeciw nadużyciom wszelkiego rodzaju tych władz na miejscu, przeciw nepotyzmowi, stronniczości, popieraniu przekupstwa, spekulacyom członków administracyi, opartym na wyzyskaniu przewagi, wypływającej z ich funkcyi i działaniu na szkodę zarówno kolonistów, jak i Arabów. Ale to nie przeszkadza każdemu z oponujących, gdy ich interes osobisty tego wymaga, wyzyskać ten stan rzeczy dla siebie, nie bacząc na krzywdę sąsiadów i gwałcenie praw rasy miejscowej.

Gdzie zresztą jest ten nowy naród? Składa się on, jak już powiedziano, z indywiduów przybyłych z Francyi, Włoch, Malty, Hiszpanii, bez żadnego bliższego związku ze sobą, zaledwie tu osiadłych w pierwszym lub najdalej w drugim pokoleniu. Zapewne Algeryjanie mogą twierdzić, że naród ten jest w fazie formacyi, ale to samo znaczy już, że go jeszcze niema, a przeto nie można mówić o jego dążeniach. Następnie kwestya to jeszcze nader wątpliwa, czy się on sformuje, czy ma do tego jakiegokolwiek dane? Samo położenie geograficzne, które pozwala z łatwością kolonistom każdej z tych narodowości utrzymać łączność z ojczyzną, jest do tego przeszkodą. W każdym razie, cokolwiek z tego z czasem wyniknie, mówić dzisiaj o nowym narodzie „algeryjskim“ jest conajmniej przedwczesnem.

Dotąd też słyszy się o nim głównie w literaturze powieściowej, gdzie te marzenia pewnej grupy mieszkańców Algeryi poważnie pochodzenia francuskiego wypowiadają się najgłośniej. Bo trzeba tu zauważyć fakt dość szczególny, że propagatorami tego separatyzmu są przede wszystkim Francuzi. Już bracia

Leblond w swej powiastce p. t. „L'Oued,” o charakterze zresztą fantazyjno-uczuciowym, potrącają o tę kwestyę, która, jeśli mamy im wierzyć, ma tam fanatyków nawet wśród członków administracyi. Ale prawdziwym epikiem tej jakoby powstającej rasy jest *Robert Randau* (pseudonim), który całą swą twórczość—powieści „*Les Colons*,” „*Les Explorateurs*,” „*Le Commandant et les Foulbé*” i „*Les Algérianistes*,” oraz poezye—„*Autour des Feux dans la Brousse*,” „*Crépuscules au Cabaret*” i „*Les Dires de celui qui passe*” poświęcił wyłącznie głoszeniu jej aspiracyi i malowaniu jej portretu, fizycznego i duchowego. Sam przekonany „algeryanista” wyraża on swe idee za pośrednictwem przedstawiającej go postaci, powieściopisarza *Cassard*. Ten mówi między innymi: „czuję, że Francya jest coraz mniej moją ojczyzną, ale przyznaję, iż pozostaje ona moim ideałem,” co znaczy, że algeryanisci odrzucają władzę Francyi nad sobą, ale pragną zachować jej wpływy intelektualne. Za ojczyznę swą uważają oni tylko Algeryę, jak to zaznaczył autor, nazywając swe powieści jednorodnego charakteru — „*Les Colons*” i „*Les Algérianistes*,”—„romans de la patrie algérienne.” *Robert Randau* znalazł w szeregach młodej krytyki francuskiej entuzyastycznych zwolenników, którzy dopatrzili się w nim, nader wysokich przymiotów i ogłosili go odnowicielem romansu, ginącego z wyczerpania i banalności, twórcą nowego stylu, zwiastunem nowego zwrotu w literaturze, mającego się dokonać pod wpływem tych synów Francyi, którzy, w zetknięciu z dziką i wspaniałą naturą afrykańską, z potrzebami życia prymitywnego, wymagającego bezwzględności i odrzucającego wszelki sentymentalizm, ulegli odmłodzeniu, odzyskali całą pierwotną energię, którą w starej ojczyźnie osłabił zbytek cywilizacyi.

Brzmi to bardzo obiecująco, ale zobaczymy, jak się to przedstawia i wyraża w dziełach tego nowego „Afrykanina,” który, jak się sam z dumą wyraża, należy do tej nowej rasy afrykańskiej, wytworzonej od podboju, której grube dolne szczęki wskazują więcej woli, niż skrupułów. Stosownie do tej cechy charakterystycznej, ideałem tej rasy jest siła—siła brutalna, materyalna, jedyną regułą etyczną—egoizm, a bodźcem działania—żądza władania, dominacyi. Poza tem, żadnych kodeksów moralnych, żadnych wierzeń, ani przepisów religijnych, żadnych dogmatów. *Cassard*, przemawiający w imieniu autora, mówi między innymi: „Uwielbiam nauki ścisłe (*les sciences*), z powodu nieścistości ich dążeń i nie mam żadnego uznania dla opinii żadnego filozofa. Po co pragniemy poznać prawdę? Bądźmy egoistami; prawdy, do

życia, bynajmniej nie potrzebujemy. Usiłowanie samo jest najwyższą prawdą i celem wszelkiej filozofii, usiłowanie jest rozkoszą istotną.“

Jak wierzenia religijne i związane z niemi pojęcia moralności, odrzuca również Cassard, i tu jest logicznym, wszelką moralność niezależną, wszelki sentymentalizm pseudo-humanitarny, wszelki altruizm i tym podobne bezpodstawne wymysły ateizmu dla oszukania potrzeb duchowych człowieka. Bezwzględność, twardość, nielitościwość, a nawet okrucieństwo — są to według niego przymioty, dowodzące hartu ducha. Wydawać sądy o tej filozofii owego antyfilozofa, zresztą nie nowszej i nie więcej oryginalnej od doktryn „cywilizowanych“ w powieści Farrère'a, jest chyba zbytecznem. Jest to filozofia, którą kierują się, jeżeli nie zawsze świadomie ją wyznają, wszyscy opryszkowie. Sam autor bynajmniej się co do tego nie łudzi i ma szczerłość lub cynizm przyznać otwarcie, że ci ludzie o „grubych szczękach,“ trzymający się tej etyki, nie są też czem innym. Ale cóż z tego, kiedy są silni i przyszłość do nich należy? Otóż, jeżeli autor się nie myli co do ich dużych apetytów i małych skrupułów, to może jednak łudzi się co do ich siły. Odkądże synonimem siły ma być bezczelność? Cassard, literat i erudyta, powołujący się nieustannie na łacińskość, przykłady i spuściznę Rzymian, powinienby sobie przypomnieć, że Rzymianie jeżeli mieli kult siły, to mieli również kult honoru, obowiązku, ojczyzny, domowego ogniska, czyli rodziny, ojców i przodków i że póty mieli siłę, póki się tego drugiego kultu nie wyrzekli, bo ta była jego wynikiem. Zapewne powie on, że te cnoty wyrabiają się później, ale wszelka najpierwsza formacja narodu i państwa wymaga grubych szczęk i braku skrupułów, i będzie miał słuszność tylko częściową, bo gdyby grupa etniczna, mająca utworzyć naród i państwo, nie posiadała już, przynajmniej w zawiązku, zasadniczych cnót społecznych i wspólnego, wyższego po nad apetyt, wyłącznie materialny, ideału, to pozostałaby zawsze w stadyum hordy lub bandy rozbójników, skazanej na zagładę lub niewolę przy zetknięciu z grupą, posiadającą ten ideał i te cnoty i dla tego zdolniejszą do zorganizowania się, od czego dopiero naprawdę zależy siła. Bo siła jest środkiem, ale nie może być sama w sobie celem i ideałem, równie jak nie może też być celem sam dla siebie wysiłek, usiłowanie ani też „rozkoszą istotną,“ jak chce Cassard, bo sprzeciwia się to logice natury człowieka. Wysiłek, bez celu poza nim samym, byłby zabawą. Ale i zabawa ma swój cel — dostarczyć nam przyjemności, rozrywki, co znaczy, że powinna być chwilową tylko,

odmianą wśród zajęć koniecznych i wyłącza przymus i uciążliwość, zawarte w pojęciu wysiłku, usiłowania. Wysiłek zatem jeśli może być „rozkoszą istotną,” to dla tego jedynie, że daje nadzieję osiągnięcia celu.

Zwolennicy Roberta Randau, aby zrazić i pobić zawczasu, przewidywanych przeciwników oświadczyli z góry, że zalety twórczości tego autora zdolni są ocenić tylko ludzie silni i szczerzy, co znaczy, że kto tych zalet nie uzna, jest mazgajem i hipokrytą, a przeto trzeba je uznać, aby nie zostać przez nich napiętnowanym. Jest to dość zabawny sposób wymuszenia opinii na korzyść autora, odpowiadający zapewne tym grubym szczękom, ale niestety w praktyce mało skuteczny, jak sądzić trzeba z przedmowy do powieści „Les Explorateurs,” w której sam autor uznał za potrzebne dać wytłómaczenie swej koncepcyi życia i twórczości literackiej.

„Pomiędzy pojmowaniem świata, mojem, a moich przeciwników istnieją zasadnicze różnice. Ja sądzę, że, gdy się było w styczności bezpośredniej z naturą, nie ma się prawa odmieniać tej natury, pod pozorem zatrzymania z niej tylko tego, co się uważa czy to za piękne, czy za brzydkie, czy za okrutne; i twierdzę również, że, aby dać drugim wrażenie życia, trzeba opisywać życie, nie widziane po przez zamglone szyby teoryi, lecz takie, jakim się je potraça na każdym kroku, zawsze brutalne, pełne i przerażające w swej tęgości.“

Zaś przez usta Cassarda mówi: „Nie ma tworów wyobraźni! Wszelkie pojęcie ma za podstawę fakt i powinno zawsze się nań powoływać. Literatura, to walka ludzka, zaś obserwacya w literaturze jest analogiczną do obserwacyi w nauce. Zarzucisz mi, że to doktryna naturalizmu! Nie, bo naturalizm, to nie literatura. Wyjaśnię ci dlaczego...” „Naturalizm, to sztuka dla biednych, to teorema i jej dodatkowe, dźwignięte na jednym i tym samym planie, to skasowanie odległości, to anarchia szczegółów, to chaos. Naturalizm, ponieważ fotografuje tylko pierwsze plany i odmawia zszeregowania planów towarzyszących, jest przeciwnaukowym. Ale metoda, którą zalecam, niema zresztą nic wspólnego z dążeniami pewnych fałszywych pisarzy, którzy głoszą, że, z pośród wszystkich widoków, koniecznem jest wybrać te tylko, które odpowiadają pewnym danym moralnym. Nie! przyjąwszy jakieś położenie, artysta powinien być przede wszystkim szczerym i interpretować rys przeważający tego położenia, nie troszcząc się o dogmaty i wierzenia (zabytki czasów minionych, których badanie należy do socyologii). Sztuka nie polega na wyborze, wyprowa-

dzonym z jakiegokolwiek filozoficznego imperatywu, jest ona całkowicie w bezpośredniej obserwacji natury i wiernem tej obserwacji odtworzeniu.“ Ale Cassard jest niewyczerpany w gadulstwie, jak zresztą wszystkie osoby i typy Roberta Randau. Przytaczanie jego wywodów, w których przy tej sposobności, znaleźć można niejedną sprzeczność, zawiodłoby nas za daleko. Trzeba wszakże przytoczyć jeszcze jeden ustęp, w którym maluje on swą literaturę i samego siebie, jakim jest, a zwłaszcza, jakim chce być.

„Jestem—mówi autor zawsze za pośrednictwem Cassarda—awanturnikiem, włóczęgą w literaturze. Moje podniebienie wymaga wrażeń silnych; mam apetyt na potrawy mocno opieprzone i na wino czerwone, bratam się z majtkami, z dzikimi, ze złodziejami, z nocnymi napastnikami. Mam jakąś sprośną miłość do krajów tropikalnych, gdzie natura jest masywna, tłusta, złowroga i cyniczna. Kto nie zagłębi się w gąszcz lasu, ten nie zazna najbardziej dręczącej zmory, a jest się bardzo podnieconym do poszukiwania zmory coraz więcej dręczącej. W stronach tych trzeba być silniejszym, niż śmierć, trzeba znać się na żartach potwornych, wywołujących śmiech jak najszerszy i unikać myślenia—jest się szczęśliwem bydlęciem. Moja literatura jast przeładowana mięsem, które się rozkłada; pełna gestów ordynarnych lub dzikich, woni błót; zachodów słońca na morzu. Pozbyłem się, i to nie bez wysiłku, tego pokostu sentymentalnego, którym pokrywa się widoki; nagromadza i uogólniam obserwacje i staram się postawić każdy przedmiot w jego własnej, prawdziwej atmosferze. Do dyabła z niejasnemi słowami, w które większość ubiera swe pomysły—trzeba nam ciała, krwi, zdrowia...“ i t. d. I rzeczywiście w utworach Roberta Randau jest zgniłe mięso, jest brutalność, wyuzdanie, bezczelność, drapiestwo, egoizm, altruizm, okrucieństwo, sprośność, realizm, liryzm, naturalizm, romantyzm, nawet pretensya do jakiegoś „klasycyzmu“ (!) w mowie dobitnej i nieobjętej, utworzonej z wyrażeń najbardziej grubijankich, zaczerpniętych ze wszystkich dyalektów i gwar, składających się wraz z archaizmami i mową francuską ściśle akademicką, na jakiś styl szczególny, zarazem trywialny aż do nieprzyzwoitości i pedancki, wymuszony, nienaturalny, drażniący swą pozą. Jednem słowem dziwna mieszanina pod każdym względem. W powieściach jego, z których ostatnia „Les Algérienistes“ jest najbardziej charakterystyczną, niepodobna uchwycić żadnego wątku. Są tu setki obrazów i setki anegdot, bez żadnego ze sobą związku; niezliczone mnóstwo typów i charakterów, podkreślonych lub



tylko chwyconych przelotnie, jak gdyby aparatem inigawkowym. I wszystko to bez widocznego planu i bez uwzględnienia planów. Razem wzięwszy, całość przedstawia właśnie tę anarchię szczegółów, ten chaos, z czego, jak widzieliśmy, Cassard czyni zarzut naturalizmowi. Bo też naturalizm jest u Roberta Randau, pośród tylu innych, jedną z cech głównych jego twórczości, która prócz właściwości wymienionych wyżej, ma jego brutalność, jego lubowanie się w brudzie, materyalnym i moralnym, jego cynizm i jego trywialność wyrażenia. Prócz owego Cassarda, który jest nie tylko literatem, ale i kolonistą, zaledwie parę figur wyłania się nieco z tej masy, jak student i kandydat na literata, Tobie, nieśmiały, niezgrabny i naiwny, jedyny człowiek tutaj, który ma jeszcze jakieś złudzenia, jakieś instynktowne porywy szlachetniejsze, ale ma też dopiero lat dwadzieścia;—jak inny student, Fritz Artig i jego wychowanka uchodząca za jego siostrę, z którą się on w końcu żeni;—jak Mohammed Esserir, wychowany po europejsku i wahający się pomiędzy Islamem tradycyjnym, a ideami swych kolegów francuskich, oraz jego córka Aisza, która daje się porwać oficerowi kawaleryi z bogatej i szlacheckiej rodziny francuskiej, by zostać jego żoną, na co jej ojciec zgodzi się dopiero w zamian za legię honorową. Wreszcie postać, obok Cassarda, najbardziej uwydatniona i stanowiąca tu element romantyczny—Zofia Peterhoff, rodzaj mistycznej altruistki rewolucyjnej, przebiegającej w męskim przebraniu arabskim całą północno-zachodnią Afrykę, w celu niesienia otuchy moralnej biednej i upośledzonej ludności muzułmańskiej i budzenia w niej poczucia swej indywidualności własnej, oraz jakiegoś nieokreślonego braterstwa, opartego na rewolucyjnej idei równości. Wszystko to nader niejasne, wypowiada się w niezmiernie długich rozmowach, o charakterze trywialnie idealnym, w których mieszają się w sposób nie do odgmatwania, pojęcia mistycyzmu nihilistycznego z mistycyzmem Islamu. Bo owa Zofia Peterhoff; <sup>1)</sup> znana pod arabskim imieniem Si Yahia, ma być wyznawczynią Islamu (ale bez wiary), Rosyanką pochodzenia tatarskiego, co nie przeszkadza, że jej słowiańscy (!) przodkowie o „żółtych włosach,“ ubrani w polskie (!) kołpaki walczyli niegdyś przed wiekami na tej ziemi, jak niesie legenda i jak to sama ona widziała we śnie na jawie.

<sup>1)</sup> Postać ta jest podobno portretem pewnej Izabelli Eberhardt, autorki „Dans l'Ombre chaude de l'Islam“ i przedstawia historię jej awanturniczego życia.

Niemniej romantycznie naturalistyczny charakter ma tu historia studenta Artiga, który, znalazłszy na bruku paryskim dziecko opuszczone -- ośmioletnią dziewczynkę, wychował ją i wykształcił w kulcie nauk przyrodniczych, w których jest niezmiernie biegłą, ale poza którymi nie posiada najelementarniejszego wykształcenia; żyje z nią, jak z siostrą, aż do chwili, gdy w scenie zazdrości, z powodu stosunku Artiga do pewnej studentki, wyjawia się ich wzajemna miłość i postanawiają się pobrać. Mają oni kult nauki i matery i gardzą sentymentami, jak całe ich kółko studenckie. Ona to, gdy młody Tobie, który się w niej podkochował, wyratował ją, z narażeniem życia, z podziemnego potoku, zamiast mu podziękować, uczuła dlań jakąś wdzięczność i oceniła jego czyn odwagi i poświęcenia, pierwsza, z towarzyszącymi, po przyjsciu do siebie i ochłonięciu ze strachu, wydrwiła go, że się uważa za bohatera. I to jest jeden z rysów charakterystycznych tej etyki „siły“, którą propaguje autor. Razem wzięwszy, jest to prawdziwy bigos hultajski, zaprawny papryką i kantarydami; mieszanina, w której właściwości wszystkich kierunków literackich, jakie panowały w ciągu ostatnich stu lat, są pogmatwane, ale nie stopione razem, by mogły tworzyć nową, odrębną, charakterystyczną całość. To też trzeba mieć więcej dobrych chęci, niż bezstronnego sądu, by widzieć w tem nową formę powieści, odświeżenie literatury zdrowymi prądami, pochodzącymi wprost od natury i warstw społecznych, nie zarażonych cywilizacją i nie wyjąłowionych pojęciami gotowemi. To „gnijące mięso“, te „stęchłe wyziewy błót“, które Cassard wypełnia swą literaturę, każą raczej sądzić, że jest to objaw rozkładu i zwyrodnienia i że autor takich elukubracji jest podobniejszym do grabarza, grzebiącego we wspólnym dole formy wyczerpane i przeżyte, aniżeli do zwiastuna nowej zorzy, mającej opróżnić świat odrodzony.

A jednak, to wszystko nie jest bez zalet istotnych, ujawniających się szczególnie w zdolności szybkiego, trafnego zaobserwowania rysów charakterystycznych, uchwyconych i oddanych z żywym realizmem, w odczuciu typów raczej malarskiem, a przeto więcej powierzchownem, niż głębokiem, ale nie bez wskazania pewnych stron wewnętrznych danego osobnika. Gdyby autor potrafił ograniczyć się do tego; utrzymać się w pewnej syntezie, o której mówi w teoryi, odbiegając od niej w praktyce; wyrzec się chęci ukazania życia ze wszystkich jego stron naraz i wynikającej stąd przesady obfitości; ująć w karby i skanalizować nadmiar swej werwy; okiełznać gadulstwo swych postaci, niepotrzebne, rozwlekłe i w rezultacie zabójczo nudne, pomimo obli-

czenia na zadziwienie, zgorzenie i że się tak wyrazimy—moralne uderzenie w kark czytelnika, wreszcie oczyścić język, którym się posługuje, od tych gwar złodziejskich i studenckich, podnoszących wprawdzie jaskrawą jego barwność, ale obciążających go zbyt ciężko i nadających mu charakter prawdziwie barbarzyński i nakoniec, sprowadzić styl do naturalnej prostoty i trzeźwości, o którą dbaćby powinien szczególnie pisarz, powołujący się nieustannie na „porządek łaciński”—wtedy wartość jego produkcji zyskałaby o sto procent.

ROZMĄTOSCI.

ORWID.

Akces szkół Księstwa Warszawskiego do Konferencji Generalnej Polskiej w r. 1812.

Wskazywano nam w tym celu, że w 1812 miało być przedłożone do konferencji generalnej, w której uczestniczyłyby wszystkie państwa europejskie, w sprawie reformy administracji państwa polskiego. Wskazywano nam, że konferencja ta miała być w rzeczywistości konferencją państw europejskich, w której miałyby uczestniczyć wszystkie państwa europejskie, w tym także i państwa, które nie były dotychczas członkami państwa polskiego. Wskazywano nam, że konferencja ta miała być w rzeczywistości konferencją państw europejskich, w której miałyby uczestniczyć wszystkie państwa europejskie, w tym także i państwa, które nie były dotychczas członkami państwa polskiego. Wskazywano nam, że konferencja ta miała być w rzeczywistości konferencją państw europejskich, w której miałyby uczestniczyć wszystkie państwa europejskie, w tym także i państwa, które nie były dotychczas członkami państwa polskiego.

# ROZMAITOŚCI.

## Akces szkół Księstwa Warszawskiego do Konfederacji Generalnej Polskiej w r. 1812.

Konfederacya Generalna w r. 1812 miała przed sobą zadanie wielkie: pobudzić naród polski do walki o niepodległość, stworzyć rezerwę z pospolitego ruszenia na wypadek niepomyślnego obrotu wojny, w razie zaś pomyślnych dla oręża Napoleońskiego skutków — ułatwić wysunięcie na porządek dzienny polityki europejskiej, restytucyę Królestwa Polskiego. Artykuł II Aktu Konfederacyi wyraźnie orzekał: „Konfederacya ogłasza, że Królestwo Polskie jest przywrócone i naród na nowo w jedno ciało złączony.“ Wskutek pierwszego uniwersału Rady Generalnej Konfederacyi, głoszącego, że „władze miejscowe w Warszawie lub w departamentach będące, mogą razem z podwładnymi sobie urzędnikami przysyłać akcesy do kancelaryi Konfederacyi Generalnej,\* wszystkie magistratury krajowe, a z nich pierwsza Dyrekcyja Edukacyi Narodowej zgłosiła przez delegowanych, J. Niemcewicza i J. Morawskiego, swoje przystąpienie. „Magistratura, której oddane jest wychowanie młodzieży polskiej—mówi w akcesie swym Dyrekcyja <sup>1)</sup>—której powierzone przyszłe kraju nadzieje, spieszy z całym nowym Polaków rodem do związku, mającego za cel święty odzyskanie Ojczyzny. Za najważniejszy poczytuje sobie obowiązek wyrzyc w młodocianych sercach i umysłach tę nigdy niezmażaną pamiątkę największej dla nas epoki i dać poznać młodemu pokoleniu to dobro, którego właściwiej używać będzie.“ Jednocześnie Dyrekcyja postanowiła wezwać do tegoż kroku wszystkie podwładne sobie instytucye edukacyjne Księstwa wraz z wychowującą się w nich młodzieżą i w tym celu rozesała następujące zawiadomienie do szkół:

---

<sup>1)</sup> Dziennik Konfederacyi Generalnej Królestwa Polskiego. Warszawa, 1812, str. 4.

Dnia 29 czerwca 1812 r. Prezes Rady Stanu i Ministrów, Dyrektor Edukacyi Narodowej. Ponieważ wszyscy Polacy wezwani zostali, aby końcem odzyskania swego Imienia i Ojczyzny przystępowali do Aktu Jeneralnej Konfederacyi Narodowej, pod dniem 28 m. b. szczęśliwie zawiązanej, i gdy Dyrekcyja Edukacyi Publicznej, przejęta uszanowaniem zbawiennych tych zamiarów, najpierwsza ze wszystkich magistratur pośpieszyła z przystąpieniem do tego aktu, nie pozostaje Jej teraz, jak tylko wezwać wszystkich J. J. P. P. Rektorów, Prorektorów i jakiego bądź imienia przełożonych szkół krajowych, ażeby z całym gronem podległych sobie profesorów i nauczycieli imiennie, uczniów zaś przez delegowanych, z każdej klasy podpisanych, przysłali na ręce Dyrektora E. N. podobny akt przystąpienia do tejże Konfederacyi. W tym celu wzywa Ich, ażeby złożywszy nadzwyczajne posiedzenie i przeczytawszy załączony tu Akt Konfederacyi wraz z Rapportem, zdanym przez deputacyę sejmową, wystawili uczniom całą ważność tej sprawy i szczęście, mające spłynąć na nich z pamiętnej tej epoki. Poczem przystąpią do sporządzenia ogólnego protokołu, w którym mają się podpisać przełożeni z profesorami, nauczycielami i wybranymi z klas uczniami i ten pozostanie przy aktach szkoły; drugi protokół z podpisem imiennym tych przełożonych, profesorów i nauczycieli z wyrażeniem jak najwzięjszem uczuć, jakie rzecz sama natchnąć jest zdolna, ma być jak najrychlej przesłany do Dyrekcyi Edukacyi Narodowej, skąd oddany zostanie do Rady Jeneralnej Konfederacyi. Dyrekcyja Edukacyjna uwiadamia przy tem J. J. P. P. Rektorów i Przełożonych, że wkrótce prześle im programma uroczystości, przy której z przywoitą okazałością ogłoszoną będzie młodzieży ta wielka epoka odrodzenia Polaków i zapewnienia szczęścia przyszłych pokoleń.<sup>1)</sup>

(Podpisano) S. Potocki, Sekretarz J. D. E. N. W. Surowiecki.

Zaraz w dniach 30 czerwca i 1 lipca zgłosiły akcesy do Konfederacyi kancelaryja Dyrekcyi E. N. i Towarzystwo Elementarne z prezesem swym, S. B. Lindem, na czele. To ostatnie „z tem mocniejszym uczuciem, że w zapewnieniu przyszłego szczęścia Ojczyzny widzi z pociechą rozszerzające się pole w zawodzie, od prześwietnej Dyrekcyi sobie wskazanym.“ Akces kancelaryi Dyrekcyi E. N. brzmiał: „Osoby kancelaryę Dyrekcyi E. N. składające, przejęte najmocniejszym uczuciem radości, pochodzącej z nadziei powrotu ukochanej Ojczyzny do dawnej świetności i chwały, pośpieszają dopełnić najważniejszych obowiązków prawych Polaków i przystępują uroczycie do Aktu Konfederacyi Jeneralnej, szczęśliwie na dniu 28 b. m. zawiązanej. Dan w Warszawie dnia 30 czerwca r. 1812.“ (Podpisano) W. Surowiecki, sekretarz J. D. E. N. i 9 członków kancelaryi.

Na prowincyi tu i owdzie, jak w Płocku, Kaliszu, Sandomierzu, Krakowie, rektorzy szkół i nauczyciele, pod wpływem wiadomości o zawianiu Konfederacyi, samorzutnie przystępowali do niej. Teraz, wezwani przez swą władzę edukacyjną, tem chętniej to czynili.

<sup>1)</sup> Dokładniejszy program uroczystości, lubo zapowiedziany, nie był przez Dyrekcyę szkołom rozesłany.

Przystępowanie do Konfederacji odbywało się w sposób uroczysty. Zwyczaj po mszy i odśpiewaniu „Te Deum laudamus“ zbierano się w największej sali szkolnej i po mowie rektora odczytywano Raport deputacji sejmowej i Akt Konfederacji Generalnej; następnie przemawiali nauczyciele, poczem podpisywano się na zredagowanym w dwóch egzemplarzach akcesie; nauczyciele—imiennie, od uczniów—prymusowie klas lub imi delegowani. Wszędzie przystępowano z zapalem i wiarą w powodzenie podjętej sprawy. Nieobecni w chwili akcesu swej szkoły nauczyciele nadsyłali swe podpisy później. Jeden tylko nauczyciel w Krakowie w szkole departamentowej, Feliks Słotwiński, nie chciał złożyć swego podpisu na akcesie i, nie podając powodu, wyszedł z sali, wywołując tem zgorszenie młodzieży, jak pisał rektor tej szkoły, Antoni Himonowski. Przystąpiły do Konfederacji: Liceum Warszawskie (rektor S. B. Linde), Poznańska szkoła departamentowa (rektor ks. J. Gorczyzewski), Łęczycka szkoła wydziałowa (rektor Bader), Warszawska szkoła wydziałowa (rektor J. Betley), ks. Pijarów w Warszawie (rektor ks. Czarnecki S. P.), ks. Pijarów w Łowiczu, Instytut nauczycieli w Łowiczu (rektor Siewieliński), Płocka szkoła departamentowa (rektor Rose), Konwikt ks. Pijarów na Żoliborzu (Collegium nobilium, rektor ks. K. Kamiński S. P.), Lubelska szkoła departamentowa (rektor A. Smolikowski), Krakowska szkoła departamentowa (rektor A. Himonowski), Kaliska szkoła departamentowa (rektor R. Gulczyński), Wydział akademicko-lekarski w Warszawie (dziekan Dziarkowski), szkoła w Sandomierzu (rektor M. Kubaszewski), ks. Pijarów w Wieluniu (rektor ks. S. Paszkowski S. P.), ks. Pijarów w Piotrkowie (rektor ks. W. Baranowski S. P.), ks. Pijarów w Łukowie (szkoła wydziałowa, rektor ks. W. Zbrożek S. P.), szkoła w Białej (rektor Konopka), szkoła w Węgrowie (rektor ks. J. Białobrzeski), gimnazjum w Toruniu (rektor Szyrmer), szkoła departamentowa w Bydgoszczy (rektor ks. Wyszomirski), szkoła w Pińczowie (prorektor T. Wyszyński), szkoła ks. Kanoników Regularnych w Miechowie, korpus kadetów w Kaliszu (komendant pułkownik Podczaski), szkoła ks. Bernardynów w Warcie, szkoła Główna Krakowska (rektor Sierakowski, sekretarz J. Czermiński), szkoła ks. Pijarów w Górze, ks. Pijarów w Radomiu (rektor ks. T. Gacki S. P.), szkoła podwydziałowa w Łomży, szkoła wydziałowa w Krakowie, liceum Sejneńskie (rektor ks. Zawadzki), szkoła wydziałowa w Bojanowie (rektor Gerlach), szkoła wydziałowa w Lesznie (rektor pastor B. D. Kassiusz), szkoła w Trzemesznie (rektor J. Meysner), szkoła w Szczuczynie (rektor ks. Falkowski), szkoła wydziałowa w Pułtuskach (rektor ks. A. Żółtowski z zak. Benedyktynów), szkoła w Chełmnie (rektor ks. T. Wojciechowski), szkoła w Wąchocku (rektor ks. O. Adamski), szkoła podwydziałowa w Koprzywnicy, korpus kadetów w Chełmnie, szkoła w Żurominie, szkoła podwydziałowa ks. Bernardynów w Skępem, szkoła w Sieciechowie, szkoła wydziałowa we Wschowie (rektor J. K. Putiatycki), szkoła wydziałowa ks. Pijarów w Opolu, ks. Pijarów w Rydzynie (rektor ks. W. Mazurkiewicz S. P.), instytut nauczycieli w Poznaniu (rektor Gruszczyński), szkoła ewangelicka w Warszawie (rektor pastor K. Lauber), szkoła elementarna artyleri i inżynierów w Warszawie (komendant podpułkownik Gutkowski), szkoła aplikacyjna artyleri i inżynierów w Warszawie, szkoła wydziałowa w Chełmie, szkoła miasta

Praszkci (nauczyciel K. Wolski), seminaryum dyecezyalne Płockie, szkoła Wąschowska (w pow. soleckim), szkoła imienia Zamoyskich w Szczelbrzeszynie <sup>1)</sup>).

Szkoła Kielecka nie zgłosiła przystąpienia, ponieważ, jak donosił rektor ks. J. Czekałowicz, wskutek pożaru budowli szkolnych nauczyciele i uczniowie rozjechali się zawczasu na przedłużone z tego powodu ferie wakacyjne.

Nauczyciele szkół elementarnych przystępowali do Konfederacji bądź osobno, bądź zbiorowo; i tak nadesłali zbiorowo akces do Konfederacji nauczyciele szkół elementarnych z powiatu częstochowskiego, z pow. kaliskiego, z pow. ostrzeszowskiego, z pow. szadkowskiego, z pow. obornickiego, z pow. sieradzkiego.

Poniżej przytaczam akces szkoły Chełmińskiej, którego treść świadczy o tem, jak pojmowali tę sprawę przystępujący do Konfederacji:

„Działo się w Chełmnie, dnia 25 lipca roku 1812.“ Tu następuje krótka wstęp, po którym w dalszym ciągu czytamy: „...Któż, nie chcąc być wyrodkiem, nie przedsięwzięmie przykładać się do ocalenia Polski i upokorzenia nieprzyjaciółki swego istnienia? Zwłaszcza, gdy potężne Nieśmiertelnego Wojska szyki torują szczęściu naszemu drogę, a Konfederacya Generalna daje przykład, jakie uczucie w tej okoliczności rządzić powinno sercem Polaka.

„Gdy zatem sprawa rozpoczęta, a wierni rodacy dowodzą: iż ręka ich jest tarczą, pierś pancierzem, a jedność wzorowa—siłą i wzrostem ich nadziei; przejęci podpisani świętością zamiaru, pragnąc wstąpić w ślad synów Ojczyzny, stosownie do wezwania Jaśnie Wielmożnego Prezesa Rady Stanu i Ministrów, Dyrektora Edukacyi Narodowej z dnia 29 czerwca r. b., wręczonego dnia 19 lipca r. tegoż, zgromadziliśmy się dziś profesorowie wraz z uczniami szkoły Chełmińskiej, którzy, lubo są małoletni, sercem jednak i przywiązaniem nie są dalekimi od swych braci i po przeczytaniu Aktu Konfederacyi Generalnej, które poprzedziło przedmiotu wyjaśnienie, osądziliśmy jednomyślnie wyrazić, co następuje:

„Zareczamy posłuszeństwo zleceniom Rady Konfederacyi Generalnej, i ofiarujemy się na uskutecznienie tego, czego od nas żądać będzie dla dobra Polski.

„Oświadczamy w obliczu Świadka sumienia naszego, iż postęпки nasze będą odpowiadać woli Konfederacyi Generalnej, a myśl nawet przeciwna nie znajdzie miejsca w sercach naszych.

„To oświadczuwszy, dla należytej wiary własnoręcznie podpisujemy.“

(Podpisano) A. u. s. ksiądz Teodor Wojciechowski, rektor i prof. 1-szy. Ksiądz Kazimierz Czichorski, prof. 2-gi. Andrzej Steck, prof. 3-ci. Antoni Mackiewicz, nauczyciel elementarny.

<sup>1)</sup> Oryginały akcesów tych szkół, nadesłane Dyrekeji E. N. i przesłane następnie Radzie Konfederacyi, prawdopodobnie zaginęły wraz z całym archiwum Konfederacyi (K. Koźmian: Pamiętniki. Poznań, 1859, t. II, str. 405). W „Dzienniku Konfederacyi“ wydrukowane są tylko akcesy szkół: Warszawskiej ewangelickiej (str. 55), Sandomierskiej (str. 66), Łęczyckiej (str. 90) i Warszawskiej wydziałowej (str. 91).

Podpisy wybranych uczniów z klas. Wybrani z klasy 3-ej, w imieniu wszystkich, Matysz Osmański, Tomasz Mackiewicz. Wybrani z klasy 2-ej, w imieniu wszystkich, Franciszek Duliński, Leo Rytel. Wybrani z klasy 1-ej, w imieniu wszystkich, Jan Krasucki, Ksawery Radziński.

Akcesy instytucji edukacyjnych Księstwa świadczą o zapale, jaki ogarnął kraj w r. 1812 i o wielkich nadziejach, z ową pamiętną wojną związanym. „Lubo nauczyciele ze stanu swojego w spokojuści kochać się zwykli”—jak pisał rektor szkoły wydziałowej w Bojanowie do Dyrekcji E. N.—przecież na wezwanie do Konfederacji pospieszyli jedni z pierwszych, prowadząc za sobą młodzież; choć zubożali, niemal od początku 1812 r. przez skarb Księstwa nieopłacani, jednak gotowi do ofiar.

WŁADYSŁAW SKUP'.

## Kilka słów o plagiacie w literaturze polskiej XVII w.<sup>1)</sup>

Plagiaty w literaturze polskiej XVII w. były nader rozpowszechnione; trzeba sumiennych badań, a często przypadku, aby je wykryć. Posługiwali się nimi, przepisując dosłownie całe ustępy, lub wydając nawet obce utwory pod swem imieniem, głównie poeci drugo i trzeciorzędni. Ciekawe uwagi o plagiacie wogóle, a w szczególności o polskim, podał A. Sozański w książce p. t. „Ciekawe szczegóły z literatury i bibliografii,” Wiedeń, 1858. Ostatnimi czasy napisał nader zajmujący artykuł o plagiacie H. Łopaciński w „Pamiętniku literackim,” wychodzącym we Lwowie, w 1902 r., str. 265 i n. Obok sporej garści cytowanych plagiatów podał autor także dość obfitą literaturę obcą i polską w tej kwestyi.

Kilka plagiatów z XVII w. udało się i mnie także wykryć u poetów drugo i trzeciorzędnych. Jednym z owych „rymarzy,” bardzo płodnym, a podsywającym się czasem pod cudze piórka jest Jan Żabczye. Poeta to w pierwszej połowie XVII w. bardzo poczytny (o czem świadczą liczne wydania pism jego), aczkolwiek jedynie miernoty po sobie pozostawił. Pisma jego, typowe jako objaw już psującego się a nawet zepsutego smaku, a przytem jałowe w treści, po kilkanaście razy przedrukowywano. Otóż Jan Żabczye w jednym ze swoich utworów p. t. „Politica dworskie,” Kraków, 1616,<sup>2)</sup> przepisał dosłownie wstęp z utworu Hieronima Morsztyna p. t. „Światowa rozkosz,” Kraków, 1606.<sup>3)</sup> Wstęp ten u H. Morsztyna brzmi:

<sup>1)</sup> Niniejszy artykuł jest wyjęty z obszerniejszej pracy.

<sup>2)</sup> Korzystałem z wydania z 1630 r., własność Bibl. Kórnickiej.

<sup>3)</sup> Korzystałem z przedruku J. I. Kraszewskiego w jego „Pomnikach do historii obyczajów w Polsce XVI i XVII w.” Warszawa, 1843.



Jeśli pióro w czym zblądziło,  
Przeciw roskoszy zgrzeszyło,  
Ty się, co czytasz, nie gniewaj,  
Ani się ze mnie naśmiewaj.  
Bo w roskoszy trudno było  
Nie potknąć się, wszak to miło  
Czasem bywa w krotchwili,  
Choć kto w tańcu taktu zmyli:  
Ani to obraży rodzi,  
Że się ten znacza, kto brodzi,  
Staw cetnem (sic) komu to wadzi,  
Że kto lichem na szanie sadzi,  
Ze mnie, jako z gęsi, woda,  
Zły-li mój rym, moja szkoda.

Jan Żabczyc zmieniał tylko „roskosz“ na „wiersz,“ a zresztą dosłownie ukradł wstęp cały Hier. Morsztynowi; zmieniony jest tu zatem wiersz drugi i piąty. Wiersz drugi brzmi u Żabczyca:

Przeciw *wierszowi* zgrzeszyło,

u Morsztyna:

Przeciw roskoszy zgrzeszyło.

Wiersz piąty brzmi u Żabczyca:

Bo w *wierszu* też trudno było,

u Morsztyna:

Bo w roskoszy trudno było.

Plagiat jest tu więc widoczny; albowiem utwór H. Morsztyna wyszedł w 1606 r., a Żabczyca w 1616 r.

Nie dość na tem. W 1642 r. wydaje Żabczyc utwór bardzo ciekawy p. t. „Symphoniae anyelskye,“ Kraków, 1642. Dzieło to—znane niegdyś Juszyńskiemu <sup>1)</sup> i Maciejowskiemu <sup>2)</sup>—dziś zapomniane, zawiera 36 kolęd. Napisał je lub zebrał J. K. Dachnowski i wydał pod tym samym tytułem w Krakowie 1631 roku, <sup>3)</sup> a więc o 11 lat wcześniej, niż Żabczyc, który tedy już po raz drugi dopuszcza się pospolitej kradzieży literackiej, plagiatu.

Nakoniec Maciejowski w „Piśmiennictwie polskim,“ t. III, str. 490, pisze, że Żabczyc utwór swój p. t. „Ethyka dworska,“ Kraków, 1615 (znam edycję z 1616 r., własność Biblioteki Kórnickiej), wydany później pod zmienionym

<sup>1)</sup> Cf. Dykeyonarz, t. II, str. 352.

<sup>2)</sup> Cf. Piśmiennictwo polskie, t. III, str. 488.

<sup>3)</sup> Cf. mój artykuł p. t. „Symphoniae anyelskye... J. K. Dachnowskiego“ w „Bibliotece Warsz.,” grudzień 1911.

tytułem, jako „Forma albo wizerunek stanów wszelakich,“ Kraków, 1633,<sup>1)</sup> a będący zbiorem sentencji przysłowiowych i szlacheckich, „przepisał z dziełka, które w r. 1600 przedrukowano p. t. „Gospodarstwo jeździeckie, myśliwce i strzelcze“; niewiadomą i niepewną jednak jest rzeczą, czy ta uwaga Maciejowskiego jest istotnie trafna. W każdym razie pozostaje ona do sprawdzenia dla badacza, który plagiatem w literaturze polskiej XVII w. zajmować się będzie.

Natomiast tenże sam Żabczyca bardzo się gniewał, skoro i na nim dopuszczono się drobnej tylko kradzieży literackiej. Niejaki bowiem Piotr Napolski napisał utwór p. t. „Krwawy Mars narodu sarmackiego,“ Kraków, 1628.<sup>2)</sup> Żabczyca napisał do tego utworu przedmowę wierszem, a Napolski nie wydrukował pod nią nazwiska Żabczyca, lecz swoje. Oburzył się tem Żabczyca i w utworze p. t. „Quaternio,“ Kraków, 1629, temi słowy skarcił Napolskiego:

Owo każdy rzemięśłem rad się swoim bawi,  
Tylko niech się swą pracą na światło wystawi,  
A nie nocnym sposobem, jak czynią złodzieje,  
Ci pod swój tytuł garną, co się kędy dzieje.  
A pytasz, kto w tym winien? Panowie Pisarze,  
Co *magistrami* czynią brzydkie Farynarze,  
*Praefacye* im piszą do cudzej roboty,  
Świadkiem tego *Mars krwawy chocimskiej ochoty*.  
A ja, com w tym pracował, nie mogę mieć swego  
Tytułu wiernej pracy dla złodzieja złego.

Wspomina więc Żabczyca wyraźnie, że „*praefacye*“ napisał. Idzie tylko o to, czy tytuł podany w przytoczonym wierszu Żabczyca „Mars krwawy chocimskiej ochoty“ jest identyczny z właściwym utworem Napolskiego, który nosi tytuł „Mars krwawy narodu sarmackiego.“ Mojem zdaniem bezwarunkowo jest tu mowa o utworze Napolskiego, twierdzenie zaś moje popieram następującymi dowodami:

1) Utwór Napolskiego opiewa wojnę chocimską. Że Żabczyca nieco zmienił tytuł, to uczynił to, jak widać z cytatu, dla rymu. Równocześnie

<sup>1)</sup> Etyka wydana 1615, przedrukowana była 1616, 1644, 1646. Forma albo wizerunek wydany 1633, przedrukowany 1644, 1684.

<sup>2)</sup> Cf. Biegeleisen „Hist. literat. polsk.“ t. IV, str. 5, oraz artykuł P. Chmielowskiego o Napolskim w „Wielkiej Encyklopedyi powszech. ilustr.“; Chmielowski pisze tam, że utwór ten był po raz pierwszy wydany 1620 r., Estreicher natomiast tego wydania nie wymienia. Na tytule jednak „Krwawego Marsa“ jest wzmianka wyraźna: „bitwy krótko opisane w r. 1620 i 1621... pod Chocimem zamkiem, także... na polach Cecorskich...“ Wynika stąd, że albo wydania w 1620 r. wcale nie było (gdyż bitwa chocimska odbyła się w 1621 r.), albo data, o ile takie wydanie podług prof. Chmielowskiego istniało, została zmieniona, czy też pomyłona z winy samego Napolskiego lub drukarni.

jednak tę nam wyświadczył usługę, iż w tym zmienionym nieco dla rymu tytule zawarł treść poematu, którą jest właśnie chocimska wojna;

2) Żabczyc pisze, że złodziej ów był magistrzem, mówiąc: „magistrami czynią brzydkie Farynarze.“ Napolski był istotnie magistrzem i pod prefacją podpisał się: „P. Napolski, Art. et Phil. Mag.“

Na tem miejscu sprostować muszę jeszcze wiadomość, podaną przez d-ra H. Biegeleisena w jego „Historji literat. polsk.," t. IV, str. 5, gdzie autor pisze, że Żabczyc zwał się właściwie Napolski i wydał utwór p. t. „Krwawy Mars narodu sarmackiego.“ Jest to gruba pomyłka, bo Żabczyc tak się nigdy nie nazywał; utwory zaś swoje wydawał pod imieniem Jan Żabczyc, Żabczic, Jan z Żabczyca; utwór zaś wspomniany „Krwawy Mars narodu sarmackiego“ jest pióra Napolskiego i znajduje się w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie. Pomyłka ta u znanego badacza powstała zapewne stąd, że Żabczyc wydał utwór pod podobnym tytułem, mianowicie „Mars moskiewski krwawy," Kraków, 1605, kronikę rymowaną o sprawie Dymitra Samozwańca i Maryny. Poniemaj takich Marsów krwawych i srogich wydawano wtedy mnóstwo, więc łatwo w ten sposób zaszła pomyłka u Biegeleisena.

ALFRED BRODNICKI.

## PIŚMIENNICTWO.

STANISŁAW PIGOŃ. *O Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego A. Mickiewicza*. Kraków 1911, 8-o, str. XI + 191.

Niewiele jest książek w naszej krytyce historyczno-literackiej ostatnich czasów, któreby tak, jak powyższa, łączyły w sobie szczerą, bezpośrednią, uczuciową stosunek do rozpatrywanego dzieła z możliwie ścisłą, choć nie pedantyczną i bezduszną metodą. Zjednoczenie i szarmonizowanie tych cech należy do podstawowych i pierwszorzędných, niestety, rzadko u nas spotykanych zalet pracy krytycznej w dziedzinie historii literatury. Stanowisko bowiem czysto filologiczno-bezosobiste podnoszone u nas bywa do godności niemal jedyne go dogmatu i sprawdzianu metody naukowej. Polega to na grubym nieporozumieniu, na pomieszaniu pojęć i terminów, na wnioskowaniu z fałszywych i czysto zewnętrznych analogii. Pragniemy bowiem zbliżyć się do ścisłości nauk przyrodniczych, a nie uświadamiamy sobie jasno ani różnic, ani wspólności, jakie nas dzielą lub łączą z metodą tych nauk. Przenosimy ją więc żywcem w dziedzinę historyczno-estetyczno-moralną, przenosimy czysto zewnętrznie i powierzchownie i zdaje nam się, że tym sposobem nadamy naszym opisom czy objaśnieniom, sądom czy ocenom wartość t. zw. prawdy obiektywnej. Jest to czyste złudzenie. Najprostszy opis faktu literackiego, najprostsze wyjaśnienie jego znaczenia treściowego wymaga od krytyka przedewszystkiem odczucia i zrozumienia, a więc ustosunkowania się bezpośredniego i osobistego do danego utworu. W przeciwnym wypadku będzie to opis czy wyjaśnienie czysto zewnętrzne, nie albo bardzo mało mające wspólnego z duchem utworu. Tak więc w tej najprostszej i najprymitywniejszej for-

mie pracy krytycznej moment uczuciowy i osobisty wysuwa się na pierwszy plan. Nie wynika jednak z tego bynajmniej, aby moment ten miał być jedynym czy choćby nawet głównym motorem krytyki; musi on być przewyciężony i opanowany, w ten sposób jednak, aby się obecność jego czuła w sobie nieustannie, aby w każdej chwili mógł być wywołany w swojej pierwotnej świeżości i sile, nawet w ciągu konstruowania i krystalizowania się ostatecznej formy krytyki, t. j. oceny, w której naturalnie, obok elementów indywidualnych, występują silnie elementy społeczno-gromadne. W ten sposób tylko osiągnąć możemy możliwy i dostępny nam obiektywizm, który, jak już dobitnie stwierdzono, nie jest niczem innym, tylko motywowaniem naszych własnych sądów i nadawaniem im znaczenia ogólnie obowiązującego. Co więcej, w ten sposób tylko zbliżymy się w naszej dziedzinie do *ducha* metody nauk ścisłych, w której — jak to udowodniają prace Poincaré'go — pierwiastek osobistego stosunku badacza do faktu badanego, tej czysto artystycznej rozkoszy łączenia elementów rozproszonych, uogólniania, tworzenia harmonii i syntezy — odgrywa niemałą rolę.

W nowoczesnych badaniach nad istotą i zakresem wiedzy zacierają się niemal zupełnie różnice zasadnicze podstaw psychologicznych nauki i sztuki, łączą się one w podstawowej dążności ducha ludzkiego do harmonii i w estetycznych rozkoszach i wzruszeniach, towarzyszących tej dążności. Dlategoż więc w dziedzinie historii literatury mamy — oparci o przestarzałe już orientacje — wyrzekać się tych elementów, które nawet w naukach ścisłych uznane są dziś za integralne i bardzo ważne. Nie chodzi tu przecież o to, aby pisać „ładnie“ i kwiecicie, aby wyrzucać z siebie poematy uczuć, tworzyć impresje, nastroje i wogóle — jak powiada Anatol France — mówić *o sobie à propos* jakiegoś utworu czy pisarza. Natomiast w „najnudniejszej“ (w znaczeniu popularnem), w najbardziej suchej, w najściślejszej filologicznej pracy musi dominować ten osobisty, bezpośredni stosunek do badanego materiału, musi narzucać się czytelnikowi to najgłębsze przeświadczenie autora, że sprawa, o której pisze, jest dla niego osobiście ważna, absorbuje go i „pasyjonuje“, że zainteresowanie się jego *życiowe*, nietylko sztucznie teoretyczne, całkowicie pochłonięte jest daną kwestyą, że pracy swej nie odrabia, jak urzędnik, któremu jest absolutnie wszystko jedno, jaki mu dadzą „papier“ do zreferowania, a w głębi duszy nie go to wszystko nie obchodzi. Niełatwo jest żyć myślą i uczuciem innych, a przytem nie zatracić myśli i uczuć własnych, ale tak właśnie żyć musi krytyk, aby

dzieła jego były rzeczywiście dziełami myśli, a nie rutyny czy przypadku.

Praca Pigionia podjęta jest właśnie w duchu powyżej wyrażonych postulatów i z tego też względu szczególnie zasługuje na uwagę. Autor nie tylko opanował doskonale cały materiał, nie tylko zapoznał się szczegółowo ze wszystkim, co jakkolwiek związek mieć może z „Księgami pielgrzymstwa polskiego“, nie tylko umie tak zgromadzonym materiałem uniejętnie operować, ale równocześnie przemyślał gruntownie każde zagadnienie zawarte w „Księgach“, uczynił je swoją osobistą własnością duchową, wżył się głęboko w całą tę atmosferę, wśród której dzieło to powstało, postarał się wszystko zrozumieć i wszystko wytłómaczyć. Stąd książka jego posiada żywość i świeżość myśli, szczerłość i bezpośredniość odczucia, szerokie perspektywy i horyzonty. Tyczy się to zwłaszcza dwóch pierwszych rozdziałów, w których omówione są początki Wielkiej Emigracji i jej ideologia, oraz przemiany wewnętrzne Mickiewicza do r. 1832 i geneza „Ksiąg narodu i pielgrzymstwa polskiego“. Ponieważ dzieło Mickiewicza ściśle związane jest z Emigracją, jej przyczynami, ideologią i znaczeniem i na tem tle tylko należycie zrozumiane być może—rozpoczyna więc autor swą pracę od szerokiego nakreślenia tego tła. Kreśli pochodź emigrantów polskich przez Niemcy, pierwsze ich chwile w Paryżu, unicestwienie zamiaru stworzenia legii polskiej, wreszcie tworzenie się ideologii emigracyjnej, tych fundamentów idei posłannictwa Polski, stworzonych niezależnie od Mickiewicza, na których dopiero zbudował gmach swego idealnego pielgrzymstwa. • Słusznie zwraca tu autor uwagę na wielkie znaczenie, jakie miała dla psychiki emigrantów utrata nadziei służyć w legionach. Ale czy można się w tem dopatrywać jedynej przyczyny zmarnienia Emigracji, czy przyczyna ta nie leżała głębiej, czy wreszcie wolno nam dzisiaj patrzeć oczyma pielgrzymów na stosunek rządu francuskiego do nich—to wszystko kwestye, któreby należało rozstrzygać z innego nieco punktu widzenia niż to czyni Pigoń. Tak samo trudno mi jest dopatrzeć się tak wielkiego niebezpieczeństwa dla rzeszy emigracyjnej w nawoływaniu Komitetu Lelewela do przystąpienia „do świętego ludów przy mierza“. Gdyby bowiem pielgrzymi polscy zdolni byli wówczas zrozumieć, jak wielką wartość przedstawiać może dla nich przypatrzenie się zblizka *normalnemu* życiu społeczeństwa—mogliby się nauczyć bardzo wielu rzeczy, obcych im z gruntu, a jednak najważniejszych przy budowaniu „ojczyzny wolnej“.

Celem wytłómaczenia genezy „Ksiąg“ zaczyna autor od czasów pobytu Mickiewicza w Rosyi, kładzie bardzo silny i bardzo słuszny nacisk na olbrzymi wpływ, jaki wywarł na poetę Oleszkiewicz (na co dotychczas niedostateczną zwracano uwagę), wstrząsający tymi fundamentami, na których zbudowany był „Konrad Wallenrod“. Okres rzymski w życiu duchowym poety i jego znaczenie dla przyszłych „Ksiąg“ przedstawia autor również subtelnie, a samodzielnie; udowadnia, wbrew A. Górskiemu, że Mickiewicz „doszedł drogą własną do katolicyzmu, nie było to chwytanie czegoś zewnętrznego, czegoś zabójczego dla twórczości—z tego procesu wyszły przecieź poezye religijne, perły w liryce Mickiewicza“ (str. 39—40). Trudno argumentom jego nie przyznać słuszności, choć z drugiej strony zaznaczyć trzeba, że rozprawił się tutaj tylko z jedną częścią hipotezy Górskiego, a ściślej powiedziawszy, z jedną jej stroną. W konstrukcyi bowiem tego ostatniego, Mickiewicz „sobą samym“ jest właściwie tylko w Improwizacyi i w epoce towianizmu, t. j. wtedy, gdy dochodzą w nim do pełnej świadomości jego instynkty władcze; wszystkie pozostałe okresy jego twórczości i działalności ukazują się w tem oświeceniu na niższym nieco poziomie, kiedy to poeta pod rozmaitemi formami *służy* narodowi, zamiast zgodnie ze swą naturą *władac* nim i *rządzić*. Chodzi tu więc—w zastosowaniu do okresu rzymskiego—nie tylko o to, czy Mickiewicz własną drogą dochodzi do katolicyzmu, czy też przyjmuje go tylko z zewnątrz, jako pewną ustaloną, a potrzebną w danym wypadku formę, ale przede wszystkim może o to, czy katolicyzm tak pojęty utrzymuje ducha poety na tym samym wysokim poziomie Improwizacyi i towianizmu. Stosuje się to zresztą nie tylko do okresu rzymskiego — podobnie bowiem przedstawia się kwestya i w innym okresie, nazwanym przez Górskiego „rezygnacyjnym“, a który trwa od napisania III-ej części „Dziadów“ aż do towianizmu. Z tem wszystkim przyznać trzeba, że wywody Pigionia, choć nie wyczerpują kwestyi, podważają jednak mocno stanowisko Górskiego i wywołują potrzebę gruntownej rewizyi całej tej koncepcyi Mickiewicza. Przyznaję to chętnie, choć sam w moich studyach dotychczasowych opierałem się na Górskim w tej kwestyi, a przyznaję tem chętniej, że argumenty Pigionia wzmocniły moje wątpliwości (powstałe jeszcze dawniej) co do słuszności tych właśnie poglądów.

Nie możemy tu w dalszym ciągu streszczać szczegółowo wszystkich poruszonych przez autora zagadnień; zawierają one zaprawdę tak bogaty materiał, że omówienie go wyczerpujące

(jak na to zasługuje) przekroczyłyby znacznie rozmiary recenzji. Odsyłając więc czytelników po szczegóły do samej książki, tu omówimy tylko jeszcze najważniejsze jej zdobycze i postaramy się zwrócić uwagę na to, co w niej wywołuje pewne wątpliwości i zastrzeżenia.

Do ważnych zdobyczy należy przedewszystkiem sformułowanie i zupełnie przekonujące określenie wpływu Tomasza à Kempis na kształtowanie się poglądów Mickiewicza, jak również stwierdzenie, że wpływ Lamennais'go na poetę „trzeba stanowczo w wielu punktach zredukować na rzecz tego wspólnego ich mistrza“ (str. 49). Niejasnem tylko wydaje się przenoszenie tego wpływu również i na Improwizację (str. 51). Twierdzenie, jakoby „podstawowe założenie *Nasładowania*: zaparcie się siebie“ było zachowane w „Dziadach“ III, „ale dokonało się tu na rzecz narodu“, nie zgadza się nietylko z podstawowem założeniem Improwizacji, którem jest przedewszystkiem wiara w siebie („pycha“—jak ją określa później ks. Piotr), ale nawet z własnym poglądem autora, wyrażonym o parę stronic dalej, że „nieszczęścia narodowe rozbiły całą w trudzie wzniesioną konstrukcję chrześcijańskiego na świat poglądu“ (str. 59).

W kwestyi samej genezy „Książ“, wyprowadzonej zresztą bardzo subtelnie, za mało jednak zwraca autor uwagi na te ważne w niej pierwiastki osobiste, tę konieczną potrzebę, zrodzoną w duszy Mickiewicza-ks. Piotra, pójścia w służbę narodu, dociekania jego przeszłości i posłannictwa przyszłego, poszukania w nim samym, w dziejach jego i w życiu wewnętrznem, domowem ideału odrodzenia i dróg ku niemu wiodących. Większość tych momentów uwzględnia zresztą autor, ale nie zdaje się przywiązywać do nich tej wagi, na jaką zasługują.

W dalszym ciągu omawia autor ewolucję tekstu „Książ“ i wpływy, jakie na nie oddziaływały; wykazuje przyczyny ideowe i artystyczne zmian, dokonanych w tekście pierwotnym—ze źródeł wskazuje, oprócz Oleszkiewicza, ks. ks. Chołoniewskiego i Lamennais'go, Biblię, dalej bardzo interesującą wspólność pomiędzy ideologią „Książ“ a sądami Czartoryskiego o dyplomacji i polityce europejskiej, wreszcie niewątpliwy wpływ pism i odezwo Lewewela. Zbyt może pośpiesznie odrzuca możliwość oddziaływania „Mowy o narodowości“ Brodzińskiego na „Książ“; słusznie wykazuje znaczne różnice między niemi, zapomina jednak o tem, że pismo Brodzińskiego stanowiło również cząstkę tej ogólnej atmosfery emigracyjnej, której „Książ“ tyle zawdzięcza.



Następuje rozbiór treści „Ksiąg“ i wreszcie najważniejszy rozdział, poświęcony rozważeniu ich ideologii i znaczenia. W rozdziałach tych analizuje autor szczegółowo, choć bez zbytnej drobiazgowości, wszystkie zagadnienia ogólne i aktualne, związane z „Księgami“. Określa ich wartość w dziedzinie pedagogiki narodowej i literatury, wyszczególnia dokładnie, jakie środki wychowawcze podawały Emigracyi, jak zapobiedz się starały chorobom emigracyjnym, jakie wreszcie otwierały perspektywy na wychowanie narodu w duchu poświęcenia się jednostki za ojczyznę, jednostki odrodzonej moralnie za ojczyznę, pojętą jako rzeczywistość metafizyczna i moralna. Jednym słowem uczynił wszystko dla wydobycia na jaw i sformułowania plastycznego tego wszystkiego, co stanowi wartość niespożytą tej „ewangelii“ Mickiewicza.

Niebrak jednak i tu pewnych mniejszych lub większych nieporozumień. I tak np. twierdzi Pigoń, że „ani w „Dziadach“ III, a tembardziej w „Księgach“ niema mowy, że śmierć Polski była ofiarą dla zbawienia świata“ (str. 93), przyczem rozumie ją, jako ofiarę *bierną*, jako „kwietystyczną teorię czekania na owoce zasług narodowej przeszłości“. Zachodzi tu oczywiście pomyłka co do sposobu pojmowania ofiary: pojęcie to tkwi niewątpliwie *implicit* w „Księgach“, ale nie w znaczeniu powyższem, to też niepotrzebnie kruszy o to autor kopie. Ofiara niekoniecznie musi być *bierna* (jak o tem poucza „Anhelli“), śmierć męczeńska zaś niekoniecznie czemś zasadniczo różnem od „pracy wieków“. Sam autor przecież kilkakrotnie zwraca uwagę na znaczenie upadku powstania dla ideologii Emigracyi i twórczości Mickiewicza i na to, w jak specjalnych i dla nas tylko zrozumiałych warunkach formowała się ta ideologia. Tworzy się więc i specjalne pojęcie ofiary Polski dla zbawienia świata, oparte nietylko na świadomości znaczenia, jakie powstanie Polski miało dla Europy, ale również znaczenia jej upadku dla sprawy rozbudzenia wolności wśród „ludów“, której rycerzami stawali się pielgrzymi.

Niebardzo również przekonywującym jest pogląd autora jakoby „Księgi“ znaczyły koniec *romantyzmu* w Polsce, przezwyciężenie jego ideowości“ (str. 104). Naturalnie, że i tutaj porozumiećby się wprzód należało co do ściślej zawartości pojęcia romantyzmu. Jeżeli jednak przyjmujemy nawet definicyę autora, przejętą z rozprawy Kleinera, że „dusza romantyczna przeciwstawia się świadomie *światu*“ (str. 105), to czyż nie będziemy musieli przyjąć, że „Księgi“ starały się właśnie wcielić w życie pewną formę romantyzmu, gdyż wyraźnie i świadomie przeciwstawiały jeden naród całemu światu?

I tu dotykamy zasadniczej kwestyi, dotyczącej pracy Pigo-  
nia. W ostatecznej ocenie wartości i znaczenia „Ksiąg“ nietylko  
dla literatury, ale i dla życia polskiego i nietylko dla życia ów-  
czesnego, ale i dla dzisiejszego, zachwiewa się nieco ta równo-  
waga, którą utrzymywał dotychczas pomiędzy uczuciem uwielbie-  
nia dla dzieła, a surowemi wymaganiami oceniającego sądu.  
W ostatecznej ocenie wydobywa wszystko, co ma trwałą wartość  
w „Księgach“, ale przyryka też oczy na prostolinijność ich  
ideologii i historyzofii, patrzenie nieufnem okiem na całe olbrzy-  
mie dziedziny życia ekonomiczno-społecznego, a nawet lekcewa-  
żenie ich i dyskredytowanie w oczach pielgrzymów, cały ten wo-  
góle romantyczny stosunek do olbrzymimi krokami naprzód idącej  
ludzkości. Przypuszczać należy, że autor tej tak poważnej i war-  
tościowej książki, nie sądzi chyba, żeby zwrócenie uwagi na tę  
stronę „Ksiąg pielgrzymstwa“ obniżało w czemkolwiek ich do-  
niosłe znaczenie. Dla ostatecznego więc wykończenia swego stu-  
dium i uchronienia się od niesłusznych może zarzutów, powinien  
był tę kropkę nad *i* jeszcze postawić.

M. KRIDL.

DR. KONSTANTY WOJCIECHOWSKI. *O Zygmuncie Krasińskim*. We Lwo-  
wie. Nakładem Macierzy Polskiej, 1911, 8-o, str. 125.

Wszyscy zgadzają się na to, że opracowywanie popularne  
życia i twórczości naszych wielkich ludzi jest sprawą nietylko  
pierwszorzędnej wagi, ale i pierwszorzędnych trudności. Nie  
wszyscy jednak uświadamiają sobie jasno na czem te trudności  
polegają. Ustaliło się mniemanie, że chodzi tu przedewszystkiem  
o umiejętność mówienia w sposób łatwy o rzeczach trudnych,  
uprzystępniania rzeczy niedostępnych, przystosowywania się do  
nizkiego, czasami nawet pierwotnego stanu umysłu czytelnika  
i wynajdowania takich sposobów opowieści, obrazowania i argu-  
mentowania, aby go one mogły zająć, olśnić i przekonać.

Są to niewątpliwie bardzo ważne postulaty „popularności“,  
ale nie najważniejsze i nie jedyne. Nadto przeważna ich część  
nie może służyć za miarę do oceny czy dana rzecz jest popular-  
na czy nie, bo wszak i dziełom najbardziej „niepopularnym“ sta-  
wiany wymagania jasności, logiki, możliwej prostoty, siły argu-  
mentacji i przekonywania. Metoda jest więc pod tym względem  
*mutatis mutandis* ta sama, różny jest tylko sposób jej użytkowa-

nia i różne są cele, którym służy. Dlatego też powstaje na tem tyle nieporozumień: dzieła w założeniu swem „niepopularne“ stają się popularnemi i to często w znaczeniu najgorszem, bo operują banalnemi i oklepanemi aż do znudzenia orientacyami, książki zaś przeznaczone dla „mas“ stają się w zasadzie niepopularne przez to, że albo nie potrafią tych mas zainteresować daną kwestyą albo też mówią im wprost o rzeczach, które ich w danym stanie rzeczy interesować nie mogą, są dla nich niezrozumiałe, bo nie mają nic wspólnego z ich życiem.

I tu dochodzimy do jądra kwestyi. Nie tykając innych dziedzin wiedzy, pragnę tylko w dziedzinie literatury zwrócić uwagę na pewne, niewzględniane dotychczas należycie w wydawnictwach popularnych, konieczności. To, co je powinno zasadniczo odróżniać od innych, to nie większa lub mniejsza prostota wykładu, lecz podkreślenie i uwydatnienie w omawianych poetach i pisarzach tego wszystkiego, co ich ściśle i bezpośrednio łączy z epoką współczesną, co stanowi ich znaczenie trwałe i nieprzemijające, czem dziś jeszcze przemawiają żywo i silnie do każdego czującego serca, do każdego, choćby nawet słabo rozwiniętego umysłu, jednym słowem przedstawienie ich *wartości na dziś*. Wszelkie kryteria historyczne, krytyczne, literackie powinny być z takich prac stanowczo usunięte, bo masy nie są smakoszami historyczno-literackimi, ale żądają zdrowego, pożywnego i łatwo strawnego pokarmu. Nie obchodzi ich to w kim np. Mickiewicz się kochał, ale muszą wiedzieć o tem, co Mickiewicz uważał za obowiązek każdego Polaka i jaką wskazywał mu drogę do wolności. I nic to nie szkodzi, że przez takie stawianie kwestyi dana postać musi do pewnego stopnia zubożeć pod względem psychologicznym, uprościć się, sprymitywnieć, że musi być podana w pewnym skrócie, jakby wyrabana jakimś tępym narzędziem. Jest to nieuniknione, a daleko lepsze od przeciążania wydawnictwa bądź to młodzieńczymi, słabymi utworami poety (jak to czyni prof. Kaltenbach w swoim ostatniem wydaniu dzieł Mickiewicza), bądź szczegółami jego życiorysu lub twórczości, mającymi znaczenie tylko dla badaczy. W związku z tem nasuwa się i inna kwestya, a mianowicie, czy należy w opracowaniach popularnych zwracać uwagę na pewne ujemne strony charakteru, twórczości czy działalności danego człowieka, czy choćby tylko na pewne epoki jego życia czy pewne utwory, w których ukazuje się niższym pod względem moralnym lub ideowym. Z tego, co powyżej powiedziano o celu wydawnictw popularnych, wynika jasno, że stanowczo nie powinno się tego robić, bynajmniej nie ze względów

oportunistycznych ani szowinistycznych, ale poprostu z czysto racjonalnych i utylitarnych. Nie chodzi bowiem — powtarzam — o psychologię danej postaci, ale o jej wartość na dziś. A więc w wydawnictwach popularnych nie należy pomieszczać utworów słabych, zwłaszcza takich, których poeta sam do druku nie przeznaczał, w opracowaniach zaś nie rozwodzić się nad wadami i lukami, lecz uwydatniać rzeczy trwałe i wartościowe. Wyjątek można uczynić co do osobistości, u których ze względu na całokształt ich twórczości czy działalności, pewnych ciemniejszych stron absolutnie pominąć nie wolno. W innych wypadkach narażać się tem można na wielkie niebezpieczeństwo niezrozumienia albo nawet przekręcenia przez czytelnika ocen i sądów w najlepszej nawet intencji użytych.

Przeważnej części wyrażonych tu wymagań i dezyderatów odpowiada wymieniona w tytule książka d-ra Wojciechowskiego. Autor zdaje sobie doskonale sprawę z celów, do jakich zdąża i z środków, jakimi rozporządza. Prostota, jasność i zwięzłość jego stylu są imponujące; jego barwność i żywość sprawiają, że pracę tę czyta nawet „fachowiec“ z zainteresowaniem. W opowieści o życiu i dziełach Kraszińskiego widnieje, obok kompletnego opanowania materiału, zdolność umiejętnego dobierania najcharakterystyczniejszych utworów i wyjątków. Streszczenia i cytaty łączą się z sobą harmonijnie, ważniejsze dzieła omówione i cytowane obszernie, słabsze i mniej ważne krótko lub zbyte zupełnem milczeniem; w całym układzie wyraźna dążność do zaznaczonego powyżej — uwydatniania i podkreślenia wartości nieprzemijających i zawsze aktualnych, zmuszanie czytelnika do konfrontowania życia własnego i stosunków współczesnych z temi drogami, któremi płynął duch poety i z temi ideami, jakie życiu indywidualnemu i zbiorowemu stawiał. Pozatem rozbiory utworów uzupełniane bardzo umiejętnie i szczęśliwie cytatami z listów poety, wykazującemi niezbitcie, jak każdy pomysł poetycki był własnym, osobistym, życiowym, jak w nich mało było, zwłaszcza w pierwszej epoce, sztuczności i teoretyzowania.

Nie brak co prawda i w tej pracy pewnych odchyień od tej głównej linii, pewnych usterek, jak np. niezupełnie potrzebne streszczanie „Masława“ lub wyliczanie utworów, których się bliżej nie rozpatruje (str. 8), czasami za wiele sądów literackich i biografii i t. p.

Świadczą te usterki tylko o tem, jakie trudności ma do zwalczenia piszący „popularnie,“ nie ujmują jednak ogólnej wartości tej pierwszej pracy, mogącej rzeczywiście przyczynić się do zrozumienia i odczucia wśród szerokich warstw ludowych ducha twórczości Krasińskiego.

M. K.

RADZISZEWSKI HENRYK. *Bank Polski*. Warszawa, 1910.

Wśród historyczno-ekonomicznych publikacji, które pojawiły się w ostatnich czasach, jedno z pierwszych miejsc zajmie, bez wątpienia, zakrojone na szeroką skalę dzieło Henryka Radziszewskiego — „Bank Polski.“

Autor w swym dorobku naukowym posiada cały szereg cennych prac z dziedziny historyi gospodarstwa krajowego w Polsce. I dlatego umiał wybrnąć z tego ogromu faktycznego materiału, wywiązawszy się dobrze z podjętego zadania.

Radziszewski daje ciekawe przyczynki do czasów przedrewolucyjnych, gdy na ziemiach polskich panowała apatya i przygnębienie, a w Królestwie zostali tylko ci, którzy zostać musieli.

Wstęp mieści wspomnienia o projektach banku narodowego za czasów Rzeczypospolitej. Autor nie dotyka zasadniczych zagadnień, nie przeprowadza dokładnej analizy teoretycznych w tym kierunku poglądów. Wyszło to po części na niekorzyść pracy. Z czasów bowiem Rzeczypospolitej i Księstwa Warszawskiego posiadamy bogatą literaturę specjalnie w materjach kredytowych. Plany zawiodły z powodu braku środków odpowiednich. Szkoda, że autor nie wspominał o tych pracach faktycznych, które utorowały drogę działalności Lubeckiego.

Już Feliks Łubieński podczas swego urzędowania za czasów Księstwa Warszawskiego napisał projekt statutu obszernego towarzystwa kredytowego, specjalnie dla ratowania zagrożonych dóbr ziemskich. Niestety, stosunki ułożyły się w sposób inny — i myśli zostały dopiero później urzeczywistnione.

Radziszewski zaczyna właściwie swój traktat od przedstawienia konkretnego planu Lubeckiego. Minister Królestwa Kongresowego zdawał sobie dokładnie sprawę, że dla ogólnej sanacyi warunków gospodarczych prosto nieodzowne jest założenie instytucyi kredytowej o podwójnym poniekąd charakterze: z jednej strony dla kredytu na majątki, z drugiej zaś — dla podtrzymania życia przemysłowego w kraju. Pierwsze powstaje Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, które nie miało nigdy charakteru instytucyi bankowej, przypominając w swej wewnętrznej organizacyi pruskie landschafty.

Radziszewski—który może jeden z pierwszych zwrócił uwagę społeczeństwa na wielkie usługi polityczno-społeczne ks. Lubeckiego—popęlnia, mimowoli zresztą, pewną niesprawiedliwość. Utworzenie Towarzystwa Kredytowego przypisuje jedynie działalności ks. Ministra. Fakt ten podlega pewnemu sprostowaniu. Przedewszystkiem dla gospodarstwa krajowego położył wielkie zasługi hr. Mostowski, minister spraw wewnętrznych, który dużo przyczynił się do podniesienia ogólnego dobrobytu. Posiadamy znakomite ślady jego twórczej działalności. Był to mąż stanu o przenikliwym sądzie, opartym na głębokiej wiedzy teoretycznej, czego zawsze brakowało ks. Lubeckiemu. Następnie hr. Mostowski rozumiał, że Królestwo rozwija się nader intensywnie i wymaga wielkich nakładów kapitału—agitował zatem usilnie za wprowadzeniem w życie odpowiednich instytucyi kredytowych. Poza tem przy organizacyi Tow. Kred. Ziemskiego brał czynny udział. Henryk Łubieński, który usilnie popierał projekt w Izbie, opracował całą manipulacyę rachunkową, oraz wewnętrzny regulamin Towarzystwa. W pamiętnikach generała Łubieńskiego czytamy, że do najpóźniejszej starości na biurku p. Henryka leżała, jako drogocenna pamiątka, duża linia drewniana, którą on własnoręcznie liniował pierwsze książki rachunkowe Tow. w chwili jego założenia. Bezwątpienia Lubecki doprowadził sprawę do końca—należało jednak wspomnieć i o innych czynnych na tem polu działaczach.

Ostatecznie po wygotowaniu przez komisję skarbu operatu, gdzie zakreślono Bankowi dwie funkcyje: obsługę skarbu oraz operacye handlowo-przemysłowe, sprawa weszła na lepsze tory. W roku 1828 został Bank uroczyście otwarty.

Uposażenie Banku „dla postawienia instytucyi w możności przykładania się do rozszerzenia kredytu handlu i przemysłu narodowego stanowiły 10 mil. złp. z zapasu skarbowego i 10 mil. złp.

w listach zastawnych Tow. Kred. Ziemskiego, zaciągnionych na dobra narodowe.“

Na czele Banku stanęła dyrekcyja, złożona z Ludwika Jel-skiego, Józefa Lubowidzkiego, Ignacego Bolesty, Pawła Głuszyn-skiego i Henryka hr. Łubieńskiego.

Operacye rozwinęły się na wielką skalę. Z czynów ważniej-szych Banku do r. 1830 wypada zaznaczyć, że w r. 1829 stanął układ między Bankiem a komisją spraw wewnętrznych co do pożyczki w celu wybudowania głównych traktów w kraju. W roz-winięciu zaś zasady udzielania pożyczek na płody i wyroby, za-raz na wstępie swej działalności ogłasza Bank, że będzie udzielał pożyczek na zboże, cynk i potaż do Gdańska spławiane na termin 1 — 3 miesięcy i w wysokości  $\frac{1}{3}$  szacunku.

Wkrótce otworzył Bank nowy dział operacyi — sprzedaż ko-misową zboża za granicę, za co pobierał za komis  $\frac{1}{2}$  0/0. Nie mniej jednak zdawał sobie sprawę, że wszystko to nie jest jesz-cze dosyć: do uregulowania handlu zbożem postanowiono wybu-dować nad Wisłą magazyny zbożowe.

Prócz tego Bank popiera górnictwo krajowe i przemysł spe-cyalnie sukienniczy, udzielając, za inicjatywę Łubieńskiego, 5 0/0 pożyczek dla nowopowstających zakładów.

Rewolucya niszczy budzące się życie gospodarcze. Społeczeństwo zostaje zdziesiątkowane. I dopiero w tych czasach ogólnego zastoju, jak wspomnieliśmy, Bank przejawia nader twór-czą akcyę.

Autor odstępuje od chronologicznego porządku w kreśleniu historii instytucyi. Następne rozdziały poświęca omówieniu dą-żeń sfer rządowych co do zwięzania atrybucyi Banku, a równo-cześnie zatrzymuje się dość długo nad rozpatrzeniem nieszczęśliwej sprawy Łubieńskiego.

Rząd rosyjski starał się skierować czynności Banku ku własnej korzyści dla zaspokojenia wyższych celów państwowych. Za-prowadzono wykłady języka rosyjskiego, wprowadzono język ro-syjski do korespondencyi, Rosyanie weszli do składu osobistego Banku.

Instytucya kostniała. Wobec tego dyrekcyja przystąpiła do reorganizacyi, co pomimo wielu przeszkód formalnej natury, wy-dało znakomite rezultaty: dowody ku temu znajdujemy w działal-ności Banku twórczej aż do czasów, gdy znowu nie położono już silniejszej ręki nad funkcjami Banku.

Co się tyczy sprawy Łubieńskiego i Lubowidzkiego — obu oskarżano o nieogłędność w prowadzeniu spraw bankowych, Łu-

bieńskiego nadto o poświęcanie interesów Banku dla własnych korzyści. Autor bardzo szczegółowo analizuje specjalnie tło sprawy hr. Łubieńskiego, o którym pisze: „Wyniósł się w kraju przez czas pewien nieomal ponad wszystkich, oczy całego kraju były nań zwrócone, siewcą był i zarządcą idei, pomysłów — a potem padł kolos, nikogo nie druzgocąc, tylko sam siebie — padł cicho, spokojnie, szlachetnie.“

I rzeczywiście, po głębszem rozważeniu okoliczności, w jakich odbyły się nadużycia, przypisywane Łubieńskiemu, okazuje się, że nigdy nie przekraczał zakresu swej władzy—ani na chwilę nie działał w złej woli — zbytnie identyfikowanie się z Bankiem oraz ruchliwość ekonomiczna, połączona z niepowodzeniem, narażyły go na posądzenia. Tak Łubieński, chcąc stworzyć ośrodek przemysłowy w kraju, kupował ziemie potrzebne ku temu, wspierając z pomocą Banku utworzone na nich zakłady przemysłowe. Gdy zakłady upadły — winę przypisywano Łubieńskiemu. To samo da się powiedzieć o faktach udzielania kredytu bez dostatecznych ubezpieczeń, które również przyprawiły Bank o straty.

Optymizm — zbytnie przecenianie sił własnych w stosunku do realnych trudności, stanowią podstawy winy Łubieńskiego, jeżeli o winie wogóle mówić można. Słusznie z pewną goryczą podkreśla autor, że pewne fatum zawisło nad pionierami przemysłu polskiego: padł Łubieński, Steinkeller, Szczepanowski i Zima. A wszyscy — pomimo suchych akt sądowych — padli we czci i uznaniu. Dolą jest widocznie pionierów, by legli, poległem ciałem innym dając drogę do sławy grodu.

Wracamy do przerwanego toku opowiadania: rewolucya listopadowa stała się wogóle klęską społeczno-gospodarczą. Znaczną część dóbr, głównie takich, których właściciele przodowali postępem w rolnictwie, skonfiskowano — a na opuszczonych placówkach usadowili się nowi ludzie, nieprzebierający w żadnych środkach dojścia do celu. Bank Polski, rozumiejąc dokładnie ewolucyę, zachodzącą w kraju, doraźną pomoc niósł włościanom, dawał zarobek przez rozwój przemysłu, oraz wspierał ruch współdzielczy wśród ziemian.

Równocześnie Bank zaliczał na zboże, składane w magazynach oraz spławiane i troszczył się o budowę magazynów zbożowych. Bank, widząc dalej grożące górnictwu niebezpieczeństwo, wziął w swe ręce administracyę spraw górniczych.

Bank ratował przemysł krajowy — nietylko był biernym obrońcą zagrożonych placówek, był również inicjatorem i technikiem, czuwając nad udoskonaleniami.



Rok 1830 stał się dla przemysłu polskiego rokiem przełomowym — z chwilą bowiem zniesienia granicy celnej między Królestwem a Cesarstwem otworzyło się pole zbytu na Wschodzie i przemysł nasz zwrócił się z ekspansją w tym kierunku.

Radziszewski sumiennie wylicza cały szereg przedsięwzięć, które otrzymały poparcie od Banku i których egzystencja została w ten sposób uratowana.

I roztaczając opiekę nad inicjatywą prywatną, był Bank Polski jednocześnie protektorem zagrożonych placówek, nie gonił nigdy za własnym zyskiem, nie związany z istotnym dla kraju pożytkiem i z powodu właśnie tego taktu różni się zasadniczo od dzisiejszych banków.

Dzięki też Bankowi, powstała pierwsza linia kolejowa z Warszawy do Granicy. Gdy w Anglii zaledwie czyniono pierwsze próby nad zaprowadzeniem kolei żelaznych, już hr. Łubieński polecił dokonywanie studyów nad budową kolei żelaznej z Warszawy do Niwki — miejsca produkcji węgla i żelaza.

Najlepszym świadectwem powodzenia operacji bankowych, oraz prowadzenia racjonalnego jest fakt, że ani razu przez cały czas istnienia Banku nie było deficytu. Nawet w r. 1831 zysk ten wynosił około 32,000.

Bank nie schodził nigdzie z wytkniętego gościńca: zysk instytucji powinien być oparty na podstawie społecznej. Wszędzie przebijają troska o dobro publiczne.

Radziszewski w tych kartach swoich, przepojonych miłością przedmiotu swych badań, przeprowadza ideę, że idealizm ekonomiczny, oparty na trwałej podstawie realnego pożytku, może dużo stworzyć. Idealista nie zawaha się iść naprzód, zwalczać przeszkody, czasami nawet może okazać zbyt zapał. Robi to dla zysków nie na dziś, zysków może pewnych, ale przynoszących mniejszą korzyść społeczną, chce dać trwałe podwaliny przyszłych warunków społeczno-gospodarczych. I ta korzyść powinna być udziałem całego społeczeństwa w najszerszym tego słowa znaczeniu. Padają czasem tacy ludzie, ale czyny ich zostawiają ślad w niwie społecznej, praca nie idzie na marne.

Zdziwią się może zbyt trzeźwo patrzący na sprawy gospodarcze, jaki stosunek może zachodzić między idealizmem a owym realizmem gospodarczym, mającym stanowić kamień węgielny naszej działalności. Niektórzy przecież nie wahają się wogóle twierdzić, że ideologia kupca powinna wyzbyć się tych wszystkich narzuconych obcych pierwiastków. Podług nas zapatrywanie takie jest mylne: dlaczego kupiec ma usunąć się od tych obowiązków

obywatelskich, które każdy z nas dźwiga na swych barkach, czy rzeczywiście tylko zysk ma być owym słupem wytycznym jego działalności. Starogrecy kupcy niecili nietylko znajomość nowych produktów, ale również byli owymi siewcami wielkiej kultury greckiej Psyche... Niestety, mało jest w naszym społeczeństwie ludzi, którzyby pamiętali o tych przykładach, którzyby w ogóle nad tem zastanawiać się chcieli. A równocześnie zachodzi jeszcze jeden ciekawy fakt: pogarda praktyków dla uczonych teoretyków. Może pod tą maską pogardy kryje się niechęć nieuków do ludzi, którzy stoją wyżej intelektualnie. Zapominają wyznawcy „praktycznych zasad,” że wyśmiewana przez nich teoria wywołała cały prawie dobrobyt zachodnio-europejski. Praktyka dała takie zadziwiające rezultaty, umiając się oprzeć na zasadach najnowszej wiedzy teoretycznej. I nader smutny fakt notuje monografia Radziszewskiego: kierownicy Banku polskiego lepiej zdawali sobie sprawę z potrzeby wiedzy teoretycznej, niż dzisiejsi sternicy naszej nawy gospodarczej.

Praca rozpatrywana przez nas daje możność odparcia całego szeregu zarzutów, skierowanych w stronę twórców podstaw życia ekonomicznego kraju. Są to fakty niezbite, nie ulegające zaprzeczeniu.

Monografia o Banku polskim utrzymana w tonie spokojnym, naukowym, a umiającym się wznieść na pewne wyżyny (np. Bank za rewolucyi lub sprawa Łubieńskiego) nie daje materiału dla krytyki. Jest to praca archiwalna—niepodobna zatem sprawdzać źródeł, któremi autor mógł się posiłkować. A zresztą znać sumiennieść na każdym kroku. Znać, że Radziszewski umie operować faktycznymi danymi, skrytymi w zakurzonych foliach archiwalnych. Szkoda tylko, że autor nie dał w zakończeniu syntezy całej działalności—taki rzut oka mógłby lepiej uwypuklić całość rozwoju instytucyi.

Praca Radziszewskiego toruje drogę innym badaczom do podobnych publikacji. Życzyć tylko należy, aby i inne dzieła na podobnie wysokim i ze wszech miar odpowiednim tonie utrzymane być mogły. Praca bowiem o Banku polskim stanowi wybitny fakt w naszej literaturze ekonomicznej.

D-R Ż. G.

## Kronika miesięczna.

Na marginesie skandalicznego procesu. — Przyczyny i skutki. — Zawiedzione nadzieje. — Z powodu dwóch jubileuszów. — Człowiek czynu i człowiek refleksyi. — Kronika spraw polskich w Izbie. — Uchwalenie samorządu. — Około wyodrębnienia. — Położenie Kościoła w Królestwie; memoriał hr. Wielopolskiego.

Zakończony świeżo proces osławionego Macocha i towarzyszy zawiódł pokładane w nim nadzieje zarówno tych, którzy w żądzy sensacyi spodziewali się rozwinięcia w sali sądowej romansu w rodzaju Barbary Ubryk, jak i wrogów religii i polskości, spekulujących na zohydzenie Jasnej Góry. Ze stanowiska pierwszych rozprawy były poprostu nudne; nie widzieliśmy przed kratkami tragicznych zbrodniarzy, ponurych indywidualności, lecz pospolitych rzezimieszków, którym barwę i znaczenie nadawał tylko zdarty świeżo habit biały. Ze stanowiska drugich mieliśmy do czynienia z wypadkiem stanowczo wyjątkowym, nie nadającym się w najmniejszej mierze do poważniejszego uogólnienia, nawet przy najgorszej woli i wierze, a wynikającym z braku nadzoru i nienormalnego położenia klasztorów katolickich w tem państwie. W pewnej części prasy poruszono myśl przemilczenia rozpraw; myśl wogóle zdrowa, podyktowana chęcią ograniczenia niezdrowych apetytów, w danym razie byłaby dla interesów naszych szkodliwa. Owszem, jaknajszersza jawność była w tym wypadku bardzo pożądana i pożyteczna, właśnie dlatego, że wymownie stwierdziła zbrodni wyjątkowość i przypadkowość.

Biorąc rzecz całą szerzej i ogólniej, widzimy w zbrodni kilka momentów większej wagi, nawet zasadniczej. Istnienie wspólczesne klasztorów podlega z wielu stron krytyce; dlatego niezależnie widzą ludzie dość jasno szkodliwość ograniczeń, że odpo-

wiadają realnym potrzebom psychicznym, żadnej zdaje się nie ulegać wątpliwości, potrzebom zelotyzmu, propagowania najdroższej i najgłębszej wiary, potrzebom mistycznym obcowania bezpośredniego i wizyonerskiej kontemplacji Boga, potrzebom samotności i ukojenia po burzach życiowych, słowem potrzebom tak starym i tak człowiekowi wrodzonym, jak dawno ród ludzki istnieje i stawia z zapartą duszą odwieczne, nigdy niezaspokojone pytania o tamtym brzegu. Gdy zgodzić się musimy na zbiorowe współżycie ludzi, szukających tych potrzeb zaspokojenia, uznajemy ten samą konieczność istnienia klasztorów. A uznając ją ze stanowiska najwyższego wolności sumienia, domagać się musimy najszerzej ich niezależności właśnie dlatego, by przestrzegły same, czy członkowie istotnie potrzebom zasadniczym odpowiadają, a wynikające z nich obowiązki spełniają.

Z ograniczeń klasztorów u nas płynie cały szereg następstw ujemnych. Dotyczą one zarówno warunków nowicyatu, czyli okresu próby, jak i następnie zbiorowych rządów zgromadzenia. Stajemy tu wobec antynomii trudnej do rozwiązania. Z jednej strony potrzebne i pożądane jest mistyczne oderwanie od życia, z drugiej — energia w wystąpieniach zewnętrznych i dbałość o dobro całości; pierwsze — możliwe jedynie w warunkach zupełnego spokoju wewnętrznego; drugie — konieczne przy pilnym, a nieprzyjaznym nadzorze zewnętrznym. Dlatego w dziejach ostatnich klasztoru przeważał czynnik drugi. Ale energia życiowa, przymiot bardzo cenny, rodzi zawsze współrzędne wady, a więc w danym razie szkodliwą przewagę doczesności nad zaświatem, despotyzm, szukający przede wszystkim posłusznych narzędzi, że się tak wyrażymy, fizycznych, bez troski o ich wewnętrzność moralną. Nie pójdziemy śladem części opinii, szukającej moralnego kozła ofiarnego w byłym przeorze, który snadnie dziś rozynyślać może, o realnej zupełnie bliskości skały Tarpejskiej od Kapitolu. Ale zaprzeczyć nie możemy, że nieprzebieranie w narzędziach wykonawczych jest jedną z poważnych przyczyn zbrodni Jasnogórskiej. Przecież należy położyć na szali sądów i to wszystko, co z Jasnej Góry, z pamiętki, która świecić powinna także i zewnętrznym blaskiem, za czasów jego rządów zrobiono. Nie oddawajmy się zbyt łatwemu znęcaniu nad upadłym. Zapiszmy, że nie rozróżniał pobudek zakonnych, a za powołanie brał chęć kupczenia w świątyni. A że w życiu mści się błąd każdy, więc i ten się zemścił — tragicznie.

Przeglądając liczne głosy prasy z powodu procesu Macocha i towarzyszy, trafiamy na jeden pogląd i oryginalny, i słuszny,

i pocieszający. Artykuł *Głosu Warszawskiego* zastanawia się nad różnicą dwóch typów zakonnika Jasnogórskiego, ujawnionych przed kratkami sądowemi, szlachetnego mistyka, ks. Przezdzieckiego oraz oskarżonymi i zadaje sobie pytanie, jaką warstwę narodu reprezentują ostatni i czy wogóle do narodu polskiego należą. Odpowiedź brzmi tak:

„I Macoch i jego towarzysze nie należą ani do polskiej warstwy oświeconej, ani do polskiego ludu. Do pierwszej nigdy nie weszli, z drugiego zaś bezpowrotnie wyszli. We wszelkich normalnych warunkach bytu narodowego jednostki, wychodzące z ludu, opuszczające jego szeregi, wchodzą do warstwy oświeconej lub pół oświeconej tego samego społeczeństwa, pozostają w karbach tej samej kultury rodzinnej i tej samej etyki, tylko wyżej rozwiniętej na gruncie podniesienia poziomu umysłowego i w zastosowaniu do bardziej złożonych warunków życia. Bez względu na to, w jakim pracują one zawodzie, pozostają pod wyłącznym wpływem własnego społeczeństwa, przechodzą w mniejszym lub większym stopniu przez szkołę kulturalno-etyczną, przez szkołę życia, w której nauczycielem jest oświecona warstwa narodu. U nas, po urządzeniu kraju przed laty blisko pięćdziesięciu, niektóre drogi życia, na które wstępują synowie naszego ludu, wychodzący ze swego środowiska, są odcięte od wpływów kulturalnych i w szczególności etycznych społeczeństwa polskiego. Od r. 1863 wytwarza się u nas klasa ludzi, pochodzących prawie wyłącznie z naszego ludu wiejskiego, którzy, opuściwszy sferę ludową i uzależnieni wyłącznie w swem życiu od władz rządowych, wchodzą w życie polskie i łączą się z niem o tyle tylko, o ile chcą, o ile popychają ich do tego skłonności osobiste. Warunki społeczne do tego ich nie zmuszają. Ta klasa ludzi—to funkcyjnarjusze policyjni pochodzenia polskiego, pisarze gminni, w części zwłaszcza do niedawna nauczyciele ludowi i t. p. Ci ludzie przestali żyć kulturą i etyką ludową, bo po nad nią wyrosli, czy po za nią wyszli; nie przejmują się zaś pojęciami i poglądami oświeconych czy półoświeconych żywiołów polskich, bo od nich są niezależni, do nich nie weszli. Przy swoim tedy pochodzeniu polskiem nie są oni kulturalnie i etycznie Polakami, ani w tym stopniu, co chłop polski, ani w tym, co inne żywioły narodu. Do tej to właśnie klasy hybrydów kulturalno-etycznych należał i Macoch, i Olesiński, i Starczewski, z których dwaj przed wstąpieniem do Paulinów byli pisarzami gminnymi. Ci ludzie, nie będący wytworem duchowym ani ludu polskiego, ani Polski oświeconej, nie wyprodukowani przez nasze rodzinne życie społeczne, nie należą

zatem do jednostek, za których skłonności i pojęcia odpowiedzialność spada na nasze społeczeństwo, na ustrój naszego życia, o ile on od nas zależy.“

Zatem, ze stanowiska narodowego — proces Piotrkowski nie wykazał zgangrenowania którejkolwiek z żywotnych części narodu. Ze stanowiska wiary nie osłabił jej w duszach mas; pierwsza wieść o wypadku groźnym echem odbiła się w sercach i umysłach ludu, jak ciężki złom, rzucony do cichej wody szerokie zatoczyła kręgi. Nastąpiło potem uspokojenie, które wzmocnić musiała jawność procesu, jawność szczegółów wypadku. Jasna Góra wychodzi zeń zwycięzko i jako symbol i jako rzeczywistość; nie skalać drogich i potężnych murów ręką rzezimieszka. Wychodzi nietknięta polskość i katolicyzm w Polsce. Nie dziw. Zbyt wielkie rzeczy były w grze, zbyt niewspółmierne z bandą opryszków, których nie brak nigdy i nigdzie. Owszem, dobrze się stało, że zdarto z nich zasłonę, płaszcz, którego tak bardzo byli niegodni.

\*

\*

\*

Minęły dwie wielkie rocznice: śmierci Kołłątaja i urodzin Krasińskiego. Uczczono je wspomnieniami i obchodami uroczystymi, jak należało. Ze wspomnień i obchodów wyzierała jednak tu i owdzie niestety wązka partyjność w sądach — po stu latach! Kto wzywa do zacierania różnic, do całkowania społeczeństwa, do zacierania stron ciemnych, a podkreślania jasnych, tem często naraża się na zarzut, że w walce prądów tkwi życie, że antytezy właśnie pogłębiać należy, by wzmacniać bujność rozwoju. Czyż trzeba wymowniejszego dowodu niesłuszności tego zarzutu, jak właśnie fakt, że różnice opinii po latach stu są pogłębione aż do partyjności w ocenie wielkich i największych obywateli narodu?

Los ślepy spleta czasem w jednej prawie porze pamiętki ludzi, którzy pod względem typu i charakteru są sobie tak biegunowo przeciwni, jak Kołłątaj i Krasiński; można w tej dobie stwierdzić wymownie niepożytą bujność soków pnia, z którego tak różne i wielkie wyrastają postaci. A dla psychologa, dla badacza zawsze ciekawą rzeczą będzie zestawienie przeciwieństw,

dających się w ostatecznym rezultacie sprowadzić do wspólnego mianownika najistotniejszych dźwigni natury ludzkiej.

W danym razie te przeciwieństwa to rozum i uczucie, to czyn i refleksja o czynie, to nieprzebieranie w środkach i nieustanna troska o gronostajową czystość moralną. Słusznie ktoś powiedział o Kołłątaju, że był on z materiału, z którego sprzyjające warunki stwarzają mężów stanu, oryentujących na nowe drogi dzieje swego narodu, że mógł być polskim Richelieu'm, gdyby na tronie nie zastał bezdusznej lalki. Na wszystkich stanowiskach, które zajmował, stwierdzał wielokrotnie rozum niepospolity, szerokie obejmujący kręgi, energię pracy zdumiewającą wyteżeniem, bezwzględność w posługiwaniu się ludźmi i środkami, do największego wiodącymi celu. Są to wszystko wybitne cechy człowieka czynu. Historia stwierdza ułomność natury ludzkiej i w tem, że niemasz ludzi z jednego złomu przeczystego brylantu, że skazami są wady ściśle zaletom współrzędne. Znajdziemy je wszystkie w Kołłątaju: burzliwe namiętności, chęć życia i użycia za wszelką cenę moralną, marnotrawstwo grosza publicznego i wyolbrzymione do miary meża, jakim był ksiądz podkanclerzy, odpowiadające epoce największego rozkładu moralnego w całej Europie. Przeliczmy innych mężów czynu tej epoki we wszystkich narodach; czy znajdziemy jednego, któryby tych samych wad i występków nie posiadał?

Niepokój, niepewność, wieczne szukanie dróg, nieustanna troska o pogłębienie filozoficzne, o czystość moralną—oto cechy zasadnicze Krasińskiego. Jeżeli tragedją Kołłątaja była rozterka między życiem powszednim a ideałami i brak warunków do największych czynów, tragedją Krasińskiego była niemoc czynu, tem dla niego samego cięższa, że świadoma. Ale niewiemy nic o najgłębszych przeżyciach moralnych Kołłątaja, o tych chwilach, kiedy dusza człowieka mówi sama z sobą i gorzkie czyni sobie niewspółmierności wyrzuty, bo się nam z nich nie spowiadał; może dlatego czasem brak nam litości w ocenie jego postępów prywatnych. O walkach wewnętrznych Krasińskiego wiemy i najmocniej im współczujemy, z nim razem serdecznie bolejemy. I tu jeszcze spostrzegamy jedno przeciwieństwo: człowieka, tworzącego i człowieka, odtwarzającego życie.

Mało znamy chwil równie tragicznych, jak powstanie 1830 r. w życiu Krasińskiego; w naszym przekonaniu góruje ono tragizmem nad awanturą uniwersytecką. Ten prawy Polak, gorący patriota skazany na bezczynność przez miłość synowską, także święte i czyste uczucie. I potem ta ciągła rozterka między miło-

ścią ojczyzny a miłością ojca, wiara w tego ojca, dziś wiemy, jak niezasażona — prof. Askenazy mówi wszakże o nim, że w roku jubileuszowym lepiej o generale nie wspominać. A obok — przedziwne jasnovidzenie, jakiego bodaj nie znajdujemy w żadnym umyśle polskim, jasnovidzenie, tragizm cierpiącej duszy potęgujące; nawoływanie do „uderzenia w czynów stał“ obok zupełnej niemocy własnej. Ale bez tej niemocy, bez górnej refleksyjności nie byłoby jasnovidzenia. Gdyby „Nieboską“ pisał człowiek czynu, musiałby wcielić się, stanąć po stronie hr. Henryka lub Pankracego; nie widziałby rozterki ostatecznych celów jednego i drugiego; gdyby człowiek czynu tworzył „Irydyona“ dałby zemstę jako ideał najwyższy, nie zrozumiałby bezpłodności uczucia czysto negatywnego.

Nie doszukujemy się w życiu wielkich naszych ludzi stron stąbnych, ujemnych, lecz szukajmy w nich źródeł ożywczych dla moralnego dobra współczesności. Więc nie wytykajmy Kołłątajowi trwonienia funduszków publicznych, przystąpienia do Targowicy, wieszania warszawskich, nie wysyłajmy Krasińskiego na pola bitew powstańczych, i zbądźmy się podejrzeń w twórczości jego wpływów pochodzenia i otoczenia. Za to pamiętajmy Kołłątajowi konstytucję Trzeciego Maja, odrodzenie wszechnicy Jagiellońskiej i szukajmy mądrych wskazań i ostrzeżeń w twórczości Krasińskiego, pojąc się jej głębią i podniosłością moralną. W pieleszach domowych naszych stawiamy ołtarze czci tym wielkim ludziom, którzy odtwarzają wyolbrzymione i wyszlachetnione dusze nasze i na tej podstawie dokonywamy najdroższego wyboru. Ale od tego subiektywizmu niezależni możemy wszyscy z mocą i wiarą powtórzyć z Kołłątajem *nil desperandum* i z Krasińskim wznieść do Boga błaganie, by dał nam z dóbr swych najwyższe, by dał nam dobrą wolę.

\*

\*

\*

Wyjątkowo obfity, urozmaicony, i w nadziejach, a oczekiwaniach zmienny był pod względem spraw polskich miesiąc ubiegły w pracach Izby Państwowej. Dn. 19 lutego b. r. uchwalony został ostatecznie samorząd miejski dla Królestwa. Niebawem więc oczekiwać możemy nareszcie uzdrowotnienia naszych stosunków



miejskich i dlatego, bez zbędnych frazesów, a pomimo istotnych wad przyjętego prawa, podkreślamy poprostu doniosłość tej uchwały. Za jeden z najważniejszych braków musimy uznać ograniczenie języka polskiego w samorządzie. Odnośny artykuł (8-y) projektu brzmi jak następuje:

1) Wszelkie komunikowanie się samorządu z instytucjami i osobami urzędowemi odbywać się winno w języku rosyjskim. W tymże języku winny być sporządzane również wszystkie aneksy, przyczem dokumenty, które w oryginałach spisane są nie porosyjsku, winny być załączone wraz z tłumaczeniem rosyjskiem. 2) Na wszystkie zapytania, podania i żądania, tak piśmienne jak ustne, wyuszczone po rosyjsku, władze samorządowe miejskie winny odpowiadać w języku rosyjskim. 3) W biurowości wewnętrznej samorządu miejskiego protokoły i dzienniki posiedzeń, księgi, dokumenty i inne papiery winny być prowadzone w języku rosyjskim; pozwala się używać również i języka polskiego, pod warunkiem, aby przekład polski był równoległy do tekstu rosyjskiego. Wątpliwości co do treści dokumentów biurowości wewnętrznej rozstrzygają się na podstawie ich tekstu rosyjskiego. 4) Objasnienia ustne w Radzie miejskiej i w Zarządzie miejskim składane są według życzenia mówcy, w języku rosyjskim, lub polskim. 5) Uchwały i rozporządzenia władz samorządowych miejskich, przy ogłaszaniu ich do wiadomości powszechnej, winny być spisane w języku rosyjskim; dozwala się używanie również i języka polskiego, pod warunkiem, aby przekład na ten język był równoległy do tekstu rosyjskiego. Do artykułu tego dodano podczas drugiego czytania, że prezes rady miejskiej ma prowadzić obrady w języku rosyjskim. Tym sposobem dochodzimy do takiej anomalii, że prezesi rad miejskich, którymi oczywiście będą Polacy, dla rzadkich tu i owdzie radnych Rosyan będą zmuszeni prowadzić obrady rad miejskich w języku, który nie jest ojczystym językiem większości znacznej radców. Poza-tem przyjęta została jeszcze poprawka, aby wprowadzić język litewski do rad miejskich: Władysławowa, Szak, Wołkowyszek, Wierzbołowa, Kalwaryi, Maryampola, Pren i Sejn. Uchwała ta była sprzeczna z wnioskami komisji, która, na podstawie kompromisu polsko-litewskiego proponowała, aby w ośmiu miastach gub. Suwalskiej rady miejskie same określały język, w jakim mają obradować i prowadzić biurowość.

Projekt Chefmski uchwalony został w czytaniu drugim. Pośpiech ten świadczy o wielkiej zaciętości, z jaką go przeprowadzono.

Projekt chełmski wniesiono do Dumy państwowej w czerwcu r. 1909, a więc bez mała trzy lata temu. Po krótkiej debacie ogólnej, wywołanej protestem-deklaracją Koła Polskiego, projekt odesłano do komisji wniosków prawodawczych, która wydelegowała *ad hoc* specjalną podkomisję, t. zw. chełmską. Podkomisja pracowała nad projektem: okrągłe dwa lata. Dopiero w r. 1911 projekt przeszedł do komisji wniosków prawodawczych, gdzie załatwiono się z nim stosunkowo prędko. Następnie, zgodnie z pierwotną uchwałą, projekt miał być jeszcze rozpatrzony przez komisję samorządną, ale Duma uchwałę tę skasowała. Wiele podkomisya, a następnie komisya odbyła posiedzeń, co do tego dokładnych liczb nie posiadamy pod ręką; w każdym razie nie mniej, niż 20. Główna praca spoczęła tu na posłach: Dymczy, który był stałym członkiem podkomisji, oraz Harusewiczu i Parczewskim, którzy na posiedzenia stale przychodzili i zabierali głos. Głównie też ci trzej posłowie wyspecjalizowali się niejako w sprawie chełmskiej. Pod obrady ogólne Dumy wszedł projekt dn. 8 grudnia r. z. Rozpoczęto je t. zw. debatą ogólną. Debata ogólna zajęła ogółem 9 posiedzeń: przerwana przed świętami Bożego Narodzenia, została wznowiona dn. 24 stycznia i zakończona w połowie lutego r. b. Zabierało w niej głos ogółem 58 posłów. W tej liczbie byli posłowie polscy: Dymcza, Harusewicz, ks. Maciejewicz, Parczewski, Jabłonowski, Grabski, Nakonieczny, Świeżyński, Zawisza, Żukowski oraz poseł Babiański. W ten sposób na 18 posłów, wybranych przez ludność polską, zabierało głos w rozprawach ogólnych nad projektem chełmskim 10-ciu. Jeżeli zaś wziąć tylko posłów z Królestwa Polskiego, to na ogólną ich liczbę 11-tu, przemawiało 8-iu. Większość wymienionych posłów przemawiała tylko 1 raz. Wyjątek stanowią posłowie Dymcza, który zabierał głos czterokrotnie, Harusewicz (trzykrotnie), ks. Maciejewicz (dwukrotnie). Dn. 22 lutego r. b. Duma przeszła do rozpraw szczegółowych, do t. zw. drugiego czytania. Drugie czytanie zajęło 7 posiedzeń i ciągnęło się do dn. 8 marca. Posłowie występowali tym razem ogółem 116 razy. Z tej liczby blisko połowa przypada na posłów polskich, którzy przemawiali w debacie szczegółowej 44 razy. Z posłów z Królestwa występowali tu pp. Dymcza, Parczewski, Harusewicz, Grabski, Żukowski, z posłów z Litwy pp. ks. Maciejewicz, Zawisza i Święcicki. Zabierał głos wreszcie poseł Babiański, Polak, należący, jak wiadomo, do frakcji kadeków. Pierwsze miejsce pod względem liczby przemówień przypada i tu posłowi Dymczy, który wchodził na trybunę 12 razy. Zaraz za nim idą poseł Parczewski z liczbą 11 przemówień i po-

seł Harusewicz z liczbą 10-iu przemówień. Trzykrotnie przemawiał poseł Grabski, dwukrotnie ks. Maciejewicz, pozostali posłowie po raz.

Z cyfr powyższych widzimy wymownie, jaką ilość pracy włożyli posłowie nasi w obronę tej najważniejszej w chwili danej sprawy krajowej. A że usiłowania ich nie były bez rezultatu, tego dowodem zaniechanie wyodrębnienia nowej gubernii z granic Królestwa, które, jako korzyść polityczną, zapisać należy, nie oddając się zresztą wygórowanym nadziejom, skoro i trzecie czytanie i Rada Państwa wyodrębnienie doskonale jeszcze przywrócić mogą.

Dn. 28 lutego, przy głosowaniu nad art. 10-y projektu rządowego Izba Państwowa większością głosów postanowiła wykreślić słowa „wyłączyć ze składu gubernii Królestwa Polskiego“. Nie trzeba uwypuklać wielkiego znaczenia politycznego tego głosowania, które zasadniczo zmienia polityczny i manifestacyjnie bojowy charakter projektu, sprowadzając go prosto na poziom zarządzenia administracyjnego, połączonego z pewnemi nowemi ograniczeniami ludności polskiej. Uchwała zapadła większością 138-iu głosów przeciw 128-iu, skutkiem rozłamu wśród paździenikowców, którzy wogóle w sprawie tej nie mogą dojść do jednolitego poglądu, jak również przypadkowej niepunktualności pewnej części nacyonalistów, którzy nie zdążyli stawić się na chwilę stanowczą. W pierwszym czynniku trzeba uznać jeszcze raz zasługę posłów polskich, nie mowy bowiem, które mają znaczenie raczej zewnętrzne, ale bezpośrednie, codzienne przekonywanie osobiste, nieustanne i czujne argumentowanie przyczyniło się do uniemożliwienia krystalizacji opinii wrogiej Polakom wśród paździenikowców. Jest to także argument przeciw tej części opinii naszej, która, dając z góry za wygraną, radziła abstynencyę od prac w Izbie.

Zwycięstwo to, niestety, nawet i w dotychczasowej formie ma znaczenie tylko moralne. Bo zaraz nazajutrz, 29 lutego, przy głosowaniu nad art. 11-y projektu większość Izby wycofała się z zajętego uprzednio stanowiska. Jest to oczywiście dowód wielkiego niewyrobienia parlamentarnego Izby rosyjskiej, niemniej jednak jest faktem, który będzie wciągnięty w orbitę argumentacji przy trzecim czytaniu projektu. A sprzeczność polega na tem, że po odrzuceniu wyłączenia nowej gubernii z granic Królestwa, przyjęta została część pierwsza art. 11-go, która brzmi, jak następuje: „Prawa i obowiązki, przynależne obecnie, zgodnie z organizacją zarządu gub. Królestwa Polskiego i z innemi usta-

wami, gen.-gubernatorowi warszawskiemu, przekazuje się ministrowi spraw wewnętrznych, oraz innym, odnośnym ministrom i głównozarządzającym“; jest to położenie niebywałe, którego w praktyce, przy istnieniu generał-gubernatorstwa warszawskiego, wyobrazić sobie niepodobna. Nie dość na tem. W zupełnej sprzeczności z głosowaniem poprzednim było także przeniesienie projektowanej nowej gubernii z okręgu warszawskiej do okręgu kijowskiej izby sądowej; nie pomogły tu nic powtarzane po raz setny przez posłów polskich argumenty ściśle praktyczne, jak to np., że mieszkaniec Białej będzie miał o pięćset wiorst dalej do izby sądowej, że będą niesłychanie przewlekane, zwłaszcza sprawy cywilne, w Kijowie bowiem niema ani hipoteki, ani archiwum warszawskiego, inne wreszcie rządzą kodeksy. Owszem ze zbyt wielkim aplombem zmobilizowany specjalnie na to posiedzenie wice-minister sprawiedliwości, Wierowkin, lekceważył te wszystkie radykalne zmiany. Ograniczenia w sprawach szkolnych również wypadły nie po myśli inicjatorów projektu, ponieważ zostały znacznie zmniejszone; przy głosowaniu nad ograniczeniami ekonomicznymi ludności polskiej przyjęta została poprawka posła Lerchego, której mocą w nowej gubernii z pożyczek banku włościańskiego będą mogli korzystać włościanie bez różnicy wyznania; byłby to nawet postęp w stosunku do położenia obecnego, dziś bowiem włościanie katolicy są pozbawieni prawa korzystania z tego przywileju. W ostatecznej konkluzji, sądząc z głosów prasy w kołach nacyonalistów rosyjskich panuje pewna konsternacja z powodu formy, w jaką ostatecznie obleczone został ich projekt przez pełną Izbę; istotnie w stosunku do tego, jakim wyszedł z komisji, został znacznie złagodzony. Istnieje przytem pewien niewątpliwy zwrot opinii wśród pałdziernikowców, który może wpłynąć w trzeciem czytaniu nietylko na utrzymanie nowej gubernii w granicach Królestwa, ale i na zmianę artykułów co do jej przynależności do kijowskiego okręgu szkolnego i do kijowskiej izby sądowej. Jeżeli się zważy, że i niektóre drobniejsze ograniczenia przeszły w drugim czytaniu nieznaną tylko ilością głosów, a więc możliwe jest ich następne odrzucenie, być może, iż cały projekt sprowadzi się tylko do utworzenia nowej gubernii w Królestwie, a w takim razie wątpliwe jest i to, czy za tak okrojonym projektem głosowaliby nawet i sami nacyonalisci. Wszystko to być może, a przecież nie należy przedwczesnej oddawać się nadziei, tembardziej, że o ostatecznym losie wyodrębnienia może znowu zadecydować przewaga kilku czy kilkunastu głosów.

Głosowanie z d. 28 lutego wywołało zgola przesadne komentarze w zagranicznej prasie politycznej, nawet poważnej. Wyrzucenie ustępu o wyodrębnieniu ziemi Chełmskiej zostało uznane za początek nowej ery w stosunkach rosyjsko-polskich, ery łagodności i porozumienia. My tu na miejscu wiemy dobrze, ile w tem jest prawdy. Jeżeli autorem telegramów jest Polak, źle się przysłużył ojczyźnie swojej, że dał folgę zrozumiałemu uczuciu radości chwilowej a bezpośredniej. Bo wyjaśnienia sytuacji żadne pismo nie wydrukuje, a radosny telegram pozostał. Znowu zagranica została błędnie poinformowana o sprawach naszych, znowu rzuciła się w oczy konieczność posiadania własnej agencji telegraficznej, na co się zdobyć nie możemy. Można się nie liczyć z opinią zagranicy, ale informować ją trzeba zawsze dokładnie.

\*

\*

\*

Zygmunt hr. Wielopolski, członek Rady Państwa z Królestwa, rozdał ministrom i członkom Rady Państwa memoryał w sprawie położenia Kościoła katolickiego w Królestwie Polskiem. Za punkt wyjścia memoryału służy Ukaz Najwyższy z dnia 30 kwietnia 1905 roku, który „zrozumiany został przez ludność, nie należącą do Cerkwi panującej, jako podstawa i początek istotnej wolności sumienia.“ Tymczasem, przy stosowaniu tego Ukazu, władze administracyjne zaczęły stosować do Kościoła katolickiego represye, zgola niezgodne z jego duchem, przyczem stały się one w ostatnich czasach tak częste, że czynią wrażenie stałego systemu. Nie mają nawet na celu obrony Cerkwi panującej, ale wymierzone są przeciw całemu życiu wewnętrznemu Kościoła, zupełnie niezależnie od jego stosunku do Cerkwi panującej i do państwa. Stosunek rządu do Kościoła wyraża się przedewszystkiem w systematycznym stawianiu przeszkód zaspokojeniu potrzeb duchowych ludności katolickiej. Liczba księży w Królestwie w stosunku do zaludnienia jest zbyt szczupłą; mimo to władze rządowe stawiają tysiączne przeszkody młodzieży, pragnącej wstępować do seminarjów. W myśl rozkazu Najwyższego z r. 1875 biskupi komunikują gubernatorom listę kandydatów do seminarjów, ci zaś nigdy nie zatwierdzają wszystkich, a przyczyn odmowy nie podają. Skutkiem tego „niepodobna zataić, że istnieje opinia powszechna, jakoby te odmowy systematyczne wywołane były

przez nieopublikowane rozporządzenie ministeryum co do ścisłego ograniczenia liczby wychowawców seminariów katolickich i zmniejszenia tym sposobem ilości księży.“ W dalszym ciągu wskazuje memoryał na liczne wypadki skazywania księży katolickich przez władze sposobem administracyjnym z równoczesnem żądaniem od władzy dyccezyjalnej usuwania od pełnienia obowiązków duchownych tych księży, którzy zawinili wobec władzy świeckiej. Duchowieństwa zakonnego, któreby mogło pomagać świeckiemu, brak; biskupi ograniczani są co do wolności ruchów, ponieważ władze zabraniają im zjazdów; traktowani są oni wogóle przez władze, jak urzędnicy cywilni.

Zabraniane są misye wśród ludności ubogiej. „Nawet odprawianie mszy św., według interpretacji władzy rządowej, uważane jest nie jako zaspokojenie potrzeby duchowej, lecz jako akt publiczno-kościelny, podlegający kontroli rządu. Z powodu sprawy ks. Ciechorskiego gen.-gubernator oświadcza, iż bez zezwolenia władzy rządowej księża nie mają prawa nawet spowiadać wiernych, nie mówiąc już o wygłaszaniu kazań.“

Natrafia na przeszkody ze strony władz rządowych wszelkie nauczanie wspólne dzieci katolików modlitw lub dogmatów wiary w lokalach prywatnych lub w kościołach, wypadki bowiem takie odnoszą władze do kategorii nauczania tajnego.

„W państwie chrześcijańskiem przedstawiciel ministeryum żąda od władzy kościelnej, w porządku zarządu administracyjnego, wyjaśnienia, jakie istnieją podstawy kanoniczne do nauczania dzieci modlitw i zasad wiary chrześcijańskiej. Nigdy żadna chrześcijańska władza na świecie dotąd, od czasów apostoelskich, nie kwestyonowała prawa katechizacyi dziatwy w murach kościoła. Że przedstawiciel ministeryum zamierza zastosować w danej sprawie dalsze środki, widoczne jest z żądania, by mu przedstawiono dane co do wieku i liczby dzieci, które zbierają się w kościele na katechizacyę, a nawet co do programu katechizacyi, która wogóle odbywa się nie według programu, ale — żywem słowem duchownego. Przedstawiciel ministeryum do czasu zakomunikowania mu tych danych, pozostawia tymczasem kwestyę katechizacyi „otwartą,“ wskutek czego powstaje przypuszczenie, iż katechizacya nawet u stóp ołtarza może być zabroniona.“

Władze szkolne dążą obecnie do usunięcia kontroli ze strony wyższej władzy duchownej nad wykładami religii w szkołach.

„Wszystkie wysiłki duchowieństwa i społeczeństwa—czytamy jeszcze — mające na celu współdziałanie w rozwoju oświaty religijno-moralnej wśród ludu spotykają się z niezrozumiałemi

zgoła trudnościami, i wszelkie starania w tym kierunku stale bywają uchylane przez władze państwowe.“

Na dowód tego przytoczone zostały znane fakty zamykania bibliotek „Towarzystwa bibliotek parafialnych,“ ograniczenia działalności „Związku katolickiego“ i pozamykania jego oddziałów w gub. siedleckiej i lubelskiej.

Memoryał hr. Wielopolskiego przychodzi bardzo na czasie i porusza zagadnienia pierwszorzędnej wagi dla naszego społeczeństwa, ograniczanego systematycznie w wolności wyznawania odwiecznej wiary swojej, która dla olbrzymiej jego większości stała się nierozdzielnie złączona z narodowością. Stosunek rządu do Kościoła katolickiego wynika nie tylko z pobudek wyznaniowych i obronnych ze stanowiska Cerkwi rządowej, lecz także i z państwowego pojęcia religii; skoro Cerkiew panująca ma kierownika świeckiego z nominacji, mającego stanowisko ministra, ideologia rządowa nie może się pogodzić z pojęciem Kościoła powszechnego, nigdzie od różnych władz świeckich niezależnego i dąży do poddania go również pośrednio kierownictwu władzy świeckiej. Ideologia ta jest wyrazem odwiecznego przeciwieństwa bizantynizmu i wolnego latynizmu. Dlatego argumenty memoriału z trudnością znajdą drogę do umysłowości tych, którzy czytać go będą. Jest jeden może, który trafić i przekonać zdoła, a przynajmniej przekonać powinien. Jest to ten mianowicie, który opiera się na zachowawczem znaczeniu religii wogóle ze stanowiska państwa. Aż nadto niestety jednak mamy wypadków, w których o tej misji zachowawczej każdego rządu zapomniano i burzono tylko, nie tworząc nic wzamian. Ograniczenia Kościoła katolickiego, sztuczna hodowla maryawityzmu nie robią z katolików prawosławnych, mogą tylko raczej osłabić wiarę wśród ludu. Wiemy skądinąd, że osłabienie tej wiary, a co za tem idzie, osłabienie nakazu i sankcyi moralnej jest niebezpieczne tam nawet, gdzie równolegle prowadzona jest przez państwo intensywna praca oświatowa; w kraju analfabetów zjawisko takie może mieć następstwa wprost groźne, jako jeszcze jeden czynnik zdziczenia tłumu, wśród tylu innych. Czy tego rodzaju zdziczenie leży w interesie rządu, czy nie — oto jest kwestya, na którą odpowiedź przecząca dla nas wątpliwości żadnej nie ulega. Jaka będzie ze strony tamtej, to spostrzeżemy dopiero w efekcie, jaki wywrze pożyteczny i dobrze opracowany memoriał.

## Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

### Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— AKADEMIA UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE. Na posiedzeniu Komisji do badania historii sztuki w Polsce, w dniu 9 lutego 1912 r., prof. Piotr Bieńkowski przedłożył referat „o głowach z grupy Laokoonu w zbiorach polskich.“ Odnalezienie Laokoonu 1506 r. wywarło ogromne wrażenie na współczesnych rzeźbiarzy i poetów. Sławiono grupę watykańską za przewodem Pliniusza jako najznakomitsze arcydzieło sztuki. Nic dziwnego, że na wszystkich obszarach twórczości artystycznej renesansu i baroku spotykamy się w zachodniej Europie z naśladownictwami lub przeróbkami postaci Laokoonu, i jego synów. Pewną nieliczną ilość dzieł, które stworzył podziw dla Laokoonu, bieg wypadków przyniósł też na brzeg polski. Jedną z głów samego Laokoonu znajduje się w zbiorach Karola hr. Lanckorońskiego w Wiedniu. Jest to utwór epoki, a może nawet dłuta Berniniego, rzeźba co do techniki pierwszorzędna, pod względem wyrazu bardziej patetyczna od oryginału. Twórca jej miał niewątpliwie oryginał przed oczyma i skopiował go dość wiernie. Nie można tegoż powiedzieć o główce, marmurowej która dzisiaj znajduje się w zbiorach p. K. Broniewskiego w Warszawie, a znaleziona była w r. 1858 w piwnicy jednego z domów w Rynku Starego Miasta. Zabytek ten jest szczególnie, że na tylnej połowie głowy wyźłobioną jest płaskorzeźba, przedstawiająca orła, który szponami usiłuje unieść w górę węża o głowie bazylijszka, owiniętego dookoła gałęzi, stylizowanej nakształt arabski. Na pierwszy rzut oka poznać można, że płaskorzeźba ta jest utworem sztuki — rzymskiej z XI-go, najpóźniej z pierwszej połowy XII-go wieku. Liczne przykłady z naszej i zagranicznej sztuki, przytoczone przez prelegenta, dowodzą, że sam motyw walki orła z wężem, czy smokiem, jest bardzo stary, często spotykany w sztuce perskiej, która go przyjęła od asyryjskiej. Ztąd dostał się do Egiptu i Grecji, która go przekazała wprost, czy za pośrednictwem Rzymu sztuce bizantyjskiej i nareszcie romańskiej. Być może symbo-



lika średniowieczna odtwarzała w ten sposób walkę Ducha świętego z Lewiatanem, lub duszy z ciałem.

Głowa, z przeciwnej strony tego bloku marmurowego wykuta, przedstawia twarz młodzieńca o rysach tak regularnych, że chciano ją uważać za oryginalny utwór sztuki starogreckiej, użytkowany jeszcze raz w epoce romańskiej. Prelegent udowodnił, że rzecz się miała odwrotnie, że średniowieczny relief został najpierw wykuty, a w epoce późnego odrodzenia wyrzeźbiono na odwrotnej stronie głowę, o której mowa, wzorowaną widocznie na twarzy starszego syna Laokoona. Warszawska główka w niejednym odstępuje od pierwowzoru, ale to nie zmienia faktu, że powstała ona z końcem XVI lub w pierwszej połowie XVII w. pod wpływem grupy rzymskiej.

Nad końcowymi twierdzeniami prelegenta wywiązała się dyskusja, w której głos zabierali pp. Dr. Józef Korzeniowski, prof. Jerzy hr. Mycielski i Dr. Julian Pagaczewski.

Następnie p. Mieczysław Skrudlik przedstawił wyniki swoich badań krytycznych nad twórczością Tommasza Dolabelli w Polsce, ilustrując referat licznymi fotografiami z jego obrazów. Badania te doprowadziły prelegenta do nowych poglądów i do związania z imieniem Dolabelli pewnej liczby dzieł dotychczas mu nie przypisywanych. Dolabella przybył do Polski około r. 1606 i umarł tutaj w 1650 r. Twórczość w pierwszych latach jego pobytu w Polsce rozwija się przede wszystkim na dworze królewskim. Następnie artysta wchodzi w stosunki z Jezuitami, z Franciszkanami, Dominikanami, Cystersami w Mogile, wreszcie pracuje w Kielcach dla biskupów krakowskich, w kościele Bożego Ciała w Krakowie i u Kamedułów na Bielanach. Cały szereg płócien co do których prelegent nabrał pewności, że są dziełami Dolabelli, jako to portret biskupa Piaseckiego w Mogile, portret własny artysty w kaplicy św. Jacka u Dominikanów, jego obrazy historyczne, jak n. p. plafony w Kielcach, obrazy u Dominikanów, u Reformatów, na Bielanach i t. d. wskazuje, że Dolabella nie był wcale naśladowcą swego mistrza Vassilacchiego. Natomiast duży wpływ na niego mieli Tintoretto, Veronese i Bassano, a zależność ta z czasem przechodzi w naśladowanie i nawet kopiowanie wielkich wzorów. Pojawienie się Dolabelli u nas wnosi świeży powiew nowych prądów w malarstwie, lecz pobyt jego w Polsce wpłynął na jego twórczości wprost fatalnie. Brak odpowiedniego artystycznego środowiska zmanierował artystę, przeistaczając go na płodnego fabrykanta olbrzymich płócien.

Nareszcie przewodniczący Dr. Tomkiewicz złożył nadesłany przez p. M. Wawrzeńckiego komunikat o krzyżu romańskim brązowym wykopanym w polu koło m. Słomnik pod Miechowem, a znajdującym się obecnie w Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. Krzyż wielkości  $21 \times 13$  cm. z blachy brązowej grubości 2 mm. pochodzi zapewne z oprawy księgi. Z plastycznie wykonanej postaci Chrystusa zachowały się jedynie stopy. Autor sądzi, że ten zabytek należy odnieść do wieku XIII, z którego to czasu pozostały zabytki architektury w tej okolicy i kto wie, czy krzyż nie jest w związku z Cystersami w pobliskich Kacicach. W końcu p. Czercha okazał kilka amatorskich zdjęć fotograficznych z pałacu niegdyś Teppera w Warszawie przy ulicy Miodowej 3. Pałac urządzony ze smakiem i zbytkownie w dru-

giej połowie XVIII w. posiada okazałą klatkę schodową, a w pokojach mieszkalnych II piętra wybornie zachowane bogate stiuki, boazerje i zwierciadła. Podniesiono artystyczną wartość tej dekoracji wnętrza i wyrażono życzenie, by postarać się o dokładne jej zbadanie.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. Posiedzenie Wydziału III (nauk matematycznych i przyrodniczych) odbyło się w d. 7 z. m. Redaktor wydawnictw Towarzystwa, p. J. Tur, zawiadomił Wydział, że w roku czwartym istnienia T-wa (1911) z Wydziału III ogłoszono w „Sprawozdaniach“ 59 rozpraw naukowych, podczas gdy w latach poprzednich rozpraw przyrodniczych ogłaszano przeciętnie około 40 rocznie. Następnie przedstawiono komunikaty: 1) P. J. Tur: „O transformacyach tarczki zarodkowej u jaszczurki perlistej (*Lacerta ocellata* Daud.)“ 2) P. Z. Wóycicki: „O t. zw. mitochondriach w gonotokontach i gonach pyłku u *Malva silvestris* L.“ 3) P. J. Szymoński: „Badania nad czaszkami tura kopalnego (*Bos primigenius* Boj.)“ (przedstawił p. J. Tur).“ 4) P. H. Steinhaus: „O pewnym szeregu trygonometrycznym, w rzędzie rozbieżnym“ (przedstawił p. W. Sierpiński). 5) P. J. Lewiński: „Mapa geologiczna Zagłębia Dąbrowskiego i okolic przyległych.“ 6) P. E. Flatau: „Monografia o migrenie.“

D. 15 z. m. odbyło się posiedzenie Wydziału II, na którym p. J. K. Kochanowski wygłosił referat p. t. „Nad Wisłą i nad Renem w wiekach średnich“— antyteza dziejowa. W dyskusji zabierali głos pp.: E. Bogusławski, Al. Jabłonowski, Al. Kraushar, Sew. Smolikowski, T. Wierzbowski i prelegent.

— BIBLIOTEKA ORDYNACJI HR. KRASIŃSKICH w roku ubiegłym zwiększyła się dość znacznie, przybyło jej bowiem około 4,000 numerów. Z liczby tej przypada na książki około 3,200 numerów, na rękopisy 75 numerów, reszta na mapy, sztychy, obrazy, fotografie i t. d. Względnie wysoką ilość zabytków udało się w roku ubiegłym osiągnąć drogą darów, nabytków, a także wymiany dubletów. Wymieniono więc dublety z Muzeum ks. Czartoryskich około 200 numerów, dalej z bibliotekami hr. Zamoyskich, Towarzystwa Krajoznawczego w Warszawie, wreszcie Biblioteką im. Łopacińskiego w Lublinie i Biblioteką hr. Edwarda Krasińskiego w Radziejowicach. Drogą kupna na bardzo przystępnych warunkach nabyła Biblioteka Krasińskich w roku ubiegłym księgozbiór po ś. p. J. Lubeckim, zawierający pierwszorzędnny zbiór dzieł, odnoszących się do historii obyczajów, a liczący około 1,300 numerów. Cenna kolekcya druków ulotnych i broszur z XVIII w., licząca około 250 numerów, nabyta została przez Bibliotekę przy pośrednictwie antykwarni Przeworskiego, wymienić wreszcie warto pozyskany dla Biblioteki zbiór po ś. p. pułkowniku Turowskim, zawierający paręset tomów dzieł, odnoszących się do dziejów wojska Polskiego. Wśród nowonabytych rękopisów wysuwa się na plan pierwszy archiwum pozostałe po kasztelanie Dembowski, nabyte od rodziny przy pośrednictwie pana Piotra Dembowskiego. W zbiorze tym na pierwszy plan

wysuwa się korespondencya Leona Dembowskiego, dalej raptularz listów podskarbiego Sedlnickiego, a przede wszystkim 2 tomy in folio, zawierające dokumenty do działalności hr. Stanisława Grabowskiego, jako ministra wyznań i oświaty. Z innych rękopisów, nabytych w roku ubiegłym, wymienić warto kodeks z końca XVI i początku XVII w., zawierający pierwszorzędne materiały do dziejów gospodarczych i społecznych Podlasia i Litwy, a mianowicie do dóbr Kiszaków, Sapielów i Radziwiłłów. Zbiory rękopiśmienne powiększyły również cenne dary złożone przez rodziny Świętorzeckich i Miłwidów, a zawierające pierwszorzędne materiały do dziejów wewnętrznych Litwy.

Zbiory muzealne Biblioteki, jak wspominaliśmy, nie przestawały rosnąć w roku bieżącym. Przybył więc potret olejny biskupa Załuskiego, założyciela Biblioteki Załuskich, dalej zbiór widoków Królestwa Polskiego z lat sześćdziesiątych wieku ubiegłego, wreszcie zbiór sztychów i rysunków legowany instytucji przez ś. p. Felicjana. W zbiorze tym wyróżnia się piękna kolekcya dzieł Norwida, a mianowicie 3 akwaforty i 28 ręcznych rysunków. Perłą zbiorów Biblioteki stało się również 36 akwarelli pędzla Sokołowskiego, przedstawiających karykatury wybitnych osobistości warszawskich z czasów przed rewolucją listopadową. Cenny ten dar zawdzięcza Biblioteka hr. Edwardowi Krasinskiemu.

Równoległe z porządkowaniem nowych nabytków postępowało w Bibliotece katalogowanie zbiorów dawniejszych, zarówno rękopisów, jak i ksiązek. W roku sprawozdawczym ukończono katalog kartkowy i inwentarz dyplomów pergaminowych, natominst rozpoczęto katalogowanie zbioru map, które prowadzi dr. Witold Kamonicki. Sporządzany obecnie inwentarz map obejmuje około 3,000 numerów. Dodać należy, że spisano w roku ubiegłym wszystkie obrazy, znajdujące się w zbiorach bibliotecznych, inwentarz tego działu zawiera 300 numerów.

Przygotowanie katalogu realnego ksiązek, znajdujących się w Bibliotece, było dawno planowane, w roku sprawozdawczym przystąpiono do tego przedsięwzięcia wobec blizkiego ukończenia katalogu alfabetycznego. Kartki katalogu realnego sporządzane są z papieru czerpanego. Tytuły dzieł wycina się z wydawnictw bibliograficznych, nakleja na nich, częścią wypisuje na maszynie.

Przekonawszy się z doświadczenia lat ubiegłych, że dotychczasowe godziny otwarcia Biblioteki nie dla wszystkich pracowników są dostępne, zarząd Biblioteki zaprowadził zmiany, wzorując się pod tym względem na bibliotekach austriackich i niemieckich. Od zeszłego więc roku czytelnia otwierana jest 2 razy dziennie: od 9 do 1-ej i od 5<sup>1</sup>/<sub>2</sub> do 7<sup>1</sup>/<sub>4</sub>. Udostępnienie czytelnicy w godzinach wieczornych przyczyniło się do zwiększenia frekwencji. Ogólna ilość czytelników dosięgła więc w roku ubiegłym 1,918. Największa frekwencya przypadła na marzec 204 osób i maj 230, najmniejsza na lipiec 89 osób i sierpień 92.

Personel biblioteczny składał się podobnie jak lat ubiegłych z 2 bibliotekarzy, 4 czasowych pomocników i woźnego.

### CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej. Warszawa. Marzec, 1912. Treść: Zygmunt Krasieński (1812—1912). — Krytyka: Alcott Ludwika: U progu życia (dalsze losy Plumfielda); — Andersen H.: Bajki; — Bergson Henryk: Wstęp do metafizyki; — Bouffał Bronisław: Teorya odpowiedzialności organów władzy administracyjnej we współczesnem prawie politycznem; — Bourrier Andrzej: Ci, którzy wyszli w latach 1895—1904; — Brzostowicz Kazimierz Jerzy: O widzeniu ks. Piotra z III części „Dziadów“; — Chrzanowski Ignacy: Kazania Sejmowe Piotra Skargi; — Czubek Jan: Rękopisy hr. Morstinów w Krakowie; — Frejlich Józef: Polskie wychodźstwo zarobkowe w obwodzie przemysłowym westfalsko-nadreńskim; — Gąsiorowski Waclaw: Emilia Plater, powieść historyczna; — Iskierka: Młyn na Pokusie; — Jankowski Władysław: Trzy notatki; — Jaworski Franciszek: Medaliony polskie. Zbiór rodziny Przybysławskich; — Lam Stanisław: Zarys najnowszej literatury polskiej; — Le Bon Gustaw, dr.: Psychologia wychowania; — Masson Fryderyk: Przed stu laty; — Peabody Fr. B.: Jezus Chrystus i kwestya społeczna; — Piątkowski Antoni: Udoje próbne; — Postny obiad albo zabaweczka (wyd. Józef Rostafiński); — Prace Filologiczne, t. VII, zes. II; — Pułowski Fr. Ksaw.: Wigilia; — Rostworowski Michał: Rada Ministrów i Rada Stanu Księstwa Warszawskiego; — Semkowicz Władysław: Przyczynki dyplomatyczne z wieków średnich; — Stecka Marya: Edward Dembowski; — Stołyhwo Kazimierz: W sprawie człowieka kopalnego; — Szober Stanisław: Kilka uwag o pisowni polskiej; — Szpyrkówna Marya: Zwrotki jesienne; — Szyszło Witold: Pod zwrotnikami Porto Rico, cz. I i II; — Teresa Jadwiga: Stracony; — Umiński Władysław: Przygody małego Australczyka; — Waligóra Michał: Za duchem wieszczą; — Wawrzeńcecki Marian: Nowe naukowe stanowisko pojmowania... przejawów w dziedzinie ludoznawstwa; — Tenże: Słowianie doby przed i weznohistorycznej; — Wesolowski Stanisław, ks.: Rachunek sumienia dla młodzieży szkolnej; — Wieniawski Antoni: O poplonach i międzyplonach; — Kronika; — Czasopisma; — Bibliografia; — Ogłoszenia.

### BIBLIOGRAFIA.

#### KSIĄŻKI NADEŚLANE DO REDAKCYI.

ALBUM „ZIEMI.“ Z naszych krajobrazów. Zeszyt I. Warszawa. Nakładem Towarzystwa Krajoznawczego.

BARANOWSKI IGNACY: Biblioteka Żaluskich w Warszawie. Warszawa, 1912. Nakładem Towarzystwa Miłośników Historji.

BOGUSŁAWSKA MARYA: Król chłopków. Opowiadanie historyczne. Warszawa, 1912. Nakład Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ki.

CZAJKOWSKI MICHAŁ: Stefan Czarniecki. Powieść historyczna. Tom trzeci. Warszawa, 1912. „Biesiada Literacka.“

DUMAS ALEKS.: Towarzysze Jehudy Sprzysiężeni. Powieść historyczna w 3 tomach. Tom I, z 8 ilustracjami. „Ciekawe powieści.“ Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

FOERSTER FR. W., D-R, prof. filozofii na politechnice i w uniwer. w Zurychu: Wychowanie człowieka. Książka dla rodziców, nauczycieli i kapłanów. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

GALICA ANDRZEJ: Robert Szporni. Dramat w czterech aktach. Kraków. Spółka nakładowa „Książka.“ Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka.

JUR J.: Ból życia. „Nowości Literackie.“ Warszawa, 1912. Nakładem księgarni St. Sadowskiego.

KOSTECKI EDWARD, D-R: Krótki zarys uprawy wysadków buraczanych. Z 8 rysunkami w tekście. Warszawa, 1912. Wydawnictwo Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

KOSIŃSKI IGNACY, D-R: Uprawa i nawożenie w świetle doświadczeń polowych. Warszawa, 1911.

KOZUCH MACIEJ: Kastor i Polluks. Wilno, 1912. Skład główny w księgarni G. Centnerszvera i S-ki w Warszawie.

KRAUSHAR ALEXANDER: Widoki Warszawy i jej okolic, Karola Albertiego, malarza nadwornego hessko-darmsztadzkiego ze schyłku XVIII wieku. Warszawa, 1912. Nakładem Towarzystwa Miłośników Historii.

LANGE ANTONI: Elfryda. Nowele i fantazyje. Wydanie drugie. Spółka nakładowa „Książka.“ Kraków-Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka.

LE MONDE SLAVE et les classiques français aux XVI — XVII siècles par Abel Mansuy, Préface de Ch. Diehl Membre de l'Institut. Paris, 1912.

LONGCHAMPS DE BERIER ROMAN, D-R: Studya nad istotą osoby prawniczej. Lwów, 1911. Czcionkami drukarni Jakubowskiego i S-ki.

MOŚCICKI HENRYK: Dzieje porozbiorowe Litwy i Rusi. Zeszyt X. Wilno, 1912. Skład główny na Królestwo Polskie, Galicyę i Księstwo Poznańskie w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

MULLER J. P. (Autor „Mojego systemu“): Etyka płciowa a szczęście w życiu. Przełożył d-r W. K. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff.

ORŁOWSKI A.: Ubezpieczenia robotnicze w Dumie państwowej. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni G. Centnerszvera i S-ki.

PAWELSKI J. KS.: W sprawie rzekomego zerwania sejmu r. 1606 przez Skargę. Odpowiedź p. Sobieskiemu. Kraków, 1912.

PETERSON-KINBERG W.: Jak powstał wszechświat i człowiek? Czy Bóg stworzył świat z niczego? Czy pierwsi ludzie, Adam i Ewa, nie mieli przodków? Przekład Tadeusza Radwańskiego. Z licznymi rycinami i trzema barwnymi tablicami. Wydawnictwo Ultima Thule. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff.

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA. Tom XXXV. Dwie łąki i inne nowele. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

PRZYBOROWSKI WALERY: Rycerze barscy. Tom I i II. Warszawa, 1912. Gebethner i Wolff.

RAFAŁOWICZÓWNA MARYA: Ze studyów nad Henrykiem Ibsenem, dramaturgiem. Warszawa, 1912. Skład główny w księgarni Powszechniej.

RODZIEWICZÓWNA MARYA: Dewajtis. Powieść współczesna, uwieńczona na konkursie „Kuryera Warszawskiego.“ Wydanie jubileuszowe, popularne, z portretem i życiorysem autorki pióra J. Warnkówny i przypisami. Wydawnictwo Towarzystwa Zjednoczonych Ziemianek. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

ROCZNIK Stowarzyszenia Kupców Polskich w Warszawie za rok 1911. Warszawa, 1912.

ROCZNIK V Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego. Warszawa, 1911. Nakład Towarzystwa Krajoznawczego.

SHAKESPEARE WILIAM: Dzieła dramatyczne. Tom II. Miarka za miarkę. Komedya omyłek. Wiele hałasu o nic. W przekładzie Jana Kasprowicza. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i S-ka.

SOBESKI MICHAŁ: Interludia. Z pogranicza sztuki i filozofii. Książnica naukowa i artystyczna. Kraków, G. Gebethner i S-ka. Warszawa, Gebethner i Wolff.

SPRAWOZDANIA z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Grudzień. Warszawa, 1911. Nakładem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Skład główny w księgarni E. Wendego i S-ki.

STANISZEWSKI ST.: Bez echa. Zbiór wierszy. Suwałki, 1911.

TOŁSTOJ LEON: Żywy trup. Dramat w 6 aktach, 12 odsłonach z przedmową Józefa Jankowskiego. Warszawa, 1912. Nakł. księg. St. Sadowskiego.

ZAPOLSKA GABRYELA: Szinat życia. Powieść. Część III. Warszawa. „Biblioteka Dzieł Wyborowych.“

---

Redaktor odpowiedzialny i wydawca MAURYCY hr. ZAMOYSKI.